

POLACY BRONIĄ PAPIEŻA!

UJAWNIAMY:
1600 KONT W INTERNECIE PRÓBUJE WSTRZĄSNĄĆ POLSKĄ

GDY DZIECI KATUJĄ DZIECI.
ŁOSIEWICZ O PRZYCZYNACH I RECEPCIE

W IZRAELU TEŻ WOJNA DEMOKRACJI Z SĘDZIOWSKĄ KASTĄ

PISZĄ: KINDZIUK, PIETRZAK, ŁATKA

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 12 (538) 2023
20–26 marca 2023
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

EKSKLUZYWNY WYWIAD
DLA TYGODNIKA „SIECI"

BEATA SZYDŁO WCHODZI DO GRY

BYŁA PREMIER, WICEPREZES PiS MÓWI NAM, JAK WYGRAĆ WYBORY
I JAK ODPOWIEDZIEĆ NA BRUDNĄ KAMPANIĘ OPOZYCJI

INDEKS 28393 ISSN: 2544-2694

Cyfrowe forum wGospodarce.pl

Zapraszamy do obejrzenia na żywo transmisji z pierwszego **Cyfrowego Forum wGopodarce.pl**, specjalnej edycji Forum poświęconej tematyce cyfryzacji i cyberbezpieczeństwa

Oglądaj na żywo **22 marca o godz. 10:00** na profilu FB wGospodarce.pl

Fundusze Europejskie Polska Cyfrowa

KPRM Cyfryzacja

NASK

Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

PARTNERZY:

BGK Bank Gospodarstwa Krajowego

Google Cloud

KGHM Polska Miedź

Bank Polski

PFR Polski Fundusz Rozwoju

Poczta Polska

PZU

Totalizator Sportowy

Gazeta Bankowa

SIECI

wPolityce.pl

W Polsce PL

wGospodarce.pl

eprasa.pl 0651f7fe14

Wyjęci spod prawa?



Wyrok, który zapadł w sprawie przerwania mszy św. w poznańskiej katedrze, to ważny moment. Sędzia Joanna Knobel uniewinniła ponad 30 osób, które w październiku 2020 r. uderzyły w podstawowe prawa demokratyczne: prawo do gromadzenia się, prawo do bezpieczeństwa, prawo do swobodnego praktykowania swojej religii.

W wyniku napaści agresywnych demonstrantów doszło do przerwania mszy św. Uderzono w podstawowe prawa obywateli polskich. Uderzono bezkarnie. Poznański sąd wysłał jasny sygnał: katolicy nie podlegają w Polsce ochronie konstytucyjnej. Mogą być nękani, prześladowani, a za chwilę zapewne również bici. Są *de facto* wyjęci spod prawa.

Atak na poznańską katedrę miał miejsce w związku z erupcją lewicowej wściekłości po wyroku Trybunału Konstytucyjnego, który poszerzył ochronę dzieci nienarodzonych. Doszło wówczas do ataków na liczne świątynie. Jednej z nich bronił Robert Bąkiewicz. I on został za to skazany. Formalnie za atak na lewicową aktywistkę Katarzynę Augustynek, znaną szerzej jako Babcia Kasia. Skazany ma wykonywać prace społeczne i zapłacić 10 tys. zł nawiązki dla pokrzywdzonej. Sędzia Małgorzata Drewin tak uzasadniała swoją decyzję:

„Oskarżony twierdził, że bronił kościoła, ale w ocenie sądu twierdzenia te nie znajdują aprobaty w świetle polskiego porządku prawnego. Oskarżony sam sobie określił, co jest zgodne z prawem, a co nie jest zgodne z prawem. Takie działanie prowadzi do anarchizacji życia społecznego [...]. To nie oskarżony ma decydować, co jest boskie i co podoba się Bogu, oskarżony ma przestrzegać praw do przestrzegania porządku" – uzasadniała swój wyrok sędzia.

Jak widać, Bąkiewicz nie może sam określić, czego powinien bronić, ale lewicowy bojowcy mają prawo wybrać obiekt, na który napadną, i uchodzi im to bezkarnie.

Tzw. kasta daje przyzwolenie na bezprawie. W istocie atakuje państwo prawa, którego teoretycznie broni. Faktycznie otwiera drzwi do anarchii, do piekła na ziemi.

O tym także zdecydują najbliższe wybory.

Jacek Karnowski

Plan rabunku



Wyłania nam się z mgły plan obrabowania Polaków z państwowości, własności i duchowości.

W zamyśle warszawskiej partii niemieckiej mamy być bowiem narodem tanich pracowników najemnych, najlepiej masowo emigrujących, a tacy nie mogą mieć własności. Dlatego wszystko, co jeszcze mamy, musi zostać wyprzedane, rozgrabione. Odzyskiwanie własności prowadzone w ostatnich siedmiu latach ma zostać cofnięte. I nawet polskie lasy mają przestać być polskie. Pan ekonomista Grabowski jasno to wszystko wyłożył, Bruksela też nie ukrywa celu, planując przejęcie bezpośredniej kontroli nad zalesioną jedną trzecią kraju. Do tego żadnych programów społecznych, prorodzinnych, zero wsparcia dla seniorów! W Polsce to wstrętne rozdawnictwo – w Niemczech doskonała polityka społeczna. Cel jasny – wypchnąć młodych z kraju.

Byśmy już nigdy nie brykali, trzeba nam zabrać suwerenność prawną, gospodarczą (w tym walutową), polityczną. To nie jest takie niewyobrażalne. Wystarczy zniesienie prawa weta w Unii Europejskiej i już, cyk, fundamentalne decyzje nas dotyczące zapadają za naszymi plecami. Taki kolejny traktacik rozbiorowy przysłonięty błękitną kurtyną.

Nie da się zmusić historycznego narodu z 1000-letnią tradycją państwowości, z piękną kartą walki o wolność także w XX w., w dekadach tak niedawnych, do akceptacji tego wszystkiego bez zdeptania jego duchowości, splugawienia autorytetów, zniszczenia więzi społecznych, suwerennych struktur i tradycji, pamięci historycznej (stąd masowe kłamstwa o polskim losie w czasie II wojny światowej) oraz bez zniszczenia wiary i Kościoła. Stąd nieprzerwany ostrzał propagandowy katolicyzmu, wyroki zachęcające do napaści na świątynie, wreszcie operacja mająca odebrać nam św. Jana Pawła II.

Naród tanich, bezwolnych pracowników nie może odczuwać dumy z niczego i nikogo, musi czuć wstyd. Musi zostać upokorzony. Czujecie się dumni z historii? Zakłamią ją. Kochacie Jana Pawła II? Obrzucą go błotem kłamstwa. Płaczecie po ofiarach Smoleńska? Zasikają nasze znicze. Chcecie reparacji za zbrodnie i zniszczenia? Pobiegną płaszczyć się przed kanclerzem.

Pozwolimy na to?

Michał Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl 0651f7fe14

SIECI

spis treści



32 Opozycja (w) bez/nadziei
Dariusz Matuszak



62 Amerykańska niejednoznaczność
Jan Rokita



73 Oscary, czyli wszystko wszędzie naraz
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KIEŁBASA DLA NITRASA**
Krzysztof Feusette

9 **WIELKI POWRÓT RYSZARDA WSPANIAŁEGO**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **HETMAN NIEPODLEGŁOŚCI**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **SĘDZIOWIE PRZECIW KOŚCIOŁOWI**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA BARTOSZA STYSZYŃSKIEGO**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **IMIGRANCI – SZWEDZKI PRZYPADEK**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **MAŁPKI TRZY**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 **Z BEATĄ SZYDŁO**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

26 **POLACY BRONIĄ PAPIEŻA!**
Milena Kindziuk

29 **FAŁSZYWE OSKARŻENIA**
Rafał Łatka

32 **OPOZYCJA (W) BEZ/NADZIEI**
Dariusz Matuszak

36 **PIC SENACKI**
Stanisław Janecki

38 **W BERLINIE BEZ ZMIAN**
Konrad Kołodziejski

41 **1600 KONT W INTERNECIE PRÓBUJE WSTRZĄSNĄĆ POLSKĄ**
Z Mateuszem Mrozkiem rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

44 **ZŁA TWARZ**
Marcin Wikło

46 **MORD POZA POLITYKĄ**
Marek Pyza

48 **BRUTALNY JAK DZIECKO**
Dorota Łosiewicz

OPINIE

52 **ŻYWNOŚĆ JAKO BROŃ**
Goran Andrijanić

54 **NOWY ŚWIAT PO „KOŃCU HISTORII”**
Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

59 **IZRAEL PODZIELONY REFORMĄ WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI**
Marek Budzisz

62 **AMERYKAŃSKA NIEJEDNOZNACZNOŚĆ**
Jan Rokita

65 **MOCNO SPÓŹNIENI ABOLICJONIŚCI**
Aleksandra Rybińska

68 **NIEBEZPIECZNY SPEKULANT**
Włodzimierz Rędzioch

70 **Z KMDR. PPOR. BARTOSZEM RUTKOWSKIM**
rozmawia Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

73 **OSCARY, CZYLI WSZYSTKO WSZĘDZIE NARAZ**
Jolanta Gajda-Zadworna

76 **NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN. NA WSCHODZIE RÓWNIEŻ**
Artur Kolęda

78 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

80 **KOŚCIÓŁ TO PEDOFIL**
Robert Tekieli

81 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

82 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

HISTORIA

84 **„ANTYSEMITA” ŚWIĘTYM?**
Arkadiusz Adamczyk

ZDROWIE

86 **JAK POLSKA MOŻE ZOSTAĆ LIDEREM W LECZENIU NOWOTWORÓW PIERSI?**
Debata w redakcji tygodnika „Sieci”

KUCHNIA

92 **MOJE SMAKI: INA-JANINE JOHNSEN**
Jolanta Gajda-Zadworna

93 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

94 **UBECKIE METODY WCIĄŻ ŻYWE**
Alina Czerniakowska

95 **KRAJ NIEUDACZNIKÓW**
Piotr Cywiński

95 **BECZAŁA: GŁOS, REFLEKS, SZCZĘŚCIE**
Adam Ciesielski

96 **JOŻIN Z BAŻIN**
Wiktor Świetlik

96 **CZCIJ OJCA SWEGO I MATKĘ SWOJĄ**
Lech Makowiecki

97 **ZAPROSZONY JESZCZE RAZ…**
Leszek Długosz

98 **O PAPIEŻU – NA JEDNEJ STRONIE**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 36/0323/F

eprasa.pl 0651f7fe14

MATERIAŁ
MARKETINGOWY

Dobra
Drużyna
PZU



Dołącz do **wielkiej**
sportowej drużyny.
Jest nas już ponad **70** tysięcy!

Dowiedz się więcej
na **dobradruzynapzu.pl**

PZU

eprasa.pl 0651f7fe14



Sygnalista nadaje

Naczelny Sąd Administracyjny oddalił zażalenie Wód Polskich i Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska na decyzję wstrzymującą prace regulacyjne na Odrze. Wcześniej Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie nakazał wstrzymać prace budowlane na rzece do czasu rozpatrzenia skargi na decyzję środowiskową. Kto złożył skargi? Ekolodzy i resort środowiska Brandenburgii. Zdaniem niemieckiego „Die Tageszeitung" decyzja sądu to sukces ekologów. Może raczej „DEkologów"?

W rozmowie z portalem wPolityce.pl Marek Gróbarczyk, wiceminister infrastruktury, pełnomocnik rządu ds. gospodarki wodą oraz inwestycji w gospodarce morskiej i wodnej, zadeklarował jasno: „Nie można wykonać tak idiotycznych, radykalnych działań". „Nie możemy sobie pozwolić na nagłe zahamowanie realizacji inwestycji, która jest ukończona w 96 proc. To spowodowałoby zniszczenie tych już zbudowanych urządzeń" – podkreślił minister, dodając: „Po drugiej stronie brzegu Odry są dokładnie takie urządzenia, jakie my już prawie wybudowaliśmy. Tam żadnych protestów nie było". Może dlatego, że Polska nie finansuje działań hybrydowych, wymierzonych w interesy sąsiada?

Niemiecki dziennik „Die Welt" podsumował podróż przewodniczącego SPD Larsa Klingbeila, który spędził trzy dni „na delikatnej misji w Europie Środkowej i Wschodniej". Klingbeil odwiedził też Warszawę. „Przywiózł z sobą świadomość, że Niemcy, a w szczególności jego partia, popełniły błędy w polityce zagranicznej i za bardzo polegały na Rosji. Zaapelował do Polski, by w obliczu rosyjskiego zagrożenia szukała wspólnej drogi naprzód. I wreszcie przedstawił pięciopunktowy plan nowego partnerstwa z Europą Środkowo-Wschodnią". „Die Welt" dodaje, że w planie przedstawionym przez Klingbeila w Warszawie Niemcom przypada wyraźna rola przywódcza. Nie wróżymy powodzenia, przynajmniej tak długo, jak w Polsce rządzi partia polska.

Aktywiści Ruchu Solidarności Klimatycznej weszli do siedziby PiS przy ul. Nowogrodzkiej, domagając się rozmowy z premierem. Następnie przykuli się do kaloryferów. W swoim przesłaniu przekonywali, że jeśli energetyka nie zostanie oddana w ręce ludzi, to kolejnej zimy interesy spółek energetycznych wciąż będą w konflikcie z potrzebami obywateli i obywatelek. Ocenili: „Społeczności dążące do niezależności energetycznej napotykają m.in. niekorzystny system rozliczania, brak wsparcia państwa i zaniedbane sieci". W sumie dobry znak. Oni już zaczęli parodiować samych siebie.

Janina Ochojska przebiła samą siebie (co nie jest łatwe) i bez żadnych podstaw zasugerowała, że przy wschodniej granicy Polski są masowe groby nielegalnych imigrantów. „Myślę, że ofiar tej granicy jest o wiele więcej. One albo są w jakimś zbiorowym grobie [...], bo nie zdziwiłabym się, gdyby w czasie, kiedy dostęp do granicy był zamknięty, po prostu pozbierano ciała, żeby nie było dowodów" – powiedziała europosłanka w rozmowie z TOK FM. Spekulowała także, że zwłoki w mogiłach umieszczali leśnicy. Uderzają w nasze państwo ze Wschodu, uderzają z Zachodu, uderzają od środka. Ci ostatni wydają się szczególnie zajadli. W sumie to zrozumiałe: kto raz wszedł na tę straszną drogę, musi albo eskalować, albo pójść śladem Kmicica.

Lasy Państwowe zapowiedziały obronę swojego dobrego imienia. „Podjęliśmy wszelkie kroki prawne, które są możliwe w Polsce, aby wyegzekwować sprawiedliwość i ukarać panią europoseł Janinę Ochojską za potworne, obrzydliwe słowa w kierunku Lasów Państwowych i leśników" – powiedział na antenie telewizji wPolsce.pl rzecznik Lasów Państwowych Michał Gzowski. Będzie nie tylko zawiadomienie do pro-

eprasa.pl 0651f7fe14

kuratury, ale także pozew cywilny. To jednak bardzo zastanawiające, że Ochojska wzięła na cel również leśników, i to w czasie, gdy wyraźnie krystalizuje się plan wyrwania polskich lasów z władztwa państwa polskiego. Trudno uznać, że to przypadek.

Były wiceminister finansów ***Jacek Rostowski*** zastanawia się, czy kandydować. „Jeśli moje kandydowanie przyczyniłoby się do zwycięstwa, to zastanowiłbym się nad tym" – mówił w Radiu Zet. Popieramy, popieramy, prosimy o podjęcie tej rękawicy. Ale jest też szersza refleksja: „Jeśli PiS wygra te wybory, które i tak nie będą uczciwe, to już wolnych wyborów następnych nie będzie przez długie, długie lata w Polsce. A to byłaby katastrofa". Definicja wolnych i uczciwych wyborów jest jasna: to taka elekcja, którą wygrywa PO. Jeśli przegrywa, demokracja umiera.



Rostowski skrytykował również uchwałę dotyczącą obrony dobrego imienia Jana Pawła II, choć jednocześnie uważa papieża Polaka za bohatera. „Razem z innymi moimi bohaterami – prezydentem Reaganem, premier Thatcher, Lechem Wałęsą – ci ludzie obalili totalitaryzm komunistyczny i spowodowali, że Polska odzyskała niepodległość i demokrację". Jednocześnie ocenił, że uchwała Sejmu jest w pewnym sensie prowokacją polityczną ze strony PiS. Dlaczego? „Chcą ludziom wmówić – poza skrajnymi elementami, jeśli one istnieją – że istnieje ktokolwiek w Polsce, który chce atakować tak wielkiego Polaka". Rostowski „piniendzy" nie znalazł, a teraz nie widzi tych, którzy robią drugi zamach na Jana Pawła II. Wszystko w normie.



Dziennikarz „Wyborczej" Wojciech Czuchnowski zrównał sprawę Wałęsy ze sprawą Jana Pawła II. „Staram się nie zabierać głosu w sprawie publikacji o winie Wojtyły. Powód? Rzeczywiście punktem wyjścia są dla nich esbeckie teczki. Wiele razy pisałem, że wobec ich zawartości trzeba być ostrożnym. I że nazywanie ich »pamięcią narodową« uwłacza zarówno pamięci, jak i narodowi. W przypadku Lecha Wałęsy są dziesiątki dowodów, że materiały dotyczące jego współpracy z bezpieką były fałszowane" – przekonuje, o owych dowodach słusznie nie wspominając (bo nie istnieją). Różnica jest jednak zasadnicza: Wałęsa podpisał zobowiązanie, donosił i brał pieniądze, a na Karola Wojtyłę donoszono i polowano. Wyjątkowo tandetna argumentacja.



Sam ***Lech Wałęsa*** mówi podobnie. W rozmowie z portalem Onet sugerował, że ma za złe PiS, iż partia nie broniła go tak, jak teraz broni Jana Pawła II: „Dlaczego PiS nie bronił mnie? Bo zmontował teczki Kiszczaka. Grał mną dla swojego interesu, a teraz gra papieżem. To jest ohydna ohyda. Te dokumenty były znane wcześniej, więc można to było wyjaśnić. Zbliżają się wybory, nie mają czym grać, więc grają papieżem". Co ma do powiedzenia w sprawie ataków na Jana Pawła II? „Chodzi o to, by wyjaśnić to dobrze. Ale jest pytanie: czy trzeba wyjaśniać, tak jak wszyscy rozumieją? Ja bym radził: ciszej nad tą trumną z wszystkich stron" – przekonywał. A więc nawet w tak gardłowej sprawie Wałęsa nie potrafi wybrać dobrze i jasno stanąć w obronie Ojca Świętego. Ohydna ohyda.

„Wolałbym się nie urodzić, niż na grobach zmarłych budować swoją karierę polityczną" – deklarował kiedyś Donald Tusk. Teraz bije rekordy cynizmu, eksploatując tragiczną śmierć syna posłanki PO. „Rodzina Mikołaja, który przedwczoraj skończyłby 16 lat, gdyby żył, jest bardzo powściągliwa. My staramy się też jak najdelikatniej w tej sprawie się zachować, ale PiS-owska władza postanowiła z tej sytuacji zrobić wyjątkowo ponury spektakl polityczny i jedną z najohydniejszych w historii współczesnej Polski nagonki na rzecz politycznego interesu władzy przeciwko tym najsłabszym, którzy są w momencie życiowym, gdzie potrzebują pomocy, opieki, szacunku, respektu" – grzmiał szef PO w Rokietnicy. To kłamstwo. To PO próbuje przylepić tragedię do PiS i mediów publicznych. Tak jak w 2007 r. chce złapać „przewagę moralną", ale nie widzi, że ta konkretna nie będzie przełomem, którego szuka. Słowo.

Rzecz celnie podsumował prof. Andrzej Zybertowicz w programie „Kawa na ławę": „Jeżeli pewni dziennikarze czy ktokolwiek inny podał nadmiarowe informacje, które umożliwiają ustalenie ofiar pedofila, to postąpił nagannie i jeśli to jest niezgodne z przepisami prawa, to jest to przestępstwo". I dalej: „Drugą, osobną kwestią jest określenie związku przyczynowego między tym nieodpowiedzialnym zachowaniem osób, które ujawniły informacje pozwalające na ustalenie matki dzieci, a faktem samobójstwa. Ten związek przyczynowy nie musi być tak prosty". Doradca prezydenta RP podkreślił też: „W tle jest trauma pedofilii, ale w tle jest także – nie chciałbym tego wątku rozwijać – zachowanie matki chłopca, który zginął". Tusk i cała PO znają prawdę. Ten cynizm jest po prostu porażający. I obrzydliwy.

Sprawę rozstrzygnął adwokat Magdaleny Filiks w rozmowie z „Wyborczą". „Nigdy nie twierdziliśmy, że Mikołaj popełnił samobójstwo z powodu publikacji Radia Szczecin i hejtu, który się na niego wylał. Te fakty połączyła opinia publiczna. My nie chcemy podgrzewać atmosfery" – jasno stwierdził mec. Mikołaj Marecki. Tusku, słyszysz?

Fot. Andrzej Wiktor (2x), M. Czutko

eprasa.pl 0651f7fe14

Kiełbasa dla Nitrasa

Motto (autentyczne tweety):
S. Nitras: *„Dzisiaj w Sejmie Rafał Trzaskowski przedstawi projekt ustawy likwidujący TVP Info”.*

K. Feusette: *„Co z Pana wywiadem, w którym przyznał się Pan do kłamstw? Da się to jakoś usunąć?”.*

S. Nitras: *„Hej, Conchita Wurst TVP, zaśpiewaj mi to, proszę”.*



KRZYSZTOF FEUSETTE

Heloł, Sławek, z tej strony Konczita, u nas się mówi Wurst (dzięki, że pamiętałeś), a u was Kiełbasa. No nic, pośmialiśmy się trochę, żeby lepiej się poznać, więc możemy przejść do interesów, to znaczy spraw do załatwienia, żebyś tego opacznie nie zrozumiał. Piszesz (czemu nie bezpośrednio do mnie, głuptasie?), że chciałbyś, bym dla ciebie zaśpiewał/a. Jeśli tak, pozwól, że będę pisał/a w rodzaju żeńskim, by nie wpędzać cię w dodatkowe kłopoty wizerunkowe.

Napiszę ci szczerze, jak Donald Tusk w książce „Szczerze” – nie słyszałam o tobie wcześniej. Nie widziałam cię na Eurowizji, choć jak sobie potem wyguglałam twoje zdjęcia, to był jeden gość podobny, ale z Kolumbii i miał wąsy. Ty nie masz, boby ci w zabawie przeszkadzały, chociaż słabości do nich się nie wyprzesz, skoro podoba ci się Konczita. No dobra, „podoba”, to już sobie dośpiewałam, ale to ty chciałeś, żebym śpiewała. A ja bym chciała, żebyś najpierw powiedział mi coś o sobie – czego słuchasz, co oglądasz, skąd takie, a nie inne zainteresowania? Byłeś kiedyś na queer zawodach albo trans tonight party? Co myślisz o konflikcie homo z transami, przez który padają kolejne parady?

Niestety, z tego, co mówicie, mogłeś gdzieś złapać Pegasusa, więc lepiej, żebyśmy się na razie bezpośrednio nie kontaktowali. Jak się domyślasz, zanim się odezwałam, poszukałam w internecie. Nie wiem, kim jesteś dla wspomnianego Tuska, ale czytałam, że nie waha się ciebie używać. Podobno masz pilnować uczciwości wyborów razem z Komitetem Obrony Demokracji, który demokratycznego wyniku poprzednich wyborów nie uznał do dzisiaj. Powinieneś się dowiedzieć, kiedy z więzienia wyjdzie twórca KOD-Kapeli, bo skoro handlował kobietami, to w pilnowaniu pewnie jest dobry. I zadzwoń po Kijowskiego, żeby też czegoś popilnował. Coś w tym jest, że teraz ty masz tym bałaganem zarządzać z ramienia członka największej partii opozycyjnej. Chociaż nie podoba mi się, że kłamiesz. Chcesz Państwową Komisję Wyborczą kontrolować, a sam w kampanii oczerniałeś konkurentkę publicznie, potem, gdy było po sprawie, przyznałeś się do tego, a na końcu i tak stwierdziłeś, że wcale się nie przyznałeś? To już wolę, jak sobie szperasz. Na razie w cudzych szafkach, ale – uwierz mi – od tego się zaczyna. Potem szpera się wszędzie, nawet we własnym akcie urodzenia, o dowodzie osobistym nie wspominając. Ja np., jak o tobie w sieci szperałam, to aż mnie ciarki przechodziły. Wpisuję: „Polska. Sławomir N.”, bo zapomniałam, jak masz na nazwisko. A tu wyskakuje: „Sławomir N. aresztowany”, „Chował pieniądze w meblach”, „Chciał uniknąć »trzepania« żony przez urząd skarbowy, a ona przez trzy lata zbierała na zegarek dla niego”. Gdzie nie guglałam, tam było: „N. ukradł, N. przywłaszczył sobie, N. był ważnym politykiem Platformy Obywatelskiej...”. W końcu pomyślałam: „No, skoro wcześniej w cudzych rzeczach grzebał i jeszcze w internecie to puszczał, kto wie, czy to nie on?”. Potem obejrzałam, jak butami dziecka rzucasz w Sejmie i od razu myśl: komu on to zwinął? Nawet nie wiesz, jak mi ulżyło, że to jednak nie ty, tylko twój kolega z partii. Wychodzi na to, że bardzo się co do ciebie myliłam. Nie jesteś ani taki jak wszyscy, ani taki, jak inni. Ty, jak napiszesz, że ci zależy na kulturze debaty publicznej, to nie potrafiłbyś już w kilka sekund później chcieć drwić z kogoś publicznie tylko na podstawie jego wyglądu, prawda?

Wyluzuj, żartuję. Przecież widzę, że z uczciwością u ciebie podobnie jak u mnie z menstruacją, czyli – jak to się teraz mówi – totalne wykluczenie. Fajnie, że nie masz z tym problemów i homofobia czy transfobia są ci obce głęboko. Ktoś inny mógłby napisać: „Nie chcę, żeby mi śpiewała jakaś Konczita, bo baby z brodą były atrakcją już w średniowieczu, ale nawet wtedy nie jeździły na Eurowizję”. Ty to co innego. Widziałam, jak siłą obejmujesz posła Kaletę. Niby nie chcesz, żeby ci się na schodki wpakował, ale rączki chodzą, jak w „Tajemnicy Brokeback Mountain” przy koniach. Wiesz, o czym piszę, bo kopnąć też potrafisz. Najlepiej kobietę, gdyż raczej nie odda. Albo popchnąć posła z innej partii, kiedy koniecznie musisz wyjść z sali sejmowej (pewnie do toalety, bo gdzie byś tak leciał?). Wiem też, że lubisz filmować nie tylko siebie, ale i innych, jak przed tobą uciekają, bo nie wiadomo, na czym jedziesz. Chcesz opiłować katolików, potrafisz nakrzyczeć na „kierowczynię” autobusu, tak że musi uciekać do wozu, choć to ty zaparkowałeś na pętli niezgodnie z prawem, a na autostradzie cofasz z dziećmi, kiedy im się siku zachciało.

Cóż ci zatem zaśpiewać, nieszczęśniku? „Jaki śmieszny jesteś pod oknem”, „Idź precz” czy może coś z Wojciecha Młynarskiego? „Wirują, wirują tysiące szprych / W kole fortuny matuli / Ta balladka jest o tych / Co się za pewnie poczuli”? Wybierz sobie. A potem puść, co chcesz. Byle nie kolejnego tweeta.

eprasa.pl 0651f7fe14

Wielki powrót Ryszarda Wspaniałego

Blady strach padł na liberałów spod znaku Tuska, że Petru może niechcący zdradzić program PO

Ryszard Petru od ponad roku odgraża się, że wróci do życia publicznego. Ostatnio znów to zapowiedział. Tym razem zrobił to w Radiu Zet u Bogdana Rymanowskiego. Były lider Nowoczesnej czuje się potrzebny, bo wkurza go poziom debaty publicznej. Tęsknimy.

„Jeśli po stronie opozycji mamy wyłącznie hasła pt. »Kto da więcej?«, to zostawiamy osierocony elektorat liberalny, który może spowodować, że PiS przegrywa wybory, ale z Konfederacją tworzą rząd. Sam jestem liberałem i czuję się trochę zakłopotany, bo nie ma tej oferty. Jestem wkurzony na tę debatę publiczną i nie mam zamiaru stać z boku. Chcę się bardziej zaangażować w debatę publiczną podczas kampanii wyborczej. […] Nie ma sensu recenzowanie, ważne są oferty programowe" – zapowiedział Petru w Radiu Zet.

Po raz pierwszy swój powrót Ryszard Petru zwiastował w styczniu 2022 r. Wówczas nie był jeszcze tak wkurzony, a na swoim profilu na Facebooku poinformował, że ma zamiar „wspierać Nowoczesną głosem doradczym i eksperckim. Prowadzę biznes i nie mam obecnie planów angażować się w 100 proc. w politykę. Zamierzam wyłącznie skupić się na kwestiach gospodarczych. Nie chcę jednak stać z boku – będę wpierał opozycję merytorycznie, po to aby przyczynić się do jej wygranej w najbliższych wyborach". O podjęciu współpracy z byłym liderem Nowoczesnej poinformował wówczas także Adam Szłapka. „Jako ekspert będzie doradzał w sprawach gospodarczych. Witamy na pokładzie!" – zapowiedział na Twitterze.

Ale przez ponad rok Petru jednak pozostał na uboczu, bo jakoś niewiele było słychać o nim w przestrzeni publicznej. Być może stało się tak dlatego, że podczas marcowej konwencji (2022), na której wybierano nowe władze partii, Petru nie załapał się do Rady Krajowej ugrupowania. Do rady mogło wejść 50 osób, a kandydatów było 51. Do rady nie dostał się tylko Petru. To mogło mu na chwilę podciąć skrzydła, ale – jak mawiają – co cię nie zabije, to cię wzmocni, więc Petru wrócił najwyraźniej wzmocniony i wkurzony.



Przypomnijmy tylko, że z polityki Ryszard Petru wycofał się w 2019 r. Nim to się jednak stało, najpierw opuścił Nowoczesną, którą sam stworzył, a którą odebrały mu partyjne koleżanki. Po odejściu z własnej partii powołał do życia koło poselskie Liberalno-Społeczni, a następnie partię Teraz! Po roku ogłosił, że się całkiem wycofuje i nie startował w wyborach parlamentarnych. Tych wyborach, które według jego wcześniejszych zapowiedzi miały go uczynić premierem, a Nowoczesną partią rządzącą. Teraz jednak Petru wraca i już się tak łatwo nie podda.

„Nie trzeba zaczynać od powstawania partii politycznej, ale będę w najbliższych tygodniach proponował rozwiązania dla Polski, które pokażą, jak rozwiązać poszczególne problemy" – obiecał gość Bogdana Rymanowskiego. A dlaczego wraca? „Polacy oczekują również oferty liberalnej po stronie opozycji, a nie tylko po stronie szeroko rozumianej prawicy" – uważa szef Instytutu Myśli Liberalnej.

I tu sądzę, że blady strach padł na liberałów spod znaku Donalda Tuska – że Ryszard Petru może niechcący zdradzić program PO. A co proponuje były szef Nowoczesnej? Cięcie wydatków, prywatyzację państwowych spółek, podniesienie wieku emerytalnego. „Mamy całą masę wydatków socjalnych, które nie powinny być kontynuowane – 13. i 14. emerytura powinny być skasowane. 500+ wyłącznie dla niezamożnych" – nie ma wątpliwości były polityk.

Entuzjazmu Ryszarda Petru nie podzielają na razie inni politycy. Posłanka Nowej Lewicy, Anna Maria Żukowska, podsumowała: „Tylko nie widać nikogo, kto by się chciał zaangażować razem z tobą, Ryszardzie". Petru nie pozostał dłużny: „Lubię to wasze lewicowe oderwanie od rzeczywistości" – napisał na Twitterze były polityk, który stracił kontakt z rzeczywistością do tego stopnia, że podczas tzw. okupacji Sejmu i próby puczu (ktoś to jeszcze pamięta?) wybrał się na romantyczny wypad do Portugalii. A jak to się skończyło, to wszyscy wiemy.

Zapowiedź powrotu Ryszarda Petru do polityki oznacza jedno: będzie trochę weselej. A to nam się akurat przyda.

Dorota Łosiewicz



Panika w bankach

Bankructwo Silicon Valley Bank (SVB) jest największą plajtą banku od czasu upadku Lehman Brothers. Wywołało to na świecie obawy przed powtórką kryzysu finansowego z 2008 r.

SVB, który był 17. pod względem wielkości bankiem w Stanach Zjednoczonych, zarabiał przede wszystkim na dobrej ofercie dla początkujących firm technologicznych. W okresie pandemii rynek nowych technologii przynosił ogromne dochody, co przełożyło się na wysokie zyski banku. Jednak po wybuchu wojny na Ukrainie i wzroście inflacji dobra passa w branży technologicznej gwałtownie się załamała, co na jesieni ub.r. bardzo boleśnie odczuli nawet najwięksi giganci w rodzaju Facebooka czy Amazona. W ślad za tym zaczął wysychać strumień funduszy płynący do małych start-upów, co zmuszało je do wycofywania części swoich pieniędzy z banków, które dotąd zarabiały na technologicznej hossie.

W przypadku SVB problem był o tyle większy, że bank zainwestował pieniądze z depozytów w obligacje skarbowe USA. Wydawało się to stosunkowo bezpieczne, w końcu obligacje to pewna inwestycja, jednak zarząd banku nie przewidział jednego – wysokiej inflacji. Gdy ponad tydzień temu Fed (amerykańska rezerwa federalna) podniósł stopy procentowe, wartość zakupionych obligacji automatycznie spadła. A bank na gwałt potrzebował gotówki, ponieważ jego klienci wypłacali ze swoich kont coraz więcej środków. SVB próbował ratować się, sprzedając swoje akcje, jednak pogarszająca się sytuacja banku nie zachęcała potencjalnych inwestorów. Zaczęto więc sprzedawać obligacje, notując przy tym ogromne straty.

Wieści o kłopotach banku nie udało się utrzymać w tajemnicy i spanikowani klienci zaczęli wycofywać swoje pieniądze, zwłaszcza że aż 90 proc. depozytów nie było ubezpieczonych ponad gwarantowaną prawem kwotę 250 tys. dol. Katastrofa nastąpiła 9 marca, gdy wypłacono aż 42 mld dol., a więc około jednej czwartej wszystkich depozytów złożonych w banku. W rezultacie SVB zanotował ujemne saldo gotówki i nie był w stanie dokonywać dalszych wypłat. Kilka dni potem podobne problemy dotknęły kolejne banki obsługujące firmy technologiczne. Dwa z nich – Signature Bank i Silvergate Capital – także zbankrutowały. Żeby zapobiec rozlaniu się kryzysu, władze ogłosiły, że pokryją depozyty klientów upadłych banków w pełnej wysokości.

Sytuacja została na razie opanowana, jednak obawy pozostały. Zwłaszcza że problemy z płynnością ma także – choć z innych przyczyn – szwajcarski Credit Suisse.

Konrad Kołodziejski



Niemcy

Antysystemowa Lady Voldemort

Kilka tygodni temu na kolejnym „pokojowym" wiecu w Berlinie stanęli ramię w ramię politycy skrajnie lewicowej partii Die Linke, skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec (AfD) oraz ikona niemieckiego feminizmu Alice Schwarzer. To ona zorganizowała wiec wspólnie z Sahrą Wagenknecht, wiceprzewodniczącą Die Linke, deputowaną i zdeklarowaną fanką Stalina. Obie panie apelowały do kanclerza Scholza o natychmiastowe rozpoczęcie negocjacji pokojowych między Rosją a Ukrainą. Wcześniej Schwarzer i Wagenknecht sporządziły „manifest na rzecz pokoju", który podpisało już prawie 800 tys. osób. Połączyła ich niechęć do USA i NATO oraz brak zaufania do rządzących.

Wagenknecht, wyrazista polityk z jeszcze bardziej wyrazistymi brwiami, która wcześniej krytykowała szczepionki, politykę imigracyjną i chciwość wielkich koncernów, broniła teraz Rosji (najważniejszego dostawcy energii), a NRD określiła jako „system najbardziej przyjazny ludziom". Magazyn „Compact", ten sam, który niedawno oskarżył Polskę o współodpowiedzialność za wybuch II wojny światowej, umieścił ją na okładce grudniowego wydania, określając jako „kandydatkę dla lewicy i prawicy". W końcu Wagenknecht proponuje coś, co nazwała „lewicowym konserwatyzmem". Jej zdaniem lewica, a w szczególności jej własna partia, porzuciła zwykłych ludzi na rzecz miejskich elit i „woli gdybać nad genderowymi zaimkami oraz cenami organicznej żywności, zamiast zająć się takimi sprawami jak niskie płace".

Dla swoich towarzyszy stała się problemem. Kierownictwo Die Linke debatowało już parę razy nad wykluczeniem jej z partii. Jednak Wagenknecht pozostaje najbardziej popularną twarzą Die Linke. Dlatego szara eminencja partii Gregor Gysi usiłuje skłonić Lady Voldemort, jak nazywają ją media, do kompromisu.

Tymczasem Wagenknecht sprawia wrażenie, że chce upadku partii, z którą jest związana od 2009 r. Jej zdaniem czas Die Linke minął. Zapowiedziała, że jeśli coś się nie wydarzy, to w następnych wyborach nie będzie kandydować. Tym czymś może być nowe ugrupowanie, łączące lewicę i prawicę, postulujące pokój i sprawiedliwość społeczną. Na taką antysystemową partię – jeśli wierzyć instytutowi Insa – jest miejsce na niemieckiej scenie politycznej. 10 proc. ankietowanych deklaruje bowiem, że oddałoby na nią głos, a 30 proc. popiera Wagenknecht (na wschodzie Niemiec 49 proc.). Mogłaby więc ona taką partią pokierować. A następnie połączyć siły z AfD, która nie ma szans na przejęcie rządów w Berlinie, bo brakuje jej koalicjanta. Nowa formacja pod wodzą Wagenknecht rozwiązałaby ten problem.

Aleksandra Rybińska

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0651f7fe14



Argentyna

Tragedia, której można było zapobiec

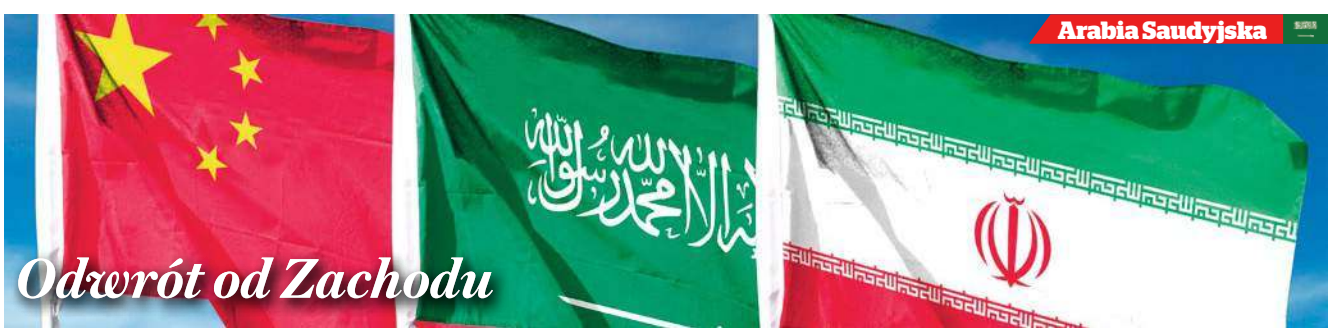
Argentyna żyje sprawą pięcioletniego chłopca Lucio Dupuya, który został zamordowany w listopadzie 2021 r. Sąd w Santa Rosa wydał właśnie wyrok w tej sprawie, skazując na dożywocie dwie morderczynie: matkę dziecka 24-letnią Magdalenę Espósito Valenti i jej partnerkę 27-letnią Abigail Páez. Tragedii można było zapobiec, ale wszystkich paraliżował strach przed oskarżeniem o homofobię. Pierwszym momentem był rozwód rodziców chłopca w 2020 r. Ojciec starał się wówczas o prawa rodzicielskie, jednak sąd przekazał malca pod opiekę matki, która od 2018 r. była związana ze swoją kochanką. Obie kobiety były znanymi działaczkami lesbijskimi, więc stały na wygranej pozycji.

Później było tylko gorzej. Między grudniem 2020 a marcem 2021 r. mały Lucio aż pięciokrotnie wymagał hospitalizacji z powodu urazów i złamań rąk i nóg, niedożywienia i wykorzystywania seksualnego. Sekcja zwłok wykazała na jego ciele liczne blizny, ślady ugryzień, przypalenia papierosami, uderzenia tępymi przedmiotami, a także krwiaki mózgu i krwotoki wewnętrzne. Maltretowane dziecko w końcu zmarło. Sąd uznał obie kobiety winnymi zabójstwa z premedytacją i wyjątkowym okrucieństwem.

Pojawia się jednak pytanie: dlaczego ani lekarze, ani wychowawcy w przedszkolu przez tak długi czas nie zgłosili policji, że dziecko było katowane? Okazuje się, że poprawność polityczna sprawiła, iż nikt nie odważył się wystąpić z zarzutami wobec pary lesbijskich aktywistek. Jakakolwiek krytyka homoseksualizmu mogła narazić na ostracyzm. Nikt zatem nie chciał się wychylać.

Okrutne zamordowanie pięciolatka wywołało wstrząs społeczny. Konserwatywno-liberalny poseł Martín Maquieyra zgłosił w parlamencie projekt nowej ustawy mającej na celu zwiększenie ochrony dzieci i zapobieganie przemocy wobec nich. Za jego propozycją zagłosowali jednogłośnie wszyscy posłowie. Także prezydent Alberto Fernández złożył swój podpis pod ustawą. Nazwano ją „ley Lucio" (ustawą Lucio) na pamiątkę zakatowanego chłopca.

Grzegorz Górny



Arabia Saudyjska

Odwrót od Zachodu

Jeszcze pięć lat temu Muhammad ibn Salman, faktycznie rządzący krajem saudyjski następca tronu, mówił o religijnym przywódcy Iranu, że na jego tle Hitler wygląda dobrze. Teraz jednak, po podpisaniu między Rijadem a Teheranem porozumienia o wznowieniu relacji dyplomatycznych, ibn Salman akcentuje „wspólny los" obydwu państw islamskich oraz potrzebę poszukiwania pokoju.

Porozumienie, które zostało podpisane dzięki pośrednictwu Pekinu, jest świadectwem zarówno zasadniczej zmiany polityki Arabii Saudyjskiej, jak i potwierdzeniem rosnącego znaczenia Chin w regionie. Wcześniej Rijad zgodził się, by rozliczenia z tytułu eksportu ropy naftowej do Chin odbywały się w juanach, co odebrano jako uderzenie w międzynarodową pozycję dolara w roli waluty rozliczeniowej. Ponadto zdominowana przez Arabię organizacja OPEC celowo nie zwiększa wydobycia ropy naftowej, mocno utrudniając w ten sposób wypchnięcie Federacji Rosyjskiej ze światowego rynku naftowego, czym są zainteresowane państwa grupy G7.

Po grudniowej wizycie w Arabii Saudyjskiej prezydenta Chin Xi Jinpinga stało się jasne, że jednym z głównych kierunków polityki Muhammada ibn Salmana będzie rozluźnienie więzów ze Stanami Zjednoczonymi i budowanie relacji z Pekinem i Moskwą. Saudyjski następca tronu, który realizuje ambitny program zmniejszania zależności gospodarki od produkcji ropy naftowej na rzecz przekształcenia kraju w regionalny hub dla biznesu i turystyki, dąży zarówno do normalizacji relacji z sąsiadami, jak i do zerwania z reputacją głównego sojusznika Stanów Zjednoczonych w regionie. Porozumienie z Iranem to kolejny etap tej polityki – wcześniej Arabia Saudyjska naprawiła swoje relacje z Turcją i Katarem.

Długotrwały spór z Teheranem doprowadził do wielu napięć między obydwoma państwami, czego wynikiem jest trwająca wojna domowa w Jemenie oraz wspieranie przez obie strony skonfliktowanych z sobą sił w Iraku, Libanie i Syrii. Zdaniem niektórych komentatorów podpisane porozumienie, a zwłaszcza tempo, w którym władzom Chin udało się doprowadzić do normalizacji stosunków między obydwoma zwaśnionymi krajami, świadczy o słabnącej pozycji Waszyngtonu na Bliskim Wschodzie. Może to oznaczać, że świat arabski zaczyna stopniowo zmieniać swoją orientację geostrategiczną.

Marek Budzisz

eprasa.pl 0651f7fe14



Jan ***Pietrzak***

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Hetman niepodległości

Medialna napaść na historyczną postać Jana Pawła II nie zasługuje na rozsądną polemikę. Przede wszystkim próba udowodnienia, jak było, naprawdę napastników nie obchodzi. Co kard. Wojtyła wiedział, czego nie wiedział, w którym roku jak się zachował, jak się nie zachował... Upokarzające sprowadzenie wielkiego człowieka do roli podsądnego, przesłuchiwanego na zapyziałym posterunku przez tępych ubeków, jest niegodne jego świętości. Świętość tę widział i podziwiał cały świat przez 26 lat, a potwierdził proces kanonizacyjny, niepozostawiający żadnych wątpliwości. „*Santo subito*!" – wołali rzymianie na pl. św. Piotra natychmiast po jego odejściu do domu Ojca. Nasz papież świętym! Biły w uniesieniu serca Polaków.

Poszukiwanie po wielu latach ciemnych plam na białej szacie naszego duchowego przewodnika jest zajęciem nikczemnym, inspirowanym przez szatanów Wschodu i Zachodu. To oni, przez stulecia mordujący kolejne pokolenia Polaków, nie mogą pogodzić się z prawdziwie niepodległą Rzecząpospolitą. A taką wymodlił dla nas św. Jan Paweł II. Mówiąc bardziej militarnie – wywalczył modlitwą. Szczególny wymiar tego zwycięstwa upoważnia do tytułu hetmana wielkiego koronnego. Sprawdziła się profetyczna fraza „Roty" Marii Konopnickiej. „Orężny stanie hufiec nasz, / Duch będzie nam hetmanił". Orężny mocą Solidarności hufiec pod wodzą św. hetmana odmienił oblicze tej ziemi. Naszej ziemi. Tak jak odmienili oblicze naszej ziemi przeszło 100 lat wcześniej Józef Piłsudski, Roman Dmowski, Ignacy Paderewski...

Tamto odzyskanie niepodległości po zaborach i I wojnie światowej świętowaliśmy z wielką pompą, i słusznie! Z kolei radość z odzyskanej niepodległości po potwornej wojnie z Niemcami i Rosją, po zdradzie jałtańskiej jakoś nam się rozmydliła. Nawet nie udało się ustalić stosownej daty i bezspornego wodza zwycięskiej batalii, trwającej od 1980 do 1993 r., kiedy to ostatnie wojska okupacyjne II wojny światowej przegnaliśmy z Polski. On tego dokonał.

Obecny, niegodziwy atak na św. Jana Pawła II wpisuje się w trwającą od wieków walkę z polską wolnością opartą na fundamencie wiary. Bez wiary nie ma wolności!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Laury dla Tygodnika TVP



Dominik ***Zdort***

Tomek Ozdowy, mój redaktor prowadzący w piśmie „Sieci", nie zgodził się, bym przypuścił (z zupełnie innych pozycji, niż czyni się to obecnie) atak na JP2, więc daję spokój. Ale spraw Kościoła nie odpuszczę.

Niemieccy katolicy, którzy kiedyś wydawali mi się niepoważni, coraz bardziej okazują się niepokojący. Ich postulaty odnalezione na poboczach tzw. drogi synodalnej (i przeniesione w jej główny nurt) mogły wydawać się głupawe, idiotyczne, kompromitujące. Ale dziś, gdy powołują komisje, które mają przymusić Watykan do uznania, że trzeba zaakceptować transpłciowość za normalność, to już zdaje się skrajnie niebezpiecznie. Groźne – dla Kościoła, dla katolicyzmu.

Nie będę się czepiał instytucji międzynarodowych, państw zeświecczonych, niech sobie kreują zboczenia i dewiacje na normę, jeśli chcą samozagłady. Ale – jak wiemy – bramy piekielne nie przemogą Kościoła. A co, skoro zaczynają przemagać?

W mojej ocenie dla świętości wiary byłoby lepiej, gdyby nasza Ecclesia zrezygnowała z tych, którzy od wiary jawnie odchodzą. Nie chodzi przecież o ilość, ale o jakość. Po co Kościołowi odstępcy (słowa „heretycy" chyba już nie wolno używać?). Nie jestem papieżem (dzięki Bogu), ale ten, kto nim jest, powinien odchodzących pobłogosławić, zachęcić, by kiedyś do Kościoła powrócili, ale na razie pożegnać. Mają wszak do wyboru liczne wyznania protestanckie, chętne do akceptacji dewiacji, niech tam szukają dla siebie miejsca, zamiast niszczyć Kościół powszechny. Bo on nie musi być liczny (choć powinien), ale przede wszystkim powinien być wierny Ewangelii, nakazom Pana Jezusa.

I piszę to jako grzesznik, świadom swojej głębokiej niedoskonałości, swoich win i odstępstw, pragnący się poprawić. Kościół to społeczność grzeszników, ale takich, którzy chcą się poprawić. Szkoda, że są w nim tacy, którzy swoją winę uznają za cnotę.

PS Na koniec krótki suplement, wyraz wdzięczności. *Pro domo sua*. Nasz Tygodnik TVP – nasz, czyli Benity, Beaty, Basi, Moniki, Filipa, Wojtka, Piotrka, Krzysztofa, Czarka oraz wielu innych redaktorów i autorów; także mój – dostał w tym roku polskiego Pulitzera, nagrodę specjalną Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Były też laury dla dziennikarzy za osiem (!!!) tekstów opublikowanych na naszym portalu dla Karola, Magdy, Teresy, Kuby... Dziękuję wszystkim, którzy do tego sukcesu się przyczynili.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 0651f7fe14

BRONISŁAW WILDSTEIN

Sędziowie przeciw Kościołowi

Trwa wielka kampania wymierzona w Kościół i polską tożsamość. Jej celem jest niszczenie wizerunku jednego z największych bohaterów Polski, a jednocześnie wielkiej postaci katolicyzmu, św. Jana Pawła II. Uczestnicząc w tej historycznej psychomachii, nie dostrzegamy niezwykle istotnych, choć nie tak spektakularnych wypadków, które będą wyznaczać naszą najbliższą przyszłość. Takim doniosłym, acz właściwie przemilczanym wydarzeniem jest skazanie szefa stowarzyszenia Marsz Niepodległości Roberta Bąkiewicza za obronę Kościoła, a konkretnie kościoła św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Formalnie wyrok otrzymał on za atak na lewicową bojówkarę Katarzynę Augustynek, funkcjonującą jako Babcia Kasia. Oskarżyła go ona o naruszenie nietykalności cielesnej. W rzeczywistości Bąkiewicz wraz z kolegami osłaniali jedynie kościół przed wtargnięciem do niego i profanacją ze strony wrogiego tłumu, w którym Augustynek odgrywała rolę prowodyra. Usiłowała się przepchnąć przez kordon wiernych, a nie przepuszczona oskarżyła ich organizatora.

Sędzia Małgorzata Drewin przyznała jej rację i skazała Bąkiewicza. Sąd stanął po stronie napastników, nie obrońców.

Oto uzasadnienie wyroku. „Oskarżony twierdził, że bronił kościoła, ale w ocenie sądu twierdzenia te nie znajdują aprobaty w świetle polskiego porządku prawnego [...]. Nie może być tak, że jedna osoba, odwołując się do upoważnienia przez proboszcza parafii św. Krzyża, staje się strażnikiem ładu i porządku publicznego. Pojawia się pytanie: jakiego ładu i porządku? Na pewno nie tego określonego w przepisach Kodeksu karnego".

Sędzia twierdzi więc, że wierni nie mogą bronić swojego kościoła. Jest to także zakazane gospodarzowi miejsca, czyli proboszczowi. Jak inaczej mógłby on to czynić, niż odwołując się do pomocy wiernych? Teoretycznie mają oni prawo wyznawać swoją religię. Jak jest to jednak możliwe, kiedy miejsca ich kultu są atakowane i profanowane przez wrogów, a im samym uniemożliwia się celebrację najświętszych dla nich ceremonii?

Obrońcom miejsc kultu powinny przysługiwać te same prawa co obrońcom własnego domu. Świątynia dla wyznawców religii jest nawet ważniejsza. Ich prawo do obrony tego miejsca jest elementarne. Sędzia Drewin im go odmówiła. Wyobraźmy sobie skazanie kogoś za to, że nie wpuszcza do swojego mieszkania wrogo zachowującego się napastnika. Wyobraźmy sobie wyrok za niewpuszczenie na zgromadzenie polityczne czy jakiekolwiek inne intruzów, którzy deklarują swoje agresywne zamiary.

Wyrok sędzi Drewin ma taki właśnie charakter. Jego uzasadnienie jest skandalem logicznym i merytorycznym. Obrońcy kościoła zachowywali się niezwykle spokojnie i działali wyłącznie biernie. Skazanie ich lidera oznacza, że wrogowie katolicyzmu mają prawo profanować przybytki jego kultu i uniemożliwiać jego celebrowanie. Zabrania im się nawet biernego oporu. Odbiera prawo do miejsc kultu, gdyż chroni tych, którzy je atakują. Niewiele później sędzia Joanna Knobel uniewinniła członków 32-osobowej bojówki, która zerwała mszę w Poznaniu. Uzasadnienie? „Nie zrobili tego złośliwie". Sędzia jest niezawisła. Od sprawiedliwości, zdrowego rozsądku i przyzwoitości.

Znana ze swojej agresywności Augustynek za napaść na policjantów otrzymała grzywnę 2250 zł. Bąkiewicz za obronę kościoła został skazany na rok ograniczenia wolności, pracę społeczną i 10 tys. zł nawiązki dla „pokrzywdzonej". Augustynek będzie mogła zapłacić za szarpanie policjantów i zostanie jej na opłacenie jeszcze paru napaści na stróżów prawa. Polscy sędziowie demonstrują swoją bezstronność.

Można uznać, że wyrok na Bąkiewicza nie jest taki straszny. Jest jednak dojmujący i upokarzający, a wraz z uniewinnieniem bojówkarzy zrywających mszę tworzy zasadniczy precedens. Katolikom w Polsce można uniemożliwiać wyznawanie religii, a im samym nie wolno się bronić. Mają stać się grupą upośledzoną, której wolno mniej. I fakt, że stanowią większość, niczego nie zmienia.

Wyroki te otwierają perspektywę przekształcenia Polski na modłę Francji czy Hiszpanii, gdzie msze są zrywane przez lewackie bojówki, księża atakowani (niekiedy zabijani), a kościoły płoną.

Czy w Polsce taki stan jest do wyobrażenia? Jeszcze kilka lat temu nikomu nie przyszłyby do głowy masowe ataki tłuszczy na kościoły i ich profanacja w naszym kraju. Nikt nie uwierzyłby, że agresorzy będą chronieni przez prawo, a ci, którzy usiłowali się im przeciwstawić, będą skazywani. Jeszcze niedawno mało kto przewidywałby, że parę zmanipulowanych i podejrzanych relacji zostanie okrzykniętych dowodami, które mają skompromitować bohatera naszej historii, św. Jana Pawła II, i z powodu siły ośrodków, które je propagują, zostaną zaakceptowane przez znaczną część społeczeństwa.

Mało komu przyszłoby do głowy, że polscy sędziowie przyłączą się do ataku na polski Kościół. Jak sędzia Drewin czy Knobel.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0651f7fe14



Walizka Bartosza Styszyńskiego

komesa Grodu Pobiedziska, propagatora historii, patrioty





Podróżuję po Polsce w poszukiwaniu najstarszych śladów obecności Słowian. Za pomocą najnowocześniejszych narzędzi, takich jak laserowe skanowanie powierzchni ziemi, odkrywam i weryfikuję w terenie nowe stanowiska archeologiczne. Odnalezione cmentarzyska kurhanowe, osady obronne oraz zaginione grodziska zgłaszam konserwatorowi zabytków. Moje pierwsze wspomnienia z dzieciństwa to wycieczki z ukochanym dziadkiem Konradem do zamku w Kórniku i Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy. Myślę, że to właśnie dziadek zaszczepił we mnie miłość do odkrywania historii poprzez zwiedzanie. Kiedy na drugim roku studiów ekonomicznych otworzyłem firmę i zająłem się organizacją eventów korporacyjnych, zacząłem dużo podróżować po Polsce. Każdy taki wyjazd łączyłem ze zwiedzaniem miejsc znanych i tych mniej uczęszczanych. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że stanie się to moją największą życiową pasją. Minęło już 25 lat, a ja nadal często podróżuję biznesowo po Polsce i świecie, szukając inspiracji i dobrych praktyk, które wykorzystuję, rozwijając mój ukochany projekt – Gród Pobiedziska. Coraz częściej w tych podróżach towarzyszy mi mój syn Sambor.

YAD VASHEM







Podczas II wojny światowej na Śląsku (Będzin) moi dziadkowie i pradziadkowie ratowali Żydów, za co zostali nagrodzeni tytułami Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Ten niezwykły akt odwagi i człowieczeństwa jest nie tylko powodem do dumy, lecz także drogowskazem moralnym dla całej mojej rodziny.

SAMBOR Z OKONIEM

Wędkarstwo spinningowe to przyjemne hobby i możliwość spędzania czasu na łonie natury z moim synem. Polowanie na wielkie szczupaki i okonie daje nam niesamowitą frajdę. To też niekończąca się obserwacja zmieniających się warunków pogodowych, praktykowanie nowych technik i wyciąganie nauki z porażek.









SPRZĘT WSPINACZKOWY

Góry zawsze mnie fascynowały. Ich magia i majestat przyciągał. To w górach czułem wolność, nauczyłem się odpowiedzialności i umiejętności przełamywania strachu. Najpierw były Sudety i Bieszczady. Potem miłość do Tatr i bieganie po Orlej Perci. Teraz wspinam się w Alpach i Dolomitach na „żelaznych drogach".



ENDURO

Jazda na motorze w terenie to ucieczka od codziennych problemów, podróżowanie po polskich bezdrożach i obcowanie z dziką przyrodą. Ciało męczy się niemiłosiernie, ale za to niesamowicie odpoczywa głowa.



MIECZ Z CZERSKA POLSKIEGO

Jestem rekonstruktorem wczesnego średniowiecza. Mój miecz jest niezwykły, bo to najprawdopodobniej jedyna na świecie kopia miecza z Czerska Polskiego. Oryginalny z oprawą rogową został zrabowany przez Niemców w 1939 r. i do dziś nie wrócił do polskich zbiorów.

WŁASNORĘCZNIE WYKONANE ZABAWKI

Ojciec zawsze powtarzał, że trzeba umieć pracować rękoma, bo praca fizyczna uszlachetnia. W czasach kiedy na półkach próżno było szukać zachodnich zabawek, mój dziadek i ojciec często sami produkowali dla mnie różne cudeńka. Teraz ja od czasu do czasu schodzę do warsztatu i robię coś dla mojego syna. Prezent zrobiony przez tatę jest najlepszy.





BOJKA I LEGITYMACJA WOPR

Jako zodiakalna Ryba zawsze kochałem sporty wodne – kajaki, windsurfing i pływanie długodystansowe. Potem zrobiłem kursy na ratownika młodszego i wodnego. To, co miało imponować dziewczynom na pomoście, okazało się niezwykle stresującą i odpowiedzialną pracą. Podczas dwóch akcji ratowniczych woda nauczyła mnie wielkiej pokory.





GRÓD POBIEDZISKA

Gród Pobiedziska to historyczny park rozrywki, gdzie nauka odbywa się przez zabawę. Wszystkie eksponaty są interaktywne i ogólnie dostępne. Namawiamy rodziców do ich używania w praktyce i aktywnej zabawy ze swoimi dziećmi.

FREERIDE

Narty zawsze była moją wielką pasją. Z czasem zacząłem jeździć poza trasą, szukając ekstremalnych doznań. Po narodzinach Sambora coś się we mnie zmieniło, zdrowy rozsądek jednak zwyciężył. Teraz od podstaw szlifuję umiejętności jazdy na snowboardzie.



RODZINA

Wszystko, co osiągnąłem w życiu, zawdzięczam rodzicom i dziadkom, którzy wspierali mnie na każdym kroku. Bardzo podziwiam moją babcię Irenę, która przeżyła Wołyń, wywózkę do Niemiec na przymusowe roboty, by w końcu wylądować w ubeckim obozie karnym pod Lesznem. Dla mnie zawsze będzie synonimem niezłomności.



Wysłuchał Michał Korsun

Fot. Robert Domżał, Bartosz Styszyński, materiały prasowe GroduPobiedziska, Shutterstock (x 3)

eprasa.pl 0651f7fe

OGNIEM NA WPROST

Polski Korpus Ochotniczy



Powoli dobiega końca „trzecia operacja obronna" Sił Zbrojnych Ukrainy. Jej celem było zniszczenie wagnerowców jako jedynej w miarę zdolnej do walki siły na froncie. Przykładowym odcinkiem, gdzie nie ma wagnerowców, tylko elitarne jednostki armii rosyjskiej i gdzie Moskale od pięciu miesięcy nie posunęli się nawet o kilometr, są okolice Kupiańska. W Bachmucie to, co pozostało z Grupy Wagnera, atakuje z północy na Chromowe i południa w kierunku „drogi życia", jedynej linii zaopatrzeniowej oddziałów broniących się w mieście, na Iwanowkę. Tylko od tygodnia nie posunęli się za bardzo naprzód ani nie zdobyli żadnej z wymienionych miejscowości. Sam Bachmut ukraińskie oddziały trzymają w swojej garści, opierając front od wschodu na rzece Bachmutce. Kolejny odcinek, gdzie Kacapia szturmuje, jakby się wściekła, to Wuhledar. Walczy tu rosyjska 155. brygada piechoty morskiej. Niedawno poniosła koszmarne straty i teraz została wzmocniona przez 136. brygadę zmechanizowaną, „wsławioną" w Czeczenii tym, że miała największe ubytki w rannych i zabitych, najwięcej dezercji, najwięcej wziętych do niewoli swoich bojców. W dodatku jednostka ta prowadzi w rankingu formacji, które osiągają najwyższe obroty w handlu narkotykami spośród wszystkich w Siłach Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Gratulujemy 136. brygadzie sukcesu we współzawodnictwie, a dzielnym bojcom życzymy ulgi w cierpieniach na froncie, czyli jak najszybszego spotkania ze św. Piotrem.

Oberpropagandyska moskiewska Margarita Simonjan, szefowa kontrolowanej przez Kreml telewizji RT, stwierdziła nagle na antenie, że Rosja już wygrała z Ukrainą. Teraz armia Putina rzekomo walczy z innym wrogiem. „Nie jesteśmy w stanie wojny z Ukrainą, wygraliśmy z nią w ciągu pierwszych dwóch lub trzech dni, kiedy zdobyliśmy Hostomel, następnie zaczęła się wojna z NATO" – objawiła „miastu i światu" Simonjan, łżąc jak bura suka. Moskal bowiem nigdy nie zdobył lotniska w Hostomelu. Była to jedna z najważniejszych przyczyn klęski Kacapii w operacji Kijów. W Hostomelu Moskale stracili kilka śmigłowców, nie licząc strat w elitarnych oddziałach usiłujących pokonać broniące pasa startowego oddziały Tryzubów. Był to przykład, jak nie należy używać wojsk desantowo-szturmowych. Poza tym NATO pomaga Kijowowi od początku konfliktu, a nie 2–3 dni po jego wybuchu. Jednym słowem, Radio Erewań znowu nadaje jak agent J-23 Hans Kloss. Nie w Moskwie, tylko w Leningradzie, nie wołgi, tylko rowery i nie rozdają, tylko kradną.

Jak wieść niesie nad Dnieprem powstał Polski Korpus Ochotniczy. Trzy kilkudziesięcioosobowe grupy (siła kompanii piechoty, może nawet batalionu) tworzą jednostkę przeznaczoną do działań rozpoznawczych i dywersyjnych. Mają już swojego patrona i symbolikę. Wojownicy nawiązują do tradycji sformowanego w lipcu 1920 r. w Białymstoku Dywizjonu Jazdy Ochotniczej, zwanego huzarami śmierci. Ich dowódcą był por. Józef Siła-Nowicki. Oddział walczył z bolszewikami, nie przegrywając żadnej bitwy czy potyczki. Godłem formacji była trupia czaszka ze skrzyżowanymi mieczami w tle oraz biało-czarne proporczyki u lanc. Na odznakach trupią główkę umiejscowiono na krzyżu przypominającym niemiecki krzyż żelazny. Oddział ten niewątpliwie wzorował się na pruskiej kawalerii gwardii – pułku Leib-Husaren-Regiment, zwanym również Totenkopfhusaren, czyli huzarami trupiej główki. Jest też inne znaczenie tej symboliki. Huzarzy śmierci z zasady nie trafiali do niewoli, ponieważ w takim przypadku woleli odebrać sobie życie. Po zakończonej wojnie huzarów śmierci wcielono do 23. Pułku Ułanów Grodzieńskich, tworząc 5. i 6. szwadron. Teraz odtworzona jednostka walczy na Ukrainie i nosi imię por. Siły-Nowickiego. Powstanie jednostki polskich ochotników wykorzystuje już kremlowska propaganda, rozsiewając kłamstwa na jej temat. Rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa zdążyła stwierdzić, że „budowa polskiego centrum wojskowego na Ukrainie bezpośrednio wciągnie Warszawę w konflikt". W stworzenie jednostki jednak polskie państwo nie było w żaden sposób zaangażowane. Składa się ona wyłącznie z ochotników, otrzymała sprzęt od prywatnych osób, a jej żołnierze będą opłacani przez Ministerstwo Obrony Ukrainy. Niech wasz znak sieje popłoch w moskiewskich szeregach, jak wtedy – 100 lat temu.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0651f7fe14

Imigranci – szwedzki przypadek



Marta Kaczyńska-Zielińska

W 2015 r. w czasie europejskiej debaty na temat migrantów Jarosław Kaczyński przestrzegał w Sejmie przed wprowadzeniem tzw. obowiązkowej relokacji uchodźców. Prezes PiS mówił, że gwałtowny wzrost liczby cudzoziemców może okazać się nie do opanowania. Powoływał się na przykład Szwecji, wskazując, że istnieje tam aż 54 stref, nad którymi państwo straciło kontrolę i w których rządzą gangi imigrantów. Słowa te wywołały wówczas oburzenie szeroko pojętego mainstreamu. Politycy PO, PSL i Lewicy przekonywali, że przedstawiony opis realiów panujących w Szwecji nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Pięć lat później media obiegły informacje o niebezpiecznej sytuacji w Göteborgu, gdzie dochodzi do strzelanin i morderstw, a walczące z sobą gangi przejmują tam funkcję policji, kontrolując samochody wjeżdżające do poszczególnych dzielnic. Według zagranicznych mediów obecnie w Sztokholmie nie ma dnia bez strzelaniny lub zamachu bombowego. Wskazane przestępstwa są popełniane głównie przez mężczyzn pochodzących z Bliskiego Wschodu. W 2022 r. w 378 strzelaninach w Szwecji zginęło 62 osoby. Dwa lata wcześniej takich ofiar odnotowano 48. W sierpniu ub.r. w miejscowości Eskilstuna kula raniła przypadkową matkę z pięcioletnim dzieckiem bawiącym się na placu zabaw.

Przedstawiciel szwedzkiej policji wyraził przekonanie, że te przerażające statystyki mają związek z postępującą radykalizacją religijną islamistów i zmianą mentalności najmłodszego pokolenia imigrantów wychowywanego w środowiskach ekstremistycznych. Pod koniec ub.r. szef szwedzkiej policji stwierdził, że w kraju panuje szczególnie poważna sytuacja, jeśli chodzi o przestępczość zorganizowaną. Przyznał również, że zasoby policji zostały wyczerpane do granic możliwości.

Wśród członków grup przestępczych, które działają na terenie Szwecji, są dzieci. Zgodnie z tamtejszymi przepisami, osoby poniżej 15. roku życia nie mogą zostać skazane, a starsi nie są zagrożeni surowymi karami. Przykładem funkcjonowania liberalnego wymiaru sprawiedliwości było skazanie na dwa miesiące pobytu w zakładzie poprawczym 19-letniego sprawcy odpowiadającego w sumie za popełnienie 221 przestępstw. Kierujący grupami przestępczymi w Szwecji rekrutują nieletnich, którzy biorą udział w wojnach gangów, bo najmłodsi mają największą szansę na bezkarność.

W 2022 r. w Södertälje, liczącym 76 tys. mieszkańców, zastrzelono 7 osób, a dla porównania w 10-mln Londynie w tym samym czasie od kul zginęło 8 osób. W 2021 r. w Göteborgu ujawniono raport, który wykazał, że klanom przestępczym i gangom udało się skłonić pracowników lokalnego urzędu do bezczynności wobec prowadzonego w mieście handlu narkotykami czy też przechowywania przez przestępców narkotyków i broni na terenie administrowanym przez gminę. W ostatnim czasie w gminie Botkyrka nieopodal Sztokholmu odkryto, że w finansowanych przez państwo ośrodkach dla młodzieży spędzali czas członkowie gangów, przechowując tam broń i narkotyki. Burmistrz tej gminy została odwołana po tym, jak wyraziła opinię, że należy zamknąć ośrodki, w których zamiast potrzebującej wsparcia młodzieży przebywali przestępcy. Według dziennikarzy kobieta straciła stanowisko w wyniku nacisków lokalnych gangów, które coraz intensywniej infiltrują struktury ugrupowania rządzącego w mieście.

Szwedzki rząd powołał komisję do zbadania działalności organizacji takich jak ta, która prowadziła wspomniane ośrodki dla młodzieży, pod kątem ewentualnych powiązań z gangami lub organizacjami ekstremistycznymi. Minister sprawiedliwości Gunnar Strömmer zadeklarował wszczęcie postępowania mające na celu wykrycie, które środowiska przestępcze próbują wpływać na urzędników i ugrupowania polityczne. Magdalena Andersson, premier Szwecji w latach 2021–2022, stwierdziła: „Nie udało się nam zintegrować ogromnej liczby imigrantów. Segregacja posunęła się w Szwecji tak daleko, że mamy teraz dwa równoległe społeczeństwa. Niby żyjemy w tym samym kraju, ale w zupełnie innych realiach". Wiele wskazuje na to, że te dwa społeczeństwa zaczynają się przenikać – w najbardziej niepożądany i niebezpieczny sposób.



Markowi Budziszowi

wyrazy szczerego współczucia

z powodu śmierci

MAMY

składają

koleżanki i koledzy z tygodnika Sieci, portalu wPolityce.pl i telewizji wPolsce.pl

eprasa.pl 0651f7fe14

Małpki trzy



Samuel Pereira

Gdy trzeba zabrać głos, przyjąć jakieś stanowisko wobec ataków na Jana Pawła II, to w Sejmie politycy Platformy Obywatelskiej – mimo iż siedzą w ławach poselskich – wyjmują karty od głosowania, jakby ich nie było. Rękami zasłaniają usta i udają, że ich nie ma. Już nawet Lewica wypadła na tym tle jakoś, głosując przeciwko uchwale o obronie dobrego imienia papieża Polska.

Z kolei w Parlamencie Europejskim, gdy trzeba przegłosować jakąś rezolucję przeciwko Polsce – opozycyjni europosłowie zasiadający we frakcji chadeckiej i lewicowej są zawsze pierwsi, żeby podnieść rękę. Podobnie ich koledzy z innych polskofobicznych krajów. Europosłowie z grupy radykałów od Verhofstadta, w tym Róża Thun z Polski, są gotowi nawet grozić szefowej Komisji Europejskiej, że jeśli nie zablokuje Polakom wypłaty pieniędzy, to oni zagłosują za jej dymisją. Gdy jednak z Jarosławem Olechowskim i Marcinem Tulickim pojechaliśmy do Strasburga i tam, na miejscu, podawaliśmy prawdę na temat sytuacji w naszym kraju, przedstawiając też konkretne fakty dotyczące cenzorskich kroków oraz działań podejmowanych przez ich idola Donalda Tuska i TVN – zasłonili uszy i nie chcieli słyszeć.

W Szczecinie od 2006 r. z nadania politycznego SLD i PO Krzysztof F. sprawował pieczę nad dziećmi, w tym głównie uzależnionymi, a więc podatnymi na nadużycia dorosłych. W tym czasie jego polityczni towarzysze zasłaniali oczy, a dziś nie chcą o tym mówić. W końcu F. był aktywistą LGBT+, a nie księdzem, a więc z natury rzeczy w środowisku lewicowo-liberalnym był osobą nietykalną.

Te zasłonięte usta, oczy i uszy jak u małpek z japońskich rzeźb to ostatnio znak rozpoznawczy pewnego obozu politycznego. Co gorsza, próbują oni zakryć też oczy, usta i uszy wyborcom, żeby nie chcieli konfrontować z innymi źródłami tego, co im TVN, „Newsweek", Onet, „Wyborcza" *et consortes* wlewają do głów. Temu też służy atak na media publiczne, żeby je maksymalnie zdyskredytować przed wyborami. Tylko w ten sposób obóz lewicowo-liberalny jest w stanie ograniczyć pluralizm i tym samym wyborczo sobie pomóc. Niedoczekanie.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Nasi dziennikarze z nagrodami SDP

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich ogłosiło w ubiegłym tygodniu wyniki 29. Konkursu o Nagrody SDP na najlepsze publikacje prasowe, radiowe, telewizyjne i internetowe, opublikowane od 1 stycznia 2021 r. do 31 grudnia 2022 r. Wśród laureatów są także dziennikarze tygodnika „Sieci" i portalu wPolityce.pl



Goran Andrijanić

Fot. Fratria

Goran Andrijanić otrzymał I Nagrodę im. Macieja Łukasiewicza przyznawaną za publikacje na temat współczesnej cywilizacji i kultury oraz popularyzację wiedzy. Uhonorowano go za tekst, który opublikował na łamach tygodnika „Sieci", pt. „Polacy, czy wy na to pozwolicie?!", będący apelem Chorwata o obronę dyskredytowanego w ojczyźnie Jana Pawła II.

Wśród wyróżnionych w kategorii „Publikacje o problemach i wydarzeniach na świecie", za które jest przyznawana Nagroda im. Kazimierza Dziewanowskiego, znaleźli się Michał i Jacek Karnowscy za wywiad z Jackiem Saryuszem-Wolskim „Powiem wam, jak wygrać z unijnym bezprawiem. Musimy wybić się na niepodległość w Unii", który ukazał się w tygodniku „Sieci". Michał Karnowski został również wyróżniony w kategorii „Publikacje o tematyce społecznej, honorowane Nagrodą im. Stefana Żeromskiego, za opublikowaną na łamach „Sieci" rozmowę z Piotrem Semką „Tego nie da się zapomnieć".

eprasa.pl 0651f7fe14

Rysują Mr Donk & dr Fish



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

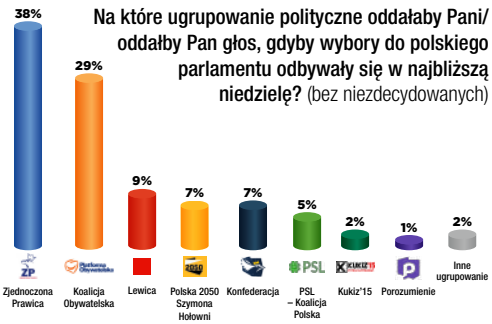
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: AFP PHOTO / Ł.MARS ZNOTINS/EAST NEWS, PAP/TYTUS ŻMIJEWSKI, AGNIESZKA SNIEZKO/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK/BITS AND SPLITS, BENEDEK ALPAR

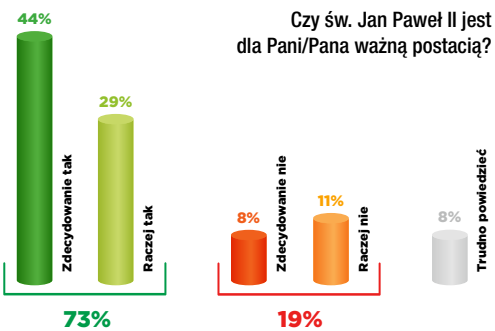
pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

nasz sondaż

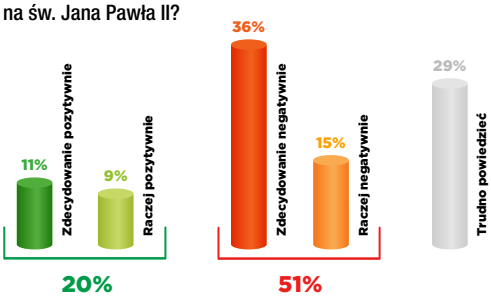
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



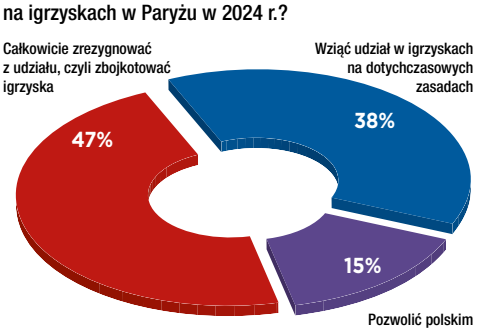
Czy św. Jan Paweł II jest dla Pani/Pana ważną postacią?



Jak Pani/Pan ocenia niedawne medialne i polityczne ataki na św. Jana Pawła II?



Co powinna zrobić Polska, jeśli Międzynarodowy Komitet Olimpijski dopuści do startu sportowców z Rosji i Białorusi na igrzyskach w Paryżu w 2024 r.?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1050.

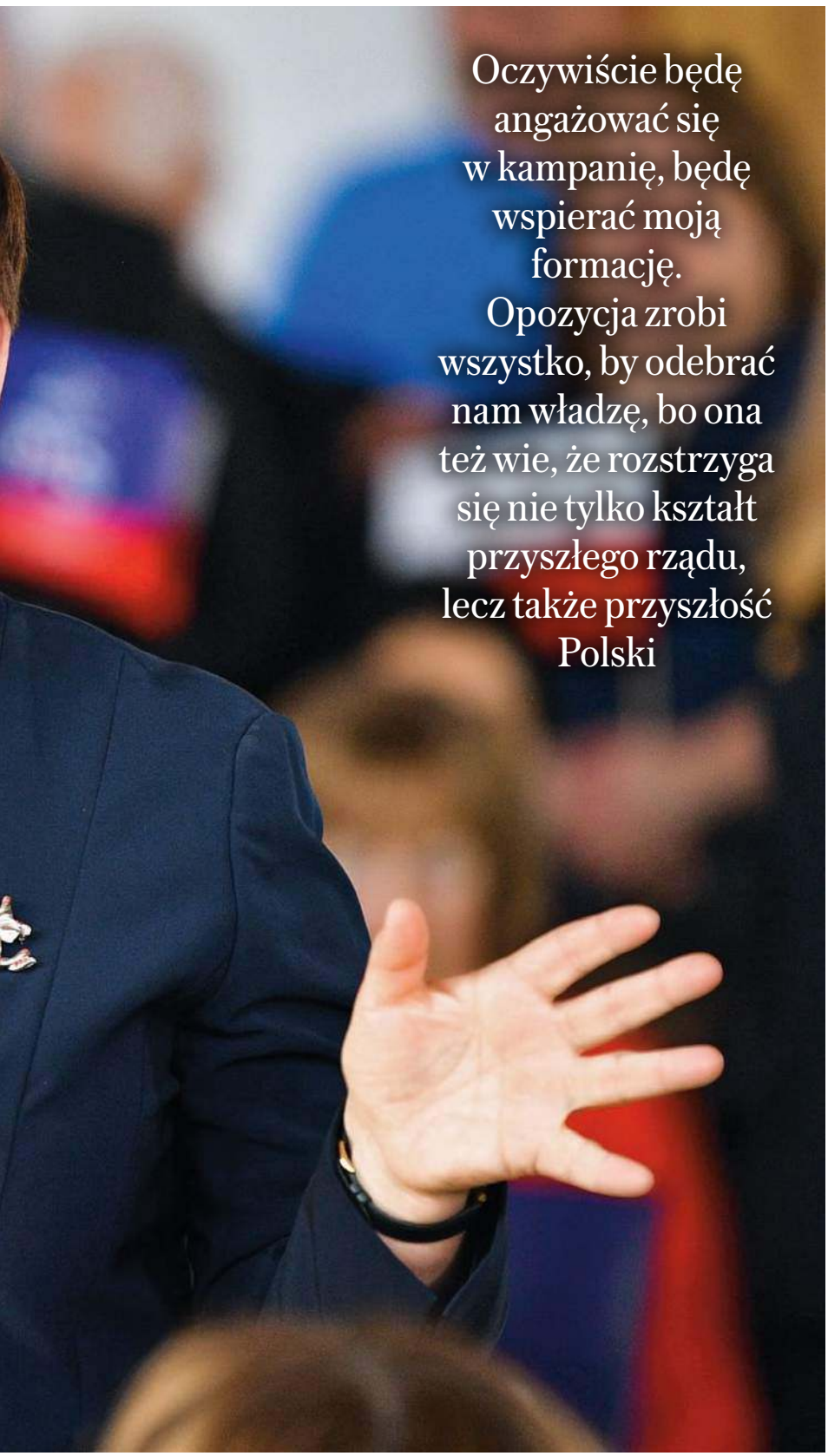
Zakres czasowy badania 10–13 marca 2023 r.

eprasa.pl 0651f7fe14

Tusk nie wciągnie nas w bagno brudnej kampanii



eprasa.pl 0651f7fe14



Fot. PAP/Piotr Polak

Michał Karnowski rozmawia z Beatą Szydło, byłą premier, wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości, posłanką do Parlamentu Europejskiego

Współwygrała pani dla Prawa i Sprawiedliwości kilka bardzo ważnych kampanii wyborczych. Teraz też mocno się pani angażuje. Ciekawi mnie więc pani ocena – jak się zapowiada ta najbliższa? Z jakimi uczuciami, myślami, emocjami pani w nią wkracza? Jaka ona będzie?

Beata Szydło: Będzie niestety agresywna i trudna. Po kilku miesiącach kampanii, którą już prowadzi opozycja, widać, że użyje wszelkich środków, by pogłębiać podziały, skłócać ludzi, nakręcać agresję brudnymi metodami. Jej celem jest, by z tygodnia na tydzień rosło w kraju napięcie.

Może się posunąć do działań jeszcze bardziej przemocowych? Może chcieć agresji na ulicach? Rozbijania wieców? Nie daj Boże, rozlewu krwi?

Oby nic takiego się nie zdarzyło, oby nie doszło do nieszczęścia. Dlatego trzeba opozycji uświadamiać, że nakręcając bez żadnych hamulców złe emocje, kreując nienawiść, bierze na siebie odpowiedzialność. Liczę, że się opamięta.

Tu chyba dotykamy sprawy jeszcze głębszej: oni nadal są obrażeni na demokrację, na wynik wyborów z 2015 r. i późniejszych?

To na pewno jest jeden z powodów. Rok 2015 był tak wielką traumą dla Platformy i Tuska, że uznali, iż ich odpowiedzią nie będzie lepsza praca nad programem, nad własną ofertą, ale próba wywrócenia wyniku wyborów. Stąd po drodze pucze, prowokacje, donoszenie na Polskę za granicą, namowy, by Polskę karać, choć naprawdę nie ma za co. Byłam wtedy premierem i pamiętam, jak to nakręcali zgodnie z hasłem „ulica i zagranica", jak chcieli zniszczyć porządek państwowy w Polsce.

eprasa.pl 0651f7fe14

Wzywali nawet żołnierzy do niewykonywania rozkazów ministra obrony, który im się nie podobał.

Musimy pamiętać, że tak naprawdę ta wewnętrzna wojna rozpoczęła się po 2005 r. Wtedy Tusk, wściekły na porażkę w wyborach prezydenckich ze śp. prezydentem Lechem Kaczyńskim, rozbił PO-PiS, zniweczył nadzieje Polaków na zasadniczą przebudowę państwa, wybrał sojusz z postkomunistami, uruchomił język nienawiści, przemoc medialną i hejt, które towarzyszą nam do dzisiaj. To ten polityk ponosi odpowiedzialność za obecny stan debaty publicznej w Polsce.

Jak na tak agresywną linię opozycji powinien dzisiaj, po tych wszystkich doświadczeniach, reagować pani obóz polityczny?

Nie możemy dać się sprowokować, musimy apelować o spokój, bo jesteśmy inni. Nie chcemy wojny wewnętrznej w Polsce, chcemy rozmowy na argumenty, starcia programów. Stąd zawsze po takich wydarzeniach jak ostatni atak na biuro poselskie premiera Błaszczaka apelujemy do opozycji o opamiętanie się i wskazujemy, do czego prowadzi agresywny język walki politycznej.

Wielu znawców kampanii uważa, że w polityce niestety bardziej skuteczne są emocje negatywne.

Często ludzie głosują przeciw czemuś, a nie za czymś, ale siła emocji pozytywnych, wiary w spełnienie marzeń może być wielka. Pamiętam choćby kampanię z 2015r., najpierw prezydencką, kiedy startując naprawdę z niskiego pułapu, mając na początku na spotkaniach ówczesnego kandydata Andrzeja Dudy słabą frekwencję, byliśmy w stanie dobrym programem, nakreśleniem wizji i ciężką pracą bardzo wielu ludzi i środowisk oraz samego pana prezydenta zachęcić miliony Polaków, by poszli z nami. Jestem szczególnie dumna z tego, że tamto zwycięstwo zaowocowało ważnymi zmianami w kraju, że zdecydowana większość ludzi, którzy wówczas się zaangażowali, ma poczucie, że było warto.

Tusk atakuje, niestety kłamie od rana do wieczora, a wy nie odpowiadacie?

Oczywiście, że odpowiadamy. Prostujemy kłamstwa, manipulacje i będziemy tak działać. Nie damy się wciągnąć w bagno brudnej kampanii, wymiany oszczerstw, paskudnych słów. On tego chce, bo w tym czuje się najlepiej. Szanujemy Polaków, widzimy, że po pandemii, w trakcie wojny na Ukrainie, przy wywołanych nią problemach są zmęczeni. Nie możemy zwiększać jeszcze poczucia niepokoju, obaw, frustracji. Ludzie oczekują od nas jasnej, pozytywnej wizji przyszłości. I my ją przedstawiamy. Wchodzę w tę kampanię nie tylko z dumą z dorobku ostatnich lat i przekonaniem, że zwyciężymy, lecz także z pokorą, że nic nie jest dane, że trzeba o zaufanie Polaków, o trzecią kadencję ciężko walczyć i pracować. Jeśli to zrobimy, jeśli wszyscy mocno się zaangażujemy, przyjdzie zwycięstwo.

> Wszyscy w Zjednoczonej Prawicy muszą dać z siebie wszystko. Syte kocury też muszą się obudzić, a ci, którzy zapomnieli, po co są w polityce – przypomnieć sobie o tym. Powtórzę to, co mówiłam zawsze: praca, pokora, umiar

Jest jeszcze w Prawie i Sprawiedliwości moc zwyciężania? Nie ma zmęczenia po ponad siedmiu latach sprawowania władzy i ciągłej walki? Więcej jest głodnych sukcesów czy sytych kotów?

Jeszcze kilka tygodni temu też sobie to pytanie zadawałam. Miałam wrażenie, że emocje opadły, że zaciekawienie tym, co Prawo i Sprawiedliwość ma do zaoferowania, jest dużo mniejsze, że wszyscy pozytywne zmiany uznali za oczywiste i myślą, że już zawsze tak będzie. Ludzie łatwo przyzwyczajają się do dobrego, a o złym zapominają. Dziś jesteśmy po serii spotkań w całej Polsce i jestem dużo większą optymistką. Ludzie pamiętają, jak żyli, zanim Prawo i Sprawiedliwość objęło władzę. Doceniają zmiany, chcą dalszych. Jest naszym, polityków Prawa i Sprawiedliwości, zadaniem wyzwolić nadzieję, pokazać plan na przyszłość, sprawić, by ludzie nam zaufali. Wszyscy w Zjednoczonej Prawicy muszą dać z siebie wszystko. Syte kocury też muszą się obudzić, a ci, którzy zapomnieli, po co są w polityce, przypomnieć sobie o tym. Powtórzę to, co mówiłam zawsze: praca, pokora, umiar.

Pani premier wchodzi do gry? Będzie w kampanii na całego?

Oczywiście będę angażować się w kampanię, będę wspierać swoją formację. Sztab wyborczy przygotowuje projekty, w które wszyscy, również europosłowie, będziemy zaangażowani. Opozycja zrobi wszystko, by odebrać nam władzę, bo ona też wie, że rozstrzyga się nie tylko kształt przyszłego rządu, lecz także przyszłość Polski. Jeszcze jedna kadencja pozwoli dokończyć zmiany w Polsce, uczynić je niemożliwymi do cofnięcia. A oni chcą, by było, jak było. Z perspektywy pracy w Parlamencie Europejskim widzę też narastanie presji na zawłaszczanie nowych kompetencji, na przejmowanie władzy przez instytucje europejskie w obszarach zgodnie z traktatami unijnymi zarezerwowanych dla państw członkowskich. To też jest argument, że w Polsce powinien być rząd, który broni polskich interesów.

Musimy przypominać codziennie, że organizacja wymiaru sprawiedliwo-

eprasa.pl 0651f7fe14

ści to właśnie taki obszar – wyłączne zadanie państwa członkowskiego!

To dobry przykład, bo przecież o tę sprawę rozpętano z nami wojnę. W Brukseli jest na to przyzwolenie, także polskich polityków opozycyjnych. To się kryje za hasłem pogłębiania integracji. Instytucje europejskie, a przede wszystkim Parlament Europejski, próbują pozatraktatowo wchodzić w kompetencje państw członkowskich. W ten sposób ten proces pogłębiania integracji to *de facto* federalizacja prowadząca do budowy superpaństwa pod niemieckim przywództwem. To może być jeden z istotnych czynników podczas nadchodzących wyborów. Prawo i Sprawiedliwość oferuje inną wizję oraz rząd, który będzie bronił interesów Polski i Polaków, nie pozwoli na narzucenie nam szaleńczych pomysłów, ograniczających naszą własność, wolność i suwerenność.

Mogą zabrać polskie lasy? Na serio o tym myślą?

To jest właśnie przykład próby ingerowania pozatraktatowego w wewnętrzne sprawy państw członkowskich. Instytucje europejskie chcą jeszcze większej kontroli nad sektorami, które nie leżą w ich kompetencjach. Trwa zamach na nasze górnictwo. Mimo iż mamy umowę społeczną zakładającą wydobycie węgla do 2049 r., za pomocą działań pośrednich takich jak dyrektywa metanowa chcą ten sektor zniszczyć wcześniej. Podobnie jest zagrożone rolnictwo.

Ma pani premier rację, za mało się u nas mówi, że na Zachodzie rośnie presja, by ze względu na emisję CO_2 likwidować gospodarstwa rolne. I to się dzieje. Nie obchodzą ich miejsca pracy? Nie boją się, że wywołają nędzę, głód?

Obszarów, w których może nastąpić zła zmiana dla Polaków w przypadku przejęcia władzy przez rząd uległy Brukseli, jest wiele. Unia Europejska wprowadza w życie projekty i programy, a my musimy znaleźć na nie pieniądze. Przykładem może być transformacja klimatyczna i energetyczna, która wygeneruje ogromne koszty dla państwa i obywateli. Należy też przy tym pamiętać, że sytuacja poszczególnych państw członkowskich nie jest jednakowa. Przykładowo, dostosowanie polskiej energetyki do wymogów Brukseli wymaga zdecydowanie więcej czasu i większego nakładu środków finansowych. Urzędnicy europejscy wydają się ten fakt ignorować. Trzeba również pamiętać o kosztach, które nasz kraj ponosi w związku z toczącą się wojną na Ukrainie. Kryzys z nią związany dotyczy każdego Europejczyka, a można odnieść wrażenie, że Bruksela nie bierze tego pod rozwagę i obarcza kosztami obywateli. Rację ma premier Jarosław Kaczyński, gdy przyrównuje znaczenie głosowania w 2023 r. do tego z 1989 r. Stawką jest przyszłość Polski, jakość życia Polaków.

> Zawsze protestuję przeciw temu kłamliwemu słowu – „rozdawnictwo". Zrobiliśmy przecież to, co każdy rząd powinien zrobić. Niech się tłumaczą ci, którzy do takiej biedy, jak była, dopuścili, którym nie przeszkadzały głodne dzieci, a nie ci, którzy z tym wykluczeniem podjęli walkę

Tusk mówi, że niczego nie zabierze.

Różnie mówi, zależy, jak mu akurat odpowiada. Jego eksperci zapowiadają, że zabiorą wszystko i wszystko wyprzedadzą. Ktoś chce ryzykować, zagrać w tej loterii? Przed wyborami 2011 r. Tusk i jego ludzie zapewniali, że nie podniosą wieku emerytalnego, a tuż po wyborach natychmiast to zrobili.

Tusk jest groźnym przeciwnikiem? Jedynym?

On by chciał być jedynym, ale ten plan mu się nie udał. Opozycji nie zjednoczył. Nikogo nigdy nie należy lekceważyć w polityce i proszę, by każdy to sobie zapisał na karteczce i codziennie powtarzał. Ale jako polityk z doświadczeniem ze zdziwieniem patrzę na chaos po stronie opozycji, zupełny brak pracy programowej, szalone pomysły, które przedstawia, nieprzemyślane działania, które podejmuje. Czasami nie chce mi się wierzyć, że będąc w opozycji, coś takiego można wymyślić. Ale widać, że opozycja jest strasznie pewna swego. Już dzieli stanowiska, smakuje zemstę za wcześniejsze porażki. Zobaczymy, czy nie za szybko.

Liczą pewnie na pomoc z Niemiec. Niemieckie media wydawane dla Polaków są bardzo silne.

Proszę nie zapominać o Rosji. Ona też będzie próbowała ingerować w polskie wybory, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Wszystko to jest ważne, ale dla nas najważniejsze jest to, by robić swoje, nie dać się zdemobilizować.

Prezydent Andrzej Duda powinien wesprzeć Zjednoczoną Prawicę w kampanii?

Pan redaktor wie lepiej ode mnie, że pytany o to przez tygodnik „Sieci" odpowiedział, że zależy mu na realizacji jego programu wyborczego, a ten jest zbieżny z programem Prawa i Sprawiedliwości. To nasze rządy go realizują, to my jesteśmy obozem propolskim. Pan prezydent wie, gdzie leży polska racja stanu, interes obywateli, w jak trudnych czasach żyjemy. Nie ma tu miejsca na błąd Polaków. Konsekwencje byłyby tragiczne.

Rząd Zjednoczonej Prawicy powinien nadal rozwijać programy społeczne, prorodzinne? Czy też obawiałaby się pani przypięcia łatki nadmiernego rozdawnictwa w trudnych czasach?

eprasa.pl 0651f7fe14



Zawsze protestuję przeciw temu kłamliwemu słowu – „rozdawnictwo". Zrobiliśmy przecież to, co każdy rząd powinien zrobić, czyli daliśmy możliwość korzystania z rozwoju gospodarczego, bogactwa Polski wszystkim obywatelom. Daliśmy takie same szanse wszystkim regionom i grupom społecznym. Szczególnie mocno wsparliśmy osoby w najtrudniejszej sytuacji. Niech się tłumaczą ci, którzy do takiej biedy, jak była, dopuścili, którym nie przeszkadzały głodne dzieci, a nie ci, którzy podjęli walkę z tym wykluczeniem. Można było realizować wszystkie programy, ponieważ nie pozwoliliśmy okradać Polski mafiom paliwowym czy VAT-owskim. Platforma nic z tym nie robiła przez całe lata i patrzyła, jak Polacy byli okradani. Potraktowaliśmy projekty społeczne jako inwestycję w rozwój, to były programy prorozwojowe. Zwiększyły popyt wewnętrzny, zdynamizowały rozwój gospodarczy. Były też inwestycją w rodziny, w dzieci. Nie ma lepszej.

> Na pewno mamy chyba pewien konsensus w naszym obozie, że ogromne zaufanie do Brukseli i pani Ursuli von der Leyen co do funduszu odbudowy po pandemii było błędem. Oszukano nas kilkakrotnie. Stoję na stanowisku, że polityka naiwnych ustępstw wobec Unii Europejskiej nie jest skuteczna

Jasne, ale pytanie na dziś brzmi tak: czy należy coś jeszcze dodawać? Rewaloryzować 500+?

Jeśli będzie taka możliwość, zachowując rozsądek i umiar, to tak. Polityka społeczna i gospodarcza prowadzona po 2015 r. udowodniła swoją skuteczność. Nasze programy, jak mówiłam, mają charakter inwestycji społecznych.

Na przykład? Co można było zrobić lepiej?

Mówiłam o tym zawsze otwarcie, więc teraz, w kampanii, nie ma sensu do tego wracać. Na pewno mamy chyba pewien konsensus

eprasa.pl 0651f7fe14

w naszym obozie, że ogromne zaufanie do Brukseli i pani Ursuli von der Leyen co do funduszu odbudowy po pandemii było błędem. Oszukano nas kilkakrotnie. Stoję na stanowisku, że polityka naiwnych ustępstw wobec Unii Europejskiej nie jest skuteczna. Trzeba jasno i skutecznie przedstawiać swoje racje, bronić polskiego interesu. Tak robią tutaj wszyscy i nie oznacza to polexitu, wręcz odwrotnie. Ważne, by wyciągać wnioski.

W tym wypadku?

Nie dać się znowu zwieść. Kolejną sprawą, którą należy dokończyć, jest reforma wymiaru sprawiedliwości. Ogólnie, gdy przypominamy sobie 2015 r., możemy powiedzieć, że daliśmy radę, że Polska się zasadniczo zmieniła. Podsumowując osiem lat naszych rządów, można powiedzieć, że wprowadziliśmy bardzo dużo reform, które poprawiły jakość życia. Oczywiście nie uniknęliśmy błędów, nie wszystko zostało zrealizowane tak, jak zakładaliśmy. W przeciwieństwie do rządów Platformy my potrafimy się do tego przyznać, a jak coś nie wychodzi, szukać nowych rozwiązań. Ja biorę odpowiedzialność za pierwsze dwa lata, uważam, że zrobiliśmy wtedy wiele dobrego dla Polaków. Skutecznie przeprowadziliśmy reformy, do których zobowiązaliśmy się w kampanii wyborczej, i wywiązaliśmy się z danego słowa. To był dobry czas.

Który z wątków kampanii będzie najważniejszy?

Kampania będzie wielowątkowa. Ważnym tematem będą sprawy bezpieczeństwa, to jest też oczywiście związane z wojną na Ukrainie. Skutecznie obroniliśmy naszą wschodnią granicę, która jest jednocześnie granicą Unii Europejskiej, przed atakiem hybrydowym jeszcze przed rozpoczęciem wojny, pomagamy Ukrainie, budujemy silną armię, która będzie gwarantem pokoju w całym regionie. Polacy, którzy chcą pokoju i bezpiecznej Polski, wiedzą, że Prawo i Sprawiedliwość to zapewni.

Równie ważnym elementem jest polityka społeczna, poziom życia Polaków. Pandemia i skutki wojny przyniosły problemy na całym świecie, trzeba szybko nadrobić straty i dalej zwiększać poziom bogactwa Polaków, poprawiać jakość życia, rozwijać polską gospodarkę.

O kwestiach suwerennościowych już wspomniałam. Zawsze też w kampanii pojawiają się nowe tematy, pytania, będziemy na nie reagować. Będziemy też bronić atakowanych wartości, prawa do wolności wyznania, szacunku dla każdego bez względu na jego światopogląd.

> Tylko wspólnie Prawo i Sprawiedliwość z Solidarną Polską, a może i z jeszcze innymi siłami gotowymi poprzeć nasz projekt, jest w stanie zwyciężyć. Oddanie Polski w ręce obecnej opozycji cofnęłoby nas znowu w biedę i słabość. Polacy to wiedzą. Dlatego szansa na zwycięstwo jest wielka

Kłamliwe uderzenie w Jana Pawła II zaszokowało wielu Polaków. To znaczy, że nie cofną się przed niczym. I postawiłbym tezę, że te wybory będą także o dobre imię tego wielkiego Polaka.

Był nie tylko Ojcem Świętym, lecz także wielkim Polakiem, europejskim mężem stanu. Także jego wysiłkom narody Europy Środkowo-Wschodniej zawdzięczają wolność oraz przynależność do Unii Europejskiej, czego orędownikiem był Jan Paweł II. Tej prawdy trzeba bronić i będziemy to robili mądrze, spokojnie. Nie ma też naszej zgody na ataki na Kościół, bo to jeden z fundamentów polskości, naszej historii i wolności. Chrześcijaństwo, o czym wielu zapomina, jest też fundamentem Europy. Zalecałabym w tych tematach zachowanie zimnej krwi i zdrowego rozsądku. To naszym przeciwnikom zależy na wywołaniu chaosu i wojny ideologicznej. My jesteśmy partią spokoju i szacunku dla każdego człowieka.

To tematy kampanii. A metoda? Jak to wygrać? Jak poprowadzić walkę polityczną?

Przede wszystkim wierzyć w to, co się mówi, a mówić tylko prawdę. Ludzie natychmiast wyczuwają fałsz. Ciężko pracować, mobilizować każdego. Realizować wspólną linię wyznaczoną przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego i sztab. Grać drużynowo, bo nic tak nas nie osłabia jak kłótnie. Spory, żale, podziały trzeba zostawić z boku.

Czyli wspólny start z Solidarną Polską?

Bez tego nie wygramy. Tylko wspólnie Prawo i Sprawiedliwość z Solidarną Polską, a może i z jeszcze innymi siłami gotowymi poprzeć nasz projekt, jest w stanie zwyciężyć. Czas gra na naszą korzyść. Także w Unii narasta sprzeciw wobec obecnego kierunku, dokonała się ważna zmiana we Włoszech, jest szansa na zmianę w Hiszpanii. Z każdym rokiem Polska się wzmacnia, odbudowujemy sprawność państwa, odzyskujemy własność. Oddanie Polski w ręce obecnej opozycji cofnęłoby nas znowu w biedę i słabość. Polacy to wiedzą. Dlatego szansa na zwycięstwo jest wielka.

A potem start w wyborach prezydenckich? Rozważa to pani premier?

Jest 2023 r., przed nami wybory parlamentarne, na tym musimy się koncentrować – na zwycięstwie.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0651f7fe14

Polacy bronią papieża!

Został poruszony nerw społeczny. Dlatego pojawiają się tak liczne i mocne głosy w obronie Jana Pawła II



MILENA KINDZIUK

Nie takiego efektu spodziewali się twórcy propagandowych materiałów medialnych na temat Jana Pawła II. Jak bowiem wynika z najnowszego badania pracowni Social Changes, rośnie odsetek Polaków, dla których papież jest autorytetem. Za ważną postać uznało go 73 proc. badanych (więcej niż w 2020 r.!), 19 proc. wybrało odpowiedź przeczącą, 8 proc. zaś nie ma zdania w tej sprawie.

Rezultat jest więc przeciwny od zamierzonego. Akcja wyraźnie wywołała reakcję. Widać to na różnych polach: społecznym, politycznym i kościelnym. A zwieńczeniem tych reakcji ma być Marsz Papieski, który przejdzie ulicami wielu miast w Polsce 2 kwietnia, w pamiętną rocznicę, jak określono to w 2005 r., odejścia Jana Pawła II do Domu Ojca.

MUREM ZA JANEM PAWŁEM II

To często pojawiający się wpis w social mediach: „Murem za Janem Pawłem II". Są także przytaczane słowa prymasa Wyszyńskiego: „Jeśli przyjdą zniszczyć ten naród, zaczną od Kościoła, gdyż Kościół jest siłą tego narodu!". Na Twitterze, Instagramie i Facebooku pojawiają się też zdjęcia Karola Wojtyły. Młodego, uśmiechniętego, często podczas pielgrzymek do ojczyzny. Przy fotografiach są fragmenty homilii, przemówień, cytaty z papieskich encyklik, z książek. Inne wpisy przypominają o roli papieża w wymiarze kościelnym, narodowym, ale też osobistym: „Kocham go całym sercem. Nauczył mnie i uczy być człowiekiem", „Byłeś jak światło, które rozświetlało drogę", „Papieżu, dziękuję ci za wiarę".

Można obecnie zauważyć wzrost zainteresowania przesłaniem Karola Wojtyły, które kierował do nas jako biskup krakowski i potem jako papież. Widoczne jest przypominanie sobie jego ducha i charyzmatu, jego pielgrzymek, homilii czy pism.

Powstały setki oświadczeń w obronie dobrego imienia Ojca Świętego.



Fot. Tytus Żmijewski/PAP

„Staję w obronie Jana Pawła II zarówno jako ksiądz, naukowiec, jak i jako rektor, prosząc, abyśmy potrafili rzetelnie poszukiwać prawdy" – napisał ks. prof. dr hab. Ryszard Czekalski, rektor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Jasne stanowisko zajął także Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie: „Pozbawione solidnego warsztatu naukowego przedstawienie materiałów archiwalnych zostało nieetycznie wykorzystane do wzbudzenia wątpliwości co do zdecydowanych działań papieża Jana Pawła II na rzecz zapewnienia bezpieczeństwa przede wszystkim dzieciom i młodzieży oraz karania winnych przestępstw na tle seksualnym". Wreszcie warty uwagi jest apel, który wystosowały środowiska akademickie i społeczne skupione w Akademickich Klubach Obywatelskich w Poznaniu, Warszawie, Krakowie, Łodzi, Gdańsku, Katowicach, Lub-

eprasa.pl 0651f7fe14



Fot. PAP/Tytus Żmijewski

linie, Toruniu, Olsztynie, Wrocławiu i Szczecinie: „Wyrażamy zdecydowany protest przeciwko próbom zniesławienia osoby i dzieła, wielkości i świętości Jana Pawła II. Zwracamy uwagę, że podjęte próby dyskredytacji osoby i dokonań Jana Pawła II, osadzone w rzekomej kwerendzie materiałów źródłowych, urągają zarówno podstawowym zasadom prowadzenia badań naukowych, jak i dociekań publicystycznych; ponadto są wykorzystywane w haniebnej grze politycznej".

Nie zabrakło także reakcji środowisk dziennikarskich. Miażdżącą ocenę ostatnich przekazów medialnych o Janie Pawła II przedstawił Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich: „Zniekształcanie, przeinaczanie faktów, oszczerstwa, pomówienia, zniesławienia i bezpodstawne oskarżenia to najcięższe przewinienia zawodowe w dziennikarstwie, piętnowane we wszystkich dziennikarskich kodeksach etycznych..., a te wszystkie dziennikarskie wykroczenia możemy odnaleźć we wspomnianych publikacjach o papieżu Polaku. Dlatego apelujemy do wszystkich dziennikarzy, by nie ulegali tym manipulacjom i insynuacjom, by przedstawiali dziedzictwo Jana Pawła II rzetelnie i uczciwie oraz by mieli odwagę i byli gotowi do obrony jego dobrego imienia w Polsce i na świecie".

ZACHOWALI SIĘ, JAK TRZEBA

W świecie polityki jako jeden z pierwszych na szkalujące publikacje zareagował premier Mateusz Morawiecki. Na swoim profilu na Facebooku w tle zamieścił zdjęcie Jana Pawła II, nagrał też filmik, w którym przedstawił w prawdziwym, ciepłym świetle niezwykłą rolę Jana Pawła II. Złożył też kwiaty pod krzyżem na pl. Piłsudskiego w Warszawie, czyli w miejscu, gdzie papież odprawił mszę św. podczas pierwszej pielgrzymki do ojczyzny w czerwcu 1979 r. i wypowiedział słynne już słowa: „Niech zstąpi Duch Twój...". Wiele innych delegacji politycznych składało kwiaty przed pomnikami papieża w całej Polsce.

Zdecydowane działania niemal natychmiast podjął Sejm RP, który 9 marca przegłosował uchwałę w sprawie obrony dobrego imienia św. Jana Pawła II: „Sejm zdecydowanie potępia medialną, haniebną nagonkę, opartą w dużej mierze na materiałach aparatu przemocy PRL, której obiektem jest wielki papież św. Jan Paweł II, najwybitniejszy Polak w historii... Jest to próba skompromitowania Jana Pawła II materiałami, których nie odważyli się wykorzystać nawet komuniści" – stwierdzono. Za uchwałą głosowało 271 posłów, w tym 227 z Prawa i Sprawiedliwości. Przeciwko było 43, a 125 posłów klubu Koalicji Obywatelskiej nie wzięło udziału w głosowaniu, jedynie posłanka Joanna Fabisiak wyłamała się z partyjnej

eprasa.pl 0651f7fe14

dyscypliny tego klubu. „Dobrze znałam papieża i nie mogłam nie zagłosować" – uzasadniała. Należy też podkreślić, że poruszające przemówienie wygłosiła marszałek Sejmu Elżbieta Witek, stwierdzając, że mimo wielu prób nie uda się zniszczyć polskich symboli, w tym wizerunku i historii Jana Pawła II. Jej słowa odbiły się zresztą szerokim echem w social mediach, Polacy wyrażali wdzięczność za szczere i wyraziste orędzie.

Trzeba dodać, że zdecydowany głos zabrały także liczne samorządy i stowarzyszenia. Murem za Janem Pawłem II opowiedzieli się – często jednogłośnie, ponad podziałami partyjnymi – radni wielu miast: Radomia, Białegostoku, Dąbrowy Białostockiej, Biłgoraja i innych. Mocno wybrzmiało oświadczenie Michała Zaleskiego, prezydenta Torunia: „Nie zgadzam się na deprecjonowanie świętości religijnej, autorytetu oraz dorobku wielkiego Polaka świętego Jana Pawła II. Ocenę postaci historycznej należy pozostawić historykom, a nie może ona stanowić jedynie przedmiotu dziennikarskich dociekań". Także górale w obronie Jana Pawła II zebrali się pod Wielką Krokwią, w miejscu, gdzie 6 czerwca 1997 r. papież Polak przyjął hołd górali polskich. „Niech naszych bohaterów i naszych wartości nie niszczą" – wzywali.

Podobnych oficjalnych głosów pojawiło się wiele. „Przygotowany materiał jednej ze stacji komercyjnych w sprawie św. Jana Pawła II nie miał na celu pokazania prawdy, a jedynym celem tego ataku jest zdyskredytowanie osoby wielkiego Polaka w oczach społeczeństwa, przede wszystkim ludzi młodych, którzy znają postać Jana Pawła II tylko z lekcji historii" – napisał w liście otwartym przewodniczący Zarządu Regionu Bydgoskiego NSZZ „Solidarność". Medialne ataki na osobę papieża oparte na materiałach Służby Bezpieczeństwa wpisują się „doskonale w goebbelsowską narrację o Kościele katolickim" – głosi oświadczenie Stowarzyszenia Osób Represjonowanych w PRL „Przymierze". I zawiera wezwanie: „Jeśli teraz nie postawimy tamy tej nowej odmianie totalitaryzmu, mówiąc, jak prymas Wyszyński totalitaryzmowi *non possumus*, to może się okazać, że poświęcenie naszych rodziców i dziadków poszło na marne".

NIE MOŻEMY MILCZEĆ

W sprawie obrony papieża ważny jest głos Kościoła. Podziękowanie tym wszystkim, którzy w ostatnim czasie bronią dziedzictwa i osoby św. Jana Pawła II, złożył abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski. Stwierdził: „W tym świetle szokujące są próby zdyskredytowania jego osoby i dzieła, podejmowane pod pozorem troski o prawdę i dobro. Autorzy tych dyskredytujących głosów podjęli się oceny Karola Wojtyły w sposób stronniczy, często ahistoryczny, bez znajomości kontekstu, bezkrytycznie uznając tworzone przez Służby Bezpieczeństwa dokumenty za wiarygodne źródła".

> Akcja wywołała reakcję. Widać to na różnych polach: społecznym, politycznym i kościelnym. A zwieńczeniem tych reakcji ma być Marsz Papieski, który przejdzie ulicami wielu miast w Polsce 2 kwietnia, w pamiętną rocznicę, jak określono to w 2005 r., odejścia Jana Pawła II do Domu Ojca

Jednoznaczne stanowisko zajęli też biskupi. W komunikacie po zebraniu plenarnym wobec „podejmowanych ostatnio na szeroką skalę bezprecedensowych prób zdyskredytowania osoby i dzieła św. Jana Pawła II" zaapelowali do wszystkich o „uszanowanie pamięci jednego z najwybitniejszych naszych rodaków". Zaznaczyli także: „Biskupi bardzo dziękują wszystkim, którzy od samego początku stanęli w obronie dobrego imienia św. papieża".

Jak podaje watykański serwis Vatican News, w obronie Jana Pawła II zabrał też głos abp Jan Graubner, prymas Czech i przewodniczący tamtejszego episkopatu. „Nie możemy milczeć, kiedy w sąsiedniej Polsce dochodzi do ataków na św. Jana Pawła II". Podkreślił, że „obecne próby zdyskredytowania dziedzictwa Jana Pawła II są tendencyjne i ahistoryczne. Autorzy tez, które oskarżają Karola Wojtyłę jako ówczesnego arcybiskupa krakowskiego o tuszowanie nadużyć seksualnych przez księży, nie uwzględniają szerszego kontekstu, lecz bezkrytycznie przyjmują za wiarygodne źródła dokumenty wytworzone przez tajną policję, co jest całkowicie niedopuszczalne, zwłaszcza gdy istnieją inne raporty i opracowania, które inaczej przedstawiają jego słowa i czyny". Jednoznaczne jest także stanowisko Kurii Metropolitalnej w Krakowie: „Archidiecezja krakowska pozostaje bezgranicznie wdzięczna Bogu i dumna z wielkiej rzeszy stojących na jej czele przez wieki prawdziwie Bożych pasterzy, wśród których jako pierwszy jawi się kard. Karol Wojtyła – św. Jan Paweł II Wielki. Wiele jego decyzji, szczególnie tych o charakterze duszpasterskim, do dziś wyznacza właściwy kierunek życia naszej diecezjalnej wspólnoty".

Jest znamienne, że zrodziło się też wiele oddolnych inicjatyw religijnych, np. adoracje Najświętszego Sakramentu jako zadośćuczynienie za ataki na papieża, drogi krzyżowe w tej samej intencji.

To wszystko wskazuje, że został poruszony nerw społeczny. Mamy bowiem wszczepiony – by użyć języka prof. Andrzeja Zybertowicza – program antywirusowy, który pozwala w takich sytuacjach na reakcję. Ale właśnie tego można było oczekiwać. Bo przecież, jak prorokował nasz narodowy wieszcz Adam Mickiewicz, „Nasz naród jak lawa / Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa / Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi...".

Jan Paweł II dodałby, że nie wyziębiły się polskie sumienia.

eprasa.pl 0651f7fe14

Fałszywe oskarżenia

Nadinterpretacje, manipulacje, zakłamania, nieznajomość kontekstu, pisanie pod z góry przyjętą tezę, czyli uwagi na temat książki „Maxima Culpa...” Ekke Overbeeka



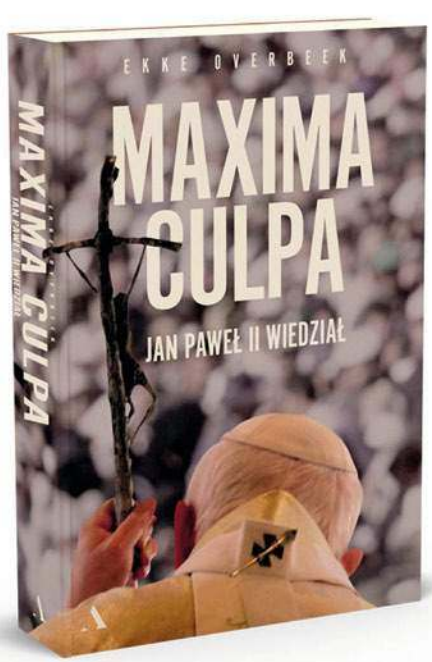
RAFAŁ ŁATKA

Ekke Overbeek stał się szerzej znany w Polsce w 2013 r., gdy wydał książkę „Lękajcie się. Ofiary pedofilii w polskim Kościele mówią”. Wypromował w niej oszusta Marka Lisińskiego, który przez kilka lat udawał ofiarę księdza pedofila. Tym razem holenderski dziennikarz postanowił napisać o tym, że kard. Karol Wojtyła w okresie, gdy pełnił funkcję metropolity krakowskiego, miał kryć duchownych, którzy odpowiadali za molestowanie nieletnich.

Autor od samego początku swoich rozważań nie prowadzi jednakże rzetelnej analizy, nie próbuje odpowiadać na wątpliwości, które się nasuwają, ale forsuje jednoznaczną tezę, że przyszły papież chronił księży pedofilów. Czyni to w sposób niezwykle nachalny, wykazując się przy tym brakiem znajomości kontekstu historycznego, wyciągając błędne, a nieraz wprost kłamliwe wnioski, oparte na daleko idących nadinterpretacjach oraz zwyczajnych błędach wynikających z niewielkiej wiedzy na temat historii Kościoła katolickiego w Polsce. Na wybranych przykładach omówię metody pisarskie Overbeeka, udowadniając, jak niewiele mają one wspólnego z rzetelnym dziennikarstwem...

KARD. ADAM SAPIEHA – OBRZYDLIWE SUGESTIE

Jednym z kluczowych elementów książki Overbeeka (opisanym w rozdziale dziewiątym) jest usilne udowadnianie, że Karol Wojtyła ukształtował się jako kapłan w atmosferze daleko idącej tolerancji dla nadużyć seksualnych. W przekonaniu autora książki miał się ich dopuszczać abp/kard. Adam Stefan Sapieha, mentor przyszłego papieża, wówczas młodego kleryka, a następnie kapłana archidiecezji krakowskiej. Holenderski dziennikarz twierdzi, że niezłomny metropolita krakowski był seksualnym drapieżcą, którego ofiarą mieli padać kapłani archidiecezji krakowskiej i klerycy tamtejszego seminarium duchownego. Tego rodzaju oskarżenie nie jest jednak oparte na pogłębionej analizie wielu źródeł historycznych. Bazuje tylko i wyłącznie na donosach ks. Anatola Boczka: zdegenerowanego kapłana, alkoholika, mającego na koncie nadużycia seksualne, wywodzącego się ze środowiska księży patriotów (czyli duchownych otwarcie kolaborujących z systemem komunistycznym). Oprócz tego wspomniany duchowny był w latach 1947–1956 informatorem aparatu bezpieczeństwa o pseudonimach Luty, a następnie Porwa.



Doniesienie, w którym ks. Boczek mówi o molestowaniu go przez kard. Sapiehę, składa już po tym, gdy został suspendowany przez metropolitę krakowskiego. Sama bezpieka przerwała z nim współpracę agenturalną, gdyż traktowała przekazywane przez niego informacje jako mało wiarygodne. Aparat bezpieczeństwa nie wykorzystał ponadto donosu ks. Boczka w czasie procesu kurii krakowskiej, który miał przecież służyć do skompromitowania dobrej pamięci o niezłomnym metropolicie.

eprasa.pl 0651f7fe14



Overbeek wielokrotnie i świadomie wprowadza czytelników swojej książki w błąd, twierdząc, że udowodnił, iż przyszły papież był pobłażliwy wobec księży pedofilów pracujących w podległej mu archidiecezji krakowskiej. Podczas gdy rzeczywistość jest zupełnie inna

Overbeek nie tylko nie dokonał analizy wykorzystywanego źródła, lecz także stwierdził arbitralnie, iż donos ks. Boczka jest bezdyskusyjnie prawdziwy. Ten fragment książki jasno udowadnia, że jej autor nie ma pojęcia o realiach Polski Ludowej, nie potrafi oceniać wiarygodności dokumentów aparatu bezpieczeństwa oraz prezentuje złą wolę, nie próbując nawet zadawać sobie pytań o okoliczności, w których powstało doniesienie ks. Boczka. Ponadto autor sam sobie zaprzecza, gdyż w rozdziale jedenastym słusznie wskazał, że Urząd Bezpieczeństwa dokonywał weryfikacji doniesień swoich informatorów, ale już nie potrafił dostrzec, że w przypadku donosu na kard. Sapiehę do tego właśnie doszło, bo potraktowano opisaną wyżej informację jako niewiarygodną. Overbeek nie zastanawia się także, jakim sposobem schorowany metropolita krakowski w 1950 r. w wieku 83 lat miał się dopuszczać agresywnych napaści seksualnych, podczas gdy w ostatnich latach swojej posługi często nie opuszczał nawet swojego łóżka.

Holenderski dziennikarz przedstawił bez żadnych dowodów jednoznaczną sugestię, że Karol Wojtyła jeszcze jako kleryk mógł być molestowany przez kard. Sapiehę, gdyż metropolita krakowski uczynił go swoim osobistym ministrantem. Tego rodzaju stwierdzenia trudno traktować inaczej niż wytwór chorego z nienawiści do Kościoła katolickiego umysłu holenderskiego dziennikarza...

PRZYPADKI KS. SURGENTA I KS. LORANCA

W książce Overbeeka zostały opisane przypadki czterech duchownych, którzy popełnili nadużycia seksualne, a kard. Wojtyła miał nie tylko nie wyciągnąć wobec nich jakichkolwiek konsekwencji kanonicznych, lecz także ich chronić. Przyjrzę się bliżej dwóm z nich: ks. Eugeniuszowi Surgentowi i ks. Józefowi Lorancowi. Zostały one już zresztą wcześniej w sposób rzetelny i z uwzględnieniem kontekstu historycznego opisane przez Piotra Litkę i Tomasza Krzyżaka. Holenderski dziennikarz rzecz jasna nie sięgnął do wspomnianych publikacji, udając, że ich nie ma. To zresztą szerszy problem, bo w książce „Maxima Culpa...” właściwie nie zostały wykorzystane niemal żadne opracowania naukowe dotyczące historii Kościoła katolickiego w PRL (których wbrew temu, co Holender myśli, powstało już sporo).

Ks. Eugeniusz Surgent był bez wątpienia przestępcą seksualnym, który dopuszczał się licznych molestowań osób nieletnich – i to w zasadzie jedyny punkt, w którym można się zgodzić z tym, co napisał Overbeek. Pozostałe wątki tej historii zostały opisane w sposób daleko odbiegający od rzeczywisto-

Fot. Screen TVN24.pl

eprasa.pl 0651f7fe14

ści, o której mówią nam dostępne źródła archiwalne. Wbrew temu, co sądzi holenderski dziennikarz, kard. Wojtyła przeniósł ks. Surgenta do Kiczory nie z powodu jego nadużyć seksualnych, bo na to nie ma żadnych dowodów. Z dokumentów SB jasno wynika, że stało się tak głównie na skutek konfliktowego charakteru tego kapłana. W każdej kolejnej parafii, w której Surgent pracował jako wikariusz, czyli w Lachowicach, Jaworznie, Wieliczce, Lipnicy Wielkiej, Żywcu, popadał w spór z proboszczem. Overbeek usiłował udowodnić, że kuria krakowska wiedziała o nadużyciach seksualnych ks. Surgenta już w okresie, gdy pracował w Lachowicach. Nie ma na to jednak przekonujących dowodów, co więcej – są przesłanki, które mówią, że było zupełnie inaczej. Z raportów aparatu bezpieczeństwa wynika, że funkcjonariusze SB nie posiadali wiedzy na ten temat, bowiem jeśliby tak było, podjęto by z pewnością próbę zwerbowania ks. Surgenta do współpracy agenturalnej. Bez żadnych dowodów Overbeek stwierdził, że kapłan nie został mianowany proboszczem w Lipnicy, gdyż kuria wiedziała, iż wykorzystywał seksualnie dzieci. To daleko idąca nadinterpretacja, gdyż – jak udowodnili Litka z Krzyżakiem – nie ma na to żadnych źródłowych dowodów.

Holenderski dziennikarz manipulował także przy opisie działań kard. Wojtyły, po tym gdy wyszło na jaw, że ks. Surgent molestował nieletnich w Kiczorze. Overbeek stwierdził, że metropolita krakowski zachował się wobec nadużyć seksualnych tego kapłana bardzo pobłażliwie i załatwił mu później pracę w diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Rzeczywistość wyglądała jednak zupełnie inaczej, gdyż kiedy kard. Wojtyła dowiedział się, że ks. Surgent jest osobą, która może zagrażać dzieciom i młodzieży, usunął go w trybie natychmiastowym z archidiecezji i przekazał tę sprawę do procedowania biskupowi lubaczowskiemu, który był ordynariuszem ks. Surgenta (duchowny był wówczas jedynie inkardynowany do pracy w metropolii krakowskiej). Kapłan ten został skazany wyrokiem prawomocnym na karę więzienia w 1973 r. (już po usunięciu z archidiecezji krakowskiej), a następnie w listopadzie 1978 r. trafił do pracy na Ziemiach Odzyskanych. Wbrew twierdzeniom Overbeeka z tym przeniesieniem kard. Wojtyła nie miał nic wspólnego, a decyzję w tej sprawie podejmowali biskupi lubaczowski i koszalińsko-kołobrzeski.

W równie zmanipulowany sposób w książce „Maxima Culpa...” został opisany przypadek ks. Loranca. I tym razem holenderski dziennikarz w nachalny sposób próbował udowodnić tezę, że kard. Wojtyła nie dopełnił swoich obowiązków i mimo wiedzy o molestowaniu dziewczynek przez podległego mu kapłana nie tylko nie wyciągnął wobec niego konsekwencji kanonicznych, lecz także miał tolerować jego kolejne nadużycia. Rzeczywisty przebieg wydarzeń wyglądał zupełnie inaczej. Kard. Wojtyła, gdy tylko dowiedział się o nadużyciach seksualnych ks. Loranca, postąpił prawidłowo, czyli pozbawił go urzędu, suspendował i wydał nakaz przebywania w określonym miejscu (w klasztorze Cystersów w Mogile).

Następnie kapłan został 19 marca 1970 r. tymczasowo aresztowany, a kilka miesięcy później, 10 września, został skazany przez Sąd Wojewódzki w Krakowie na dwa lata więzienia za molestowanie nieletnich. Po odbyciu zasądzonej kary ks. Loranc był ściśle nadzorowany w Zakopanem i nie miał prawa do katechizacji. W lipcu 1974 r. aparat bezpieczeństwa spreparował anonimowy list do kard. Wojtyły, w którym informowano, że ks. Loranc napadał na wychodzące z katechezy dziewczynki. Overbeek postawił tezę, że na skutek tego donosu (który w jego przekonaniu miał zawierać prawdziwe informacje) metropolita krakowski miał być przekonany o winie kapłana i nakazał przenieść go od razu do innej parafii, żeby sprawę wyciszyć. Przeczy temu jednak sekwencja zdarzeń, gdyż ks. Loranc został przeniesiony do nowej placówki dopiero prawie rok później. Można więc wysunąć wniosek, że kard. Wojtyła uznał te zarzuty za nieprawdziwe. Wspomniany kapłan w czerwcu 1975 r. rozpoczął posługę jako kapelan w szpitalu w Chrzanowie, gdzie pracował do 1981 r. Nie ma z tego okresu żadnych informacji o jego nadużyciach seksualnych. Ostatni okres życia (1981–1992) ks. Loranc spędził w domu księży emerytów i nie prowadził już żadnej działalności duszpasterskiej.

METODY OVERBEEKA

Przyglądając się metodom pisarskim zastosowanym przez Ekke Overbeeka w trzech opisanych wyżej przypadkach, nasuwa się kilka jednoznacznych wniosków. Po pierwsze, autor książki przyjął z góry tezę o tym, że kard. Wojtyła krył księży pedofilów, i w toku narracji jedynie próbował dość nieudolnie udowodnić swoje pierwotne założenie. Autor nie dokonał jednakże krytycznej weryfikacji źródeł, które wykorzystał, ale dopasował jedynie ich fragmenty do celu, który pierwotnie przyjął. Po drugie, Overbeek nie rozumie kontekstu historycznego i opisał wydarzenia z okresu PRL z perspektywy dzisiejszych uwarunkowań. Po trzecie, dopuścił się oczywistych manipulacji, jak w przypadku opisu rzekomych nadużyć seksualnych kard. Sapiehy czy więzi, która miała łączyć z nim kleryka Wojtyłę.

Overbeek wielokrotnie i świadomie wprowadza czytelników swojej książki w błąd, twierdząc, że udowodnił, iż przyszły papież był pobłażliwy wobec księży pedofilów pracujących w podległej mu archidiecezji krakowskiej. Podczas gdy rzeczywistość jest zupełnie inna, a w przypadku ks. Loranca kard. Wojtyła podjął środki działania daleko wykraczające poza przyjęte wówczas normy postępowania kościelnego.

Na koniec tych uwag dodać trzeba, że jeszcze pełniejsze wyjaśnienie sposobu reakcji kard. Wojtyły na przypadki nadużyć seksualnych przez duchownych podlegającej mu archidiecezji krakowskiej będzie możliwe po uzyskaniu dostępu przez historyków do dokumentacji znajdującej się w archiwum kurii krakowskiej. Z tego względu zwracam się z apelem do abp. Marka Jędraszewskiego o zgodę na udostępnienie zainteresowanym badaczom materiałów kościelnych z tego zasobu archiwalnego.

Autor jest historykiem i politologiem, profesorem UKSW, pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

eprasa.pl 0651f7fe14



Opozycja (w) bez/nadziei

Podzieleni, bez wiary w zwycięstwo i w swoich liderów – taki obraz wyborców opozycji wyłania się z raportu socjologów Sławomira Sierakowskiego i prof. Przemysława Sadury



DARIUSZ MATUSZAK

Lektura opublikowanego przez „Krytykę Polityczną" raportu z wynikami badań elektoratów „Wyborcy za jedną listą, liderzy przeciw" będzie dla działaczy opozycji przygnębiająca. Znikąd nadziei na zwycięstwo. Nie bardzo wierzą w nie nawet ich wyborcy, których opisali Sierakowski i Sadura. Można odnieść wrażenie, że wielu z nich nie będzie rozpaczać z powodu trzeciej kadencji PiS. Może poza wyborcami PO, którzy od siedmiu lat wszystko ciężko przeżywają.

Sławomir Sierakowski od lat robi wszystko, by pomóc zdobyć władzę PO. Temu zdają się służyć kolejne raporty. Nie znaczy to jednak, że są one nierzetelne. Wręcz przeciwnie, to kawał solidnej roboty, tyle że lider środowiska „Krytyki Politycznej" niemal zawsze myli się w interpretowaniu wyników swoich badań i z fatalnym skutkiem doradza swoim faworytom politycznym, o czym może zaświadczyć przypadek byłego szefa SLD Wojciecha Olejniczaka i nieustająco od 2015 r. Platformy Obywatelskiej. Nie szkodzi. I tak będzie słuchany, więc PiS powinien mu za przeszłe i przyszłe zasługi kuć medal.

Raport pewnie miał dostarczyć opozycji argumentów za wspólną listą, więc wyniki badań autorzy odpowiednio interpretują. Końcowa, błędna konkluzja częściowo znajduje się w tytule. Z badań zawartych w raporcie wynika jednak, że utworzenie jednej listy, jak za komuny – Frontu Jedności Narodu (FJN) – jest praktycznie niemożliwe. Omówimy najważniejsze ustalenia Sierakowskiego i Sadury oraz przedstawimy ich prawidłową – bo naszą – interpretację.

Punktem wyjścia do analiz autorów raportu o potencjałach wyborczych są wyniki preferencji partyjnych. Pominiemy ich omawianie, bo co tydzień kolejne są publikowane, ale warta jest odnotowania jedna anomalia. Otóż wedle badań Ipsos na potrzeby raportu poparcie dla PSL wynosi ledwie 2,6 proc. Być może taki wynik ma postraszyć ludowców i zagnać ich do FJN.

eprasa.pl 0651f7fe14

ZAGNAĆ WIEŚ DO GŁOSOWANIA NA PIS

Znacznie istotniejsze są zdolności partii do pozyskania dodatkowych wyborców, a ponieważ nie ma praktycznie żadnego przepływu elektoratów między PiS a opozycją, ci są niemal wyłącznie wśród tych, którzy na razie deklarują, że do wyborów nie pójdą. PiS może pozyskać 36 proc. takich potencjalnych wyborców – o 3 pp. więcej niż zdeklarowanych głosujących (33 proc.), a PO zaledwie 23 proc. – o 4,5 pp. mniej niż wśród już zdecydowanych.

Nic więc dziwnego, że PO tak protestuje przeciwko ułatwieniom wyborczym. Sierakowski i Sadura rozpaczają, że PiS może zyskać na wsi i piszą: „Zwróćmy uwagę, że próby zmiany zasad głosowania tak, aby rozmnożyć komisje wyborcze w małych wspólnotach na prowincji, to nic innego jak próba wprowadzenia społecznego przymusu głosowania".

Straszne – im więcej ludzi głosuje, bierze udział w święcie demokracji, tym gorzej, bo PiS dostanie większe poparcie. Można sądzić, że według autorów raportu sąsiedzi będą się grabiami i widłami zaganiać do głosowania na PiS. To pokazuje, jak wielkopańscy lewacy widzą lud, jak nim pogardzają. Na prowincji ludzi się nie motywuje, nie zachęca, nie przekonuje, tylko przymusza presją. Ewentualnie przekupuje, bo polski lud – potomkowie chłopów pańszczyźnianych – rozumie bat albo michę. Tak go pojmuje środowisko „Krytyki Politycznej", prominenci z PO i Sierakowski, który dzieli choćby elektorat PiS na sitwę korzystającą z bycia blisko władzy i lichy plebs, który nazywa „cynicznym elektoratem". To chciwe głupki, które biorą wyborczą łapówkę w postaci 500+, ulg itd.

ZMARNOWANY WYSIŁEK

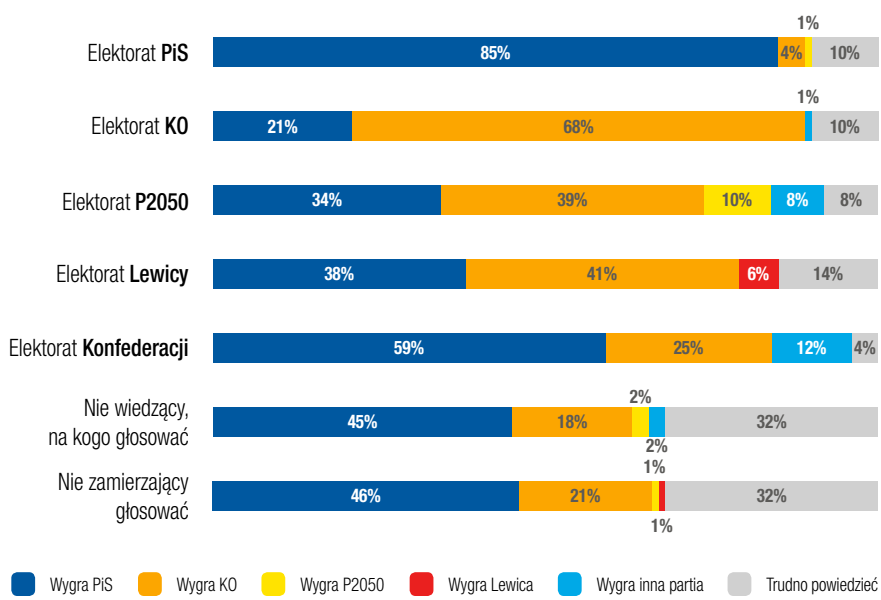
Kolejna fatalna wiadomość dla PO i przystawek jest taka, że cały wysiłek związany z demonstracjami, wydzieraniem się, robieniem awantur o wszystko, zrzędzeniem, opisywaniem urojonych klęsk, ten prymitywny i agresywny przekaz poszły jak krew w piach. Nic to nie dało. Ci, którzy w 2019 r. głosowali na PiS, a teraz są do niego zrażeni, wśród powodów najczęściej wymieniają: ogólne zniechęcenie – 21 proc., niechęć do wszystkich partii – 16 proc., inflację i sytuację ekonomiczną – 7 proc. W dalszej kolejności jest kilka kilkuprocentowych pozycji, jak afery czy styl uprawiana polityki, ale najciekawsze są te, w które opozycja, a zwłaszcza PO i Lewica, zainwestowały najwięcej wrzasku i autorytetu politycznego. 2 proc. z tych, którzy zrazili się do PiS, zrobiło to z powodu konfliktu o KPO i niechęci do Jarosława Kaczyńskiego. Ledwie 1 proc. z powodu kolejno: polityki zagranicznej, spraw aborcyjnych i ideologii LGBT+, stosunku do Kościoła, propagandy mediów publicznych. Przy czym te pojedyncze procenciki się nie sumują, bo ankietowani wpisywali po kilka powodów. Reforma sądownictwa, awantura o sędziów nie spowodowały najmniejszego odpływu elektoratu – wynik 0 proc.

Fot. Daniel Jedzura / Shutterstock

Elektoraty wg obecnych preferencji wyborczych	Sympatie i antypatie wobec poszczególnych partii													
	PiS		Koalicja Obywatelska		Polska 2050		Lewica		PSL		Konfederacja		Agrounia	
	Podoba się	Nie podoba się	Podoba się	Nie podoba się	Podoba się	Nie podoba się	Podoba się	Nie podoba się	Podoba się	Nie podoba się	Podoba się	Nie podoba się	Podoba się	Nie podoba się
PiS	85%	5%	2%	86%	3%	68%	1%	80%	2%	70%	6%	67%	2%	54%
Koalicja Obywatelska	1%	94%	82%	0%	35%	14%	27%	17%	11%	25%	1%	85%	8%	38%
Polska 2050	0%	95%	50%	4%	78%	1%	35%	19%	30%	15%	2%	78%	3%	31%
Lewica	0%	94%	34%	22%	19%	24%	86%	0%	4%	30%	0%	90%	12%	31%
PSL	17%	54%	15%	40%	4%	45%	20%	25%	73%	6%	5%	70%	3%	59%
Konfederacja	2%	69%	8%	63%	8%	64%	0%	79%	3%	80%	82%	0%	8%	35%
Nie wiem/trudno powiedzieć	14%	62%	22%	28%	12%	25%	11%	37%	6%	41%	7%	55%	6%	33%
Nie zagłosuję	26%	58%	25%	42%	20%	41%	16%	51%	10%	50%	11%	62%	5%	43%

Źródło: Krytyka polityczna

Kto wygra w następnych wyborach zdaniem reprezentantów poszczególnych elektoratów



Źródło: Krytyka polityczna

eprasa.pl 0651f7fe14

Tak naprawdę te wyniki świadczą nie tyle o PiS, ile o opozycji. O jej trwałej intelektualnej niezdolności do przedstawienia argumentów, które przekonałyby wyborców rządzącej partii do odwrócenia się od PiS. Osiem lat wydzierania się na puszczy nie dało żadnego uzysku. I tak będzie dalej – robienie przez PO kampanii na trumnie tragicznie zmarłego chłopca podobnie jak prezydenta Adamowicza nie da opozycji nic, ale to nie szkodzi i tak będzie ją bezprzytomnie kontynuować. Nie przedstawiono nic, co byłoby przedmiotem publicznej debaty, merytorycznego sporu, który jest istotą demokracji.

PiS może więc być o opozycję spokojny – ta nie jest w stanie wymyślić nic, co mogłoby mu zaszkodzić. Jedyne, co może, to awanturami wykreować atmosferę zniechęcenia, której sama pada ofiarą, bo największe rezerwy w elektoracie „zniesmaczonych" ma sam PiS.

ZŁE I DOBRE EMOCJE

Ale jest jeszcze jeden skutek tej oszalałej, a beznadziejnej aktywności, który Sierakowski i Sadura przedstawiają w bardzo lapidarnym rozdziale „Polaryzacja emocji". Jest tak krótki, że można go zacytować niemal w całości:

„Zapytaliśmy wyborców poszczególnych partii o to, jakie emocje towarzyszą im w polityce. Odsetek gotowych głosować na PiS jest wyższy wśród tych, którzy myśląc o polityce, odczuwają zaufanie, radość, dumę czy nadzieję. Wyborcy PiS są przekonani o ogólnie dobrym kierunku, w jakim zmierza kraj pod rządami Prawa i Sprawiedliwości, i pragną kontynuacji tego kursu. Profil wyborcy Koalicji Obywatelskiej także w największym stopniu jest kształtowany przez emocje w stosunku do świata polityki. Przy czym dominują tu emocje negatywne (gniew, zdenerwowanie, przygnębienie i zniechęcenie)".

I tyle. O pozostałych wyborcach nie ma ani jednego zdania poza tym, że elektorat Polska 2050 jest nijaki, letni.

Dlaczego tak mało, o tym niżej, najpierw omówimy te dwie charakterystyki. Stoją one w sprzeczności z opowieściami działaczy PO i mediów służebnych. Według nich wyborca PiS ma być zły, wiecznie niezadowolony, więc roszczeniowy, kierujący się niskimi pobudkami, zagubiony w świecie, nierozumiejący go. To człowiek, który sobie nie radzi, ale jest chytrym cwaniaczkiem, więc można go przekupić. Tymczasem jak się okazuje – odczuwa zaufanie radość, dumę, nadzieję. Za tym musi się kryć elementarne zadowolenie z życia, poczucie bezpieczeństwa. Świat, który go otacza, jest przyjazny, a nie mroczny, nienawistny, jak go opisuje opozycja. Wyborca PiS odczuwa dumę, bo wie, że uczestniczy w sukcesie, zapewne jest też dumny ze swojej ojczyzny.

> Wyborcy PSL wolą PiS od PO, a Polski 2050, z którą mieliby iść razem, nie cierpią. Zapytani o to, który lider im się najbardziej podoba – na pierwszym miejscu stawiają Mateusza Morawieckiego

Immanentną cechą lewicy, zwłaszcza kawiorowej, jest to, że ma jak najgorsze zdanie o ludzie/narodzie, gardzi nim i uważa, że działa on na zasadzie odruchów pierwotnych służących zaspokojeniu najbardziej podstawowych potrzeb, typu pełna micha. Sama lewica jest pozbawiona poczucia godności, dumy albo myli je z arogancją, więc nie potrafi docenić ich znaczenia. Eksperci PO z telewizorów i uczelni z katedrami gender podpowiadają: musicie obiecać tym jakimś tam Polakom większą michę, więcej tłuszczu do kaszy i dzięki temu wygracie wybory.

A teraz opis emocji, które targają wyborcą PO: gniew, zdenerwowanie, przygnębienie i zniechęcenie – tyle określeń przytaczają autorzy, ale z pewnością znalazłoby się ich znacznie więcej. Państwo znają ten obrazek: zaciskający pięści, z wykrzywioną twarzą Donald Tusk, który krzyczy na wiecu do swoich zwolenników: jak ja to widzę/słyszę to dostaję furrrriii!!! Więc im się też pięści zaciskają, twarze wykrzywiają i czują wściekłość. Ta złość jest też wywołana poczuciem bezradności – tyle lat protestów, tyle tłumaczenia, że krwawy reżim panuje, a PiS trzyma się mocno.

Rozdział jest króciutki, bo pewnie publicznie przedstawiono tylko mały wycinek charakterystyki wyborców PiS i PO. Świat nie może się dowiedzieć, że ci pierwsi czują dumę, radość, a ci drudzy pogrążają się we frustracji i wściekłości. To się do prasy nie nadaje. Ale pewnie jest część poufna, przeznaczona być może tylko dla Donalda Tuska. Może teraz wieczni eksperci mówią mu: Donald, to wydzieranie się, grożenie wszystkim więzieniem, zaciskanie piąch nic nie daje. Budzi tylko poczucie bezsilności.

PSL I MENSTRUACYJNE WYKLUCZENIE HOŁOWNI

Opozycja nie ma pomysłów, by przejąć elektorat PiS, nie potrafi przekonać „zniechęconych", więc eksperci i partyjni prominenci umyślili Front Jedności Narodu, bo chociaż na podziale mandatów można coś zyskać w kupie. Jest potrzebna wstępna sympatia, więc Sierakowski z Sadurą zbadali, kto partyjnie ma się ku sobie i odpowiedni rozdział zatytułowali „Lubimy się na opozycji". Nieprawda, niezbyt się lubią, a w niektórych przypadkach wręcz nie znoszą. Dość powiedzieć, że wyborcy PSL wolą PiS od PO, a Polski 2050, z którą mieliby iść razem, nie cierpią. Zapytani o to, który lider im się podoba, ludowcy na pierwszym miejscu stawiają Mateusza Morawieckiego – 43 proc. (powinien startować na szefa PSL). Władysław Kosiniak-Kamysz jest drugi – 41 proc. Trzecie miejsce – 28 proc. zajął Jarosław Kaczyński! Ludowcy wolą go nawet od Donalda Tuska – 22 proc. Za to nie znoszą Szymona Hołowni. Jego wielkopańskie, wielkomiejskie maniery konferansjera podobają się

eprasa.pl 0651f7fe14

ledwie 11 proc. To gorszy wynik niż Sławomira Mentzena – 12 proc. Właściwie Hołownia podoba się tylko Polsce 2050 (81 proc.) i KO (41 proc.). Lewica też za nim nie przepada (12 proc.). Prawie nigdzie ciepłych uczuć nie budzi Włodzimierz Czarzasty. Na lewicy podoba się ledwie 35 proc. To mniej niż Zbigniew Ziobro ma w obozie PiS – 49 proc.

Wyborcom PiS najbardziej podobają się Mateusz Morawiecki i Jarosław Kaczyński – obaj mają po 77 proc. sympatyków, choć aż 10 proc. deklaruje, że prezes PiS im się nie podoba, co może świadczyć o tym, że w partii nie ma fanatyzmu. Inaczej w PO. Tam nie ma nikogo, komu by się Donald Tusk nie podobał. Pozytywne emocje budzi u 78 proc.

Nie omówimy wszystkich konfiguracji. Po pierwsze, opozycja ma zbyt wielu liderów, na co wskazują Sierakowski i Sadura. Po drugie, wyborcy PSL nie cierpią Polski 2050 i zmuszanie ich do wspólnej listy to gwałt na sumieniach, indywidualny pomysł Kosiniaka-Kamysza. PSL i partia Hołowni to nieprzystające światy. Ot, choćby pomysł Polski 2050 „Menstruacyjne SOS", czyli walka z menstruacyjnym wykluczeniem i tabu wokół menstruacji. Chodzi o to, że panie u Hołowni podobno nie mają kilku złotych miesięcznie na środki higieniczne. Wyobrażacie sobie państwo udział ludowców w tak groteskowych i żenujących akcjach? Albo że będą gardłowali za tym, by fundować kondomy, darmowe środki antykoncepcyjne?

To skrajne przykłady, ale ilustrują problemy, przed którymi stoi opozycja. Niby, jak wynika z badań Sierakowskiego i Sadury, większość jej wyborców chce jednej listy: KO – 80 proc., Polska 2050 – 61 proc., Lewica – 58 proc., PSL – 54 proc. Jeśli jednak wejść głębiej, to ta lista się nie układa. Tym bardziej że na opozycji wbrew optymizmowi działaczy wiara w zwycięstwo jest słaba. 34 proc. wyborców Polski 2050 i 38 proc. Lewicy uważa, że wygra PiS. Nie uwzględniono elektoratu PSL, bo podejrzewam, że więcej jego wyborców wierzy w PiS niż w zjednoczoną opozycję.

Start opozycji z wielu list jest ryzykowny. Przy poparciu dla PSL 2,6 proc. i Hołowni 7,1 proc. ich koalicja mogłaby liczyć na 9,7 proc. głosów, przy czym to wynik zawyżony, bo elektoraty się nie zsumują. Margines bezpieczeństwa to ledwie 1,7 proc., bo wyborczy próg dla koalicji to 8 proc. Kilka dużych wiejskich wesel, skacowani goście nie idą na wybory i PSL z Hołownią nie przeczołgają się przez próg wyborczy.

Rozwiązaniem tych problemów niby jest wspólna lista, ale zwycięstwo Frontu Jedności Narodu miałby zapewnić zły, sfrustrowany elektorat KO, nie bardzo wierzący w sukces wyborczy Polski 2050 i Lewicy oraz ludowcy zmuszani do akrobacji, by stać w karnym szeregu obok wielkomiejskiego gogusia jak Hołownia, a także tęczowego Biedronia czy fanatycznych ateistek jak Scheuring-Wielgus. Pokraczne to będą figury.

REKLAMA



SALTUS
UBEZPIECZENIA

Ubezpieczenie na Życie SALTUS – Moje ŻYCIE

Chroń życie Swoje i Swojej rodziny.

Oferta dostępna dla Członków Spółdzielczych Kas

saltus.pl

NOWOŚĆ

Na szczęście są Ubezpieczenia!

eprasa.pl/0651f7fe14



Pic senacki

Partnerzy paktu senackiego boją się, że Donald Tusk tak podzieli mandaty i okręgi, że wyjdą na tym, jak Zabłocki na mydle



STANISŁAW JANECKI

28 lutego 2023 r. Platforma Obywatelska, Polska 2050, Nowa Lewica, Koalicja Polska i samorządowcy ogłosili podpisanie tzw. paktu senackiego. Problemem jest to, że poza samym aktem woli, żeby wszyscy sygnatariusze paktu wystawili tylko jednego wspólnego, choć wskazanego przez konkretne ugrupowanie kandydata w każdym okręgu wyborczym, pakt nie ma żadnej treści. Nie ma jej po trzech tygodniach od zawarcia paktu i prawie na pewno nie będzie miał do Wielkanocy. Wprawdzie tłumaczy się to utrudnianiem zadania Prawu i Sprawiedliwości, które będzie miało mniej czasu na przygotowanie się do walki z konkretnymi rywalami, ale to opowieść z mchu i paproci na dobre samopoczucie. W istocie sygnatariusze zgodzili się tylko na to, że chcą zawrzeć porozumienie. I nie jest przypadkiem, że wciąż nie ustalono żadnych konkretów. Głównie dlatego, że ich ustalanie może wysadzić pakt w powietrze.

Ale wszyscy zainteresowani zachowują dobre samopoczucie i twierdzą, że szczegóły umowy to drobiazg. Powołują się przy tym na pakt senacki sprzed wyborów parlamentarnych w 2019 r. Tyle tylko, że wtedy zrealizował go Grzegorz Schetyna, ówczesny przewodniczący PO (senator Marek Borowski twierdzi, że to on pakt wymyślił). A nawet najwięksi optymiści wśród uczestników paktu mają świadomość, że Schetyna ma się tak do Tuska w kwestiach koncyliacyjności i szanowania partnera jak Gorbaczow do Stalina. Bo to upór Tuska ma być powodem, że pakt senacki wciąż jest pusty w środku. A ta pustka może mieć taką moc jak energia próżni w fizyce, czyli może nawet wybuchnąć. Na razie mniejsi partnerzy dostali czas na przyjęcie upokarzających dla nich warunków narzuconych na wstępie przez Donalda Tuska i ponoć wbrew oporom senatora Zygmunta Frankiewicza, byłego prezydenta Gliwic, który ma być głównym konstruktorem paktu.

PROPOZYCJA DO ODRZUCENIA

Mocno na wyrost brzmią zapewnienia sekretarza generalnego PO Marcina Kierwińskiego, który podczas konferen-

Fot. Tomasz Gzell/PAP

eprasa.pl 0651f7fe14

cji w Senacie mówił: „Pakt to narzędzie, dzięki któremu opozycja wygra wybory senackie i Senat znowu będzie ostoją demokracji w Polsce". Związek między ewentualną wygraną opozycji w wyborach do Senatu a statusem ostoi demokracji najwyraźniej polega na tym, że wyłoniona w ten sposób większość senacka ma być „ostoją normalności i ostoją dobrego stanowienia prawa". „Normalność" w tym kontekście jest właściwie niedefiniowalna, bo zakłada się, że normalne jest tylko posiadanie większości przez opozycję. Z kolei stanowienie prawa jest dobre wtedy, gdy robią to osoby uważające, że dobrze stanowią prawo, w czym brakuje jednak odrobiny obiektywizmu. Wniosek Kierwińskiego, że „kto będzie startował wbrew tym uzgodnieniom [w sprawie paktu], będzie wspierał PiS", nie jest dowodem normalności, tylko dyskryminacji i ograniczenia biernego prawa wyborczego, co w Polsce jest nielegalne. To samo zresztą przekazał na konferencji w Senacie reprezentujący Nową Lewicę Dariusz Wieczorek: „Kto nie idzie z nami, idzie przeciw nam".

W słowach orędowników paktu pobrzmiewa nie triumfalizm (ponoć są w stanie zdobyć 65 mandatów), lecz obawa, że może być trudno, dlatego nie wolno tolerować żadnego zdrajcy i renegata. A tacy muszą być, skoro wciąż nie ma szczegółów paktu. Mało tego, potencjalni zdrajcy i renegaci są łudzeni różnymi obietnicami, żeby nie burzyli sielankowego obrazu. Tak jak w 2019 r. zburzył go Paweł Kasprzak, reprezentujący Obywateli RP. Zachował się jak renegat wobec uzgodnionego kandydata – Kazimierza Michała Ujazdowskiego (wtedy KO), choć ten i tak wygrał. Nie można też tolerować nielojalności. A za nielojalność PO i Tusk (a właściwie cała opozycja) uznali głosowanie przez Polskę 2050 przeciw noweli ustawy o Sądzie Najwyższym, podczas gdy reszta opozycji się wstrzymała od głosu. Za tamten wybryk Donald Tusk ma straszyć Szymona Hołownię obcięciem puli miejsc senackich dla jego ugrupowania.

W 2019 r. z list Koalicji Obywatelskiej (w ramach pierwszego paktu) weszły do Senatu 43 osoby. Żeby znowu mieć tyle samo, a najlepiej 45–52 mandaty, Tusk ma się domagać 60 miejsc dla Koalicji Obywatelskiej. Problemem jest to, że partnerzy chcieliby oddać najwyżej 40 miejsc. Tak, żeby ugrupowanie, którego liderem jest Tusk, samodzielnie nie zdobyło większości w Senacie. Bo wtedy partnerzy mogliby być upokarzani i ignorowani. Gdyby KO dostała 60 miejsc, dla Polski 2050 pozostałoby ich 12, podobnie dla Lewicy, a dla Koalicji Polskiej i samorządowców – po 8 miejsc. Na to nie ma zgody i toczące się negocjacje wcale nie wróżą kompromisu.

CO Z TYM GIERTYCHEM?

Dotychczasowi senatorowie opozycji mieliby mieć pierwszeństwo w walce o miejsca. Ale nawet w tej sprawie są problemy. Część chce startować w wyborach do Sejmu, bo izba refleksji nie odpowiada ich temperamentowi i mimo historycznego ciężaru godności senatorskiej bycie posłem uznają za gwarantujące większe wpływy i możliwości. Oficjalnie w KO mówi się, że dobrowolnie chcą zakończyć karierę w Senacie Barbara Borys-Damięcka i Antoni Mężydło. Nieoficjalnie tych dwoje senatorów ma być namawiane do rezygnacji, a nie, że sami tego chcą. Dla Tuska problemem ma być to, że Borys-Damięcka, wybrana w okręgu 43, jesienią 2023 r. będzie miała już 86 lat. Z kolei Mężydło nie gwarantuje ponoć 100-proc. lojalności. Lojalność gwarantują wybrany w okręgu 11 Adam Szejnfeld oraz startująca w okręgu 8 Barbara Zdrojewska. Ale Tusk ma mieć dość wyskoków Szejnfelda, a miejsce dla Zdrojewskiej zależałoby od tego, czy jej mąż, senator Bogdan Zdrojewski, będzie kandydował do Sejmu. Lojalny jest też Stanisław Gawłowski, ale popieranie go przez KO może nie być politycznie opłacalne, bo wciąż trwa wielkie śledztwo w sprawie afery melioracyjnej, w którą jest uwikłany. Tusk go broni, ale w nowym rozdaniu wolałby uniknąć kłopotów z Gawłowskim.

Lewica nie chce wystawiać wicemarszałek Senatu Gabrieli Morawskiej-Staneckiej. Nie chce tego lider Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty, od wielu miesięcy z nią skłócony. Stąd jej wdzięczenie się do Tuska i KO, ale otwarte jej poparcie byłoby policzkiem dla Czarzastego. Największy problem jest z obsadą okręgu 90 (powiat poznański), gdyż wybrana stamtąd Jadwiga Rotnicka (KO) podobno nie ma zamiaru zmienić okręgu, żeby zrobić miejsce dla faworyta Tuska – Romana Giertycha. Znany mecenas budzi opory w innych niż KO uczestnikach paktu, gdyż w forsowaniu jego kandydatury może chodzić wyłącznie o immunitet. A poza tym pamięta się jednak, kim Giertych był, zanim przeszedł na tę samą stronę, gdzie obecnie jest opozycja. Nie wiadomo też, kto przygarnie renegata z PiS Jana Marię Jackowskiego i czy ten transfer jest w ogóle opłacalny, mimo że byłby jakimś odwetem wobec partii Jarosława Kaczyńskiego. Tusk nie ma jednak pewności, czy to Jackowski był w stanie zdobyć mandat, czy wygrał dlatego, że startował w okręgu PiS-owskim. Jeśli to drugie, to Jackowski bez poparcia PiS, a z poparciem KO wcale nie musi zdobyć mandatu.

INŻYNIERIA TUSKA

Nie dość, że KO chce mieć 60 miejsc, to jeszcze chce się wtrącać w kandydatury innych uczestników paktu oraz w to, które okręgi miałyby im przypaść. Przydzielenie kandydata do jednego okręgu może mu gwarantować mandat, a przydzielenie do innego wręcz przeciwnie. Jeśli kandydaci spoza KO dostaną miejsca w okręgach tradycyjnie PiS-owskich, te miejsca są właściwie z góry „niebiorące". Gdy się ma do obsadzenia osiem miejsc w całej Polsce, a połowa z tego przypadłaby na okręgi dla opozycji „niebiorące", to te miejsca byłyby czystą fikcją, choć liczby by się zgadzały. I tego najbardziej boją się politycy spoza KO. A Tusk ma tak właśnie ustawiać kandydatów partnerów, żeby jego faworyci byli w okręgach „biorących", a nie jego w tych „niebiorących". W ten sposób mógłby zapewnić KO nawet samodzielną większość w Senacie.

Na razie jedynym efektem komunikatu o podpisaniu paktu senackiego są wojny tych, którzy już się widzieli w poszczególnych okręgach z domniemanymi konkurentami w obrębie paktu. A technicznym problemem jest to, że pełnomocnicy prowadzący rozmowy sami nie mogą decydować, każdą sprawę konsultując z szefami partii. Trzy tygodnie po podpisaniu paktu jest on nawet bardziej mglisty niż był przed jego podpisaniem. Niczego nie uzgodniono, a już wybuchło kilkadziesiąt konfliktów o kandydatury i podział okręgów. Niektórzy politycy opozycji spoza KO obawiają się, że o to chodziło Tuskowi. Poczeka on, aż sytuacja się zanarchizuje, a potem wkroczy jako mediator i postawi własne warunki. Takie, że partnerzy nie będą niczego pewni, Platforma zaś ugra swoje, a nawet więcej.

eprasa.pl 0651f7fe14



W Berlinie bez zmian

Niemcy oficjalnie przyznają się do porażki swojej dotychczasowej polityki wschodniej. Ale protekcjonalny ton, który nadal słyszymy zza Odry, wskazuje, że Berlin nie zamierza dokonywać wobec Polski żadnej zasadniczej zmiany kursu



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Jeszcze rok temu utuczone na rosyjskich sterydach Niemcy rozdawały większość kart w Europie. Jednak dziś, ponad rok od wybuchu wojny na Ukrainie, dawny porządek już właściwie nie istnieje.

Załamanie dotychczasowej strategii, która miała wynieść Niemcy do pozycji niekwestionowanego lidera Europy, wywołało w Berlinie wstrząs i zagubienie. Nic zresztą dziwnego, bo na tej strategii opierano od ponad półwiecza całą politykę Republiki Federalnej i ta polityka przez długi czas przynosiła owoce – najważniejszym z nich było zjednoczenie Niemiec w 1990 r. oraz późniejsza ekspansja polityczna w Europie, szczególnie w jej wschodniej części.

W Berlinie uważano – w dużym stopniu słusznie – że to wszystko byłoby niemożliwe bez akceptacji Moskwy i że w związku z tym współpraca z Rosją jest nieodzownym warunkiem wzrostu pozycji Niemiec. Trzymano się więc kurczowo obranego kursu. Związało to Niemcy tak mocno z polityką Moskwy, że w ostatnich latach można było już mówić o geopolitycznym sojuszu obu państw. A skoro jest sojusz, to są też wspólne interesy i wspólni wrogowie.

PODKOPYWANIE SĄSIADA

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że Moskwa postrzega Stany Zjednoczone jako swojego największego wroga. I że w związku z tym szczerze nienawidzi Polski, państw bałtyckich oraz paru innych krajów naszego regionu, które w obawie przed agresywną polityką Kremla oparły swoje bezpieczeństwo na bliskiej współpracy z Ameryką.

Fot. Piotr Molęcki/East News

eprasa.pl 0651f7fe14

Niemcy – jako członek NATO i jedno z najważniejszych państw wspólnoty transatlantyckiej – miały z tym oczywisty problem. Balansowały więc w ostatnich latach na wąskiej linie zawieszonej między Rosją i Ameryką, sabotując *de facto* istniejący system bezpieczeństwa w Europie i temperując zbyt niesforne państwa naszego regionu z Polską na czele. To m.in. dlatego gwałtownie pogorszyły się stosunki polsko-niemieckie po zwycięstwie wyborczym PiS w 2015 r. Nowa władza w Warszawie ośmieliła się bowiem nie respektować dłużej niemieckich interesów politycznych i zamiast tego zaczęła realizować polskie, zupełnie sprzeczne ze strategiczną wizją Berlina.

Praworządność, rzekome zagrożenia demokracji były dla Niemiec doskonałym pretekstem do ingerencji w nasze wewnętrzne sprawy. Chodziło o to, by pod pozorem troski o wartości europejskie wywrócić do góry nogami nieposłuszny rząd Zjednoczonej Prawicy i przywrócić do władzy starych, sprawdzonych lenników spod znaku PO.

Donalda Tuska wspominał ostatnio z rozrzewnieniem Martin Schulz, zapomniany już nieco były szef SPD i kandydat tej partii na kanclerza Niemiec w 2017 r. Jego zdaniem Tusk prowadził właściwą, proeuropejską politykę. Polska miała nie wierzgać, bo utrudniało to Niemcom ich wielką grę prowadzoną z Moskwą.

Po wybuchu wojny na Ukrainie ten misterny plan legł w gruzach. Z początku Niemcy po cichu liczyły na szybkie zwycięstwo Moskwy i powrót do przedwojennej współpracy. Gdy jednak okazało się, że sprawy zaszły za daleko, a Ukraina zaczęła skutecznie bronić się przed agresją, aktywność Berlina zmalała. Niemcy przez długi czas unikały – jakoby w obawie przed eskalacją wojny – podejmowania jakiejkolwiek ostrzejszej polityki wobec Rosji, nie spieszyły się też w związku z tym z udzielaniem pomocy militarnej Ukrainie. Najwyraźniej szukano wyjścia z trudnej sytuacji.

W tym czasie Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Polska i wiele krajów naszego regionu przejęły inicjatywę na wschodzie, nakreślając tym samym główny cel polityki kolektywnego Zachodu, którym było powstrzymanie rosyjskiej agresji i utrzymanie niepodległej Ukrainy.

Rosnąca rola Polski – jako jednego z inicjatorów nowej polityki – oraz bliska współpraca Warszawy z Kijowem stały się zagrożeniem dla dotychczasowej pozycji Niemiec. W tej sytuacji Berlin znów zareagował nieprzyjaźnie wobec Polski, kwestionując ustami swojego obecnego i byłych ambasadorów wiarygodność naszego kraju i uderzając zarówno w relacje polsko-ukraińskie, jak i w polsko-amerykańskie.

Co ciekawe, w tym samym czasie znowu doszło do gwałtownego zaostrzenia sytuacji politycznej w Polsce. Być może to zwykły zbieg okoliczności, ale trudno nie dostrzec roli, którą w podgrzewaniu atmosfery odgrywają media należące do niemieckich właścicieli.

> Berlin przemyślał swoją nową politykę wschodnią. Jeżeli nie uda mu się w przyszłości odbudować relacji z Rosją, to będzie chciał zablokować powstanie silnego związku między Polską i Ukrainą

NIESZCZERA SKRUCHA

Od początku roku mieliśmy już do czynienia z prawdziwą ofensywą publicystyczną niemieckich dyplomatów. Dwaj byli i obecny ambasadorowie Niemiec w Warszawie postanowili bowiem zabrać głos w sprawie relacji z Polską. To dość niespotykane zjawisko, które można interpretować chyba tylko jako polityczny sygnał wysłany z Berlina. Wszyscy bowiem mówią mniej więcej to samo.

Zaczyna się od kurtuazji i przyznania, że to Polska miała rację w sprawie agresywnych intencji Rosji oraz że Niemcy popełniły błąd w ocenie sytuacji. Ale czy to naprawdę był błąd?

Trzeba być chyba idiotą, by uwierzyć, że polityka niemiecka ostatniego półwiecza ze szczególnym uwzględnieniem ostatniej dekady – począwszy od resetu z Rosją po jej ataku na Gruzję, a kończąc na budowie obu nitek gazociągu Nord Stream – była prowadzona przez niedoświadczonych głupców. Intencje Kremla były doskonale wszystkim znane, Putin ich nigdy nie ukrywał – chciał odbudowy dawnej strefy wpływów i mówił o tym otwarcie.

Niemcy także o tym wiedzieli i mimo to ściśle z Rosją współpracowali – nie ma więc mowy o błędzie. Jeśli ktoś tu popełnił błąd, to był to Putin, który z sobie tylko znanych powodów 24 lutego 2022 r. stracił nagle cierpliwość i wywrócił do góry nogami stół, na którym leżała kusząca oferta bardzo bliskiej współpracy z Niemcami. Gdyby tego nie uczynił, to dziś bałtycką rurą dalej płynąłby rosyjski gaz do Niemiec, a Berlin budowałby nową Europę, opierając się na związku z Moskwą i przy okazji szczodrze ją finansując.

Przyznawanie się do błędu przez niemieckich dyplomatów nie jest więc szczere i przypomina – zachowując wszelkie proporcje – typowe zachowanie naszych zachodnich sąsiadów w kwestiach dotyczących II wojny światowej. Niemcy zawsze chętnie uderzą się w pierś, wezmą na siebie odpowiedzialność za wybuch wojny, tyle że wyłącznie werbalnie.

Nic tak bardzo nie zirytowało w ostatnim czasie Niemców jak kwestia reparacji wyciągnięta na światło dzienne przez obecny rząd. „Mam pytanie do polskiego rządu – czy wystawianie nowych rachunków za stare rany jest najlepszym sposobem na osiągnięcie lepszego sąsiedztwa między Polakami a Niemcami?" – rzucił w rozmowie z „Newsweekiem" obecny ambasador Niemiec w Warszawie Thomas Bagger. Trudno tu jednak mówić o jakichś nowych rachunkach, skoro stare nie zostały jeszcze spłacone. Zamiast rozliczać się z własnej przeszłości, Niemcy wolą rozliczać innych. A jeszcze chętniej, dzielić się z nimi winą.

Ambasador stosuje taką taktykę również w kontekście obecnej sytuacji i próbuje podzielić się odpowiedzialnością za politykę, która ułatwiła Rosji agresję na Ukrainie. Bagger w zupełnie zadziwiający jak na dyplomatę sposób posłużył się w tym celu mediami społecznościowymi,

eprasa.pl 0651f7fe14

rzucając publiczne pytanie do szefa MON Mariusza Błaszczaka: „Czy pan minister wie, ile miliardów złotych Polska co roku przelewała do Moskwy w zamian za rosyjską energię?”.

Trudno zrozumieć, na co liczył ambasador, rzucając takie pytanie. Na razie jeszcze nikt w Polsce nie zapomniał o tym, kto budował Nord Stream, a kto się temu sprzeciwiał. I kto – psując strategię Niemiec i Rosji – uruchomił rurociąg Baltic Pipe oraz dokończył budowę terminala LNG w Świnoujściu. Berlin najwyraźniej nie zamierza jednak gratulować nam z tego powodu, co jeszcze raz potwierdza tezę, że niemieckie bicie się w piersi z powodu błędnej oceny Rosji jest nie do końca szczere.

FAŁSZYWE ZARZUTY

Niemiecki dyplomata, sugerując Polsce współudział w zbrodni, którą było finansowanie putinowskiego reżimu, próbuje podważyć wiarygodność naszego kraju. Przywodzi to na myśl absurdalne zarzuty rzekomej współpracy PiS z Kremlem, które pojawiają się nieustannie w kręgach anty-PiS-owskiej opozycji.

W swoim artykule dla „Politico” były ambasador Niemiec w Warszawie Arndt Freytag von Loringhoven wytknął premierowi Morawieckiemu, że „dwa miesiące przed rosyjską inwazją zwołał spotkanie 16 przywódców partii prawicowych, z których wielu liderów było przyjaciółmi lub apologetami Putina”. „W dniu warszawskiego szczytu Francuzka Marine Le Pen stwierdziła, że Ukraina jest oczywiście w strefie wpływów Rosji. Putinowi musiało się to podobać” – napisał Loringhoven.

Z dzisiejszej perspektywy widać, że próba szukania wsparcia dla Polski wśród polityków w rodzaju Orbána, Salviniego czy Le Pen nie miała sensu właśnie ze względu na ich stosunek do Moskwy. Tyle że polski rząd był wpychany w ich ramiona przede wszystkim z powodu nieustannych ingerencji Unii, za którymi stał Berlin. Co wtedy stało na przeszkodzie Niemcom, by skończyć z taktyką atakowania Warszawy?

Oczywiście na przeszkodzie stały ich własne długofalowe interesy, musieliby bowiem nawiązać bardziej partnerskie relacje z Polską, a tego nie chcieli. Zarzucanie teraz polskiemu obozowi rządowemu współpracy z putinowcami jest tym bardziej fałszywe, że to właśnie Berlin i liberalny mainstream Unii otwarcie umizgiwali się wtedy do Putina oraz ubijali z nim – jak im się wtedy zdawało – największy deal swojego życia.

Twierdzenie, że obecny polski rząd tworzą wzorujący się na Putinie autokraci, jest jednak nie tylko próbą samousprawiedliwienia i podzielenia się odpowiedzialnością, lecz także służy podważeniu polskiej wiarygodności sojuszniczej. Niemcom trudno ukryć irytację i rozczarowanie tym, że w ciągu ostatniego roku prezydent USA Joe Biden dwukrotnie odwiedzał Niemcy, ale jedynie z pokładu swojego samolotu podążającego do Polski. To nie w Berlinie zapadały kluczowe decyzje w sprawie Ukrainy, z czym Niemcom trudno jest się pogodzić.

Wspomniany już von Loringhoven, podobnie jak Martin Schulz, próbuje więc dezawuować obecne władze w Polsce, zarzuca im brak praworządności oraz twierdzi, że przed rosyjską inwazją na Ukrainę stosunki amerykańsko-polskie sięgnęły dna. Jako dowód na tę mocno kontrowersyjną tezę podał fakt, że jako kandydat na prezydenta Biden wymienił Polskę obok Białorusi jako kraj, w którym demokracja jest zagrożona. Sugestia – czy raczej donos opublikowany w medium skierowanym głównie do amerykańskiego odbiorcy – jest więc taka, że Stany Zjednoczone nie mogą opierać swojej polityki w naszej części Europy na rzekomo tak opresyjnym reżimie i powinny poczekać na jego zmianę w najbliższych wyborach. Najlepiej na taki, który – jak możemy się domyślać – będzie działał w zgodzie z wartościami i z interesem europejskim (czytaj: niemieckim).

KOŃCZY SIĘ WASZE PIĘĆ MINUT

Wszystko to jednak jest jedynie rodzajem przygotowania artyleryjskiego przed znacznie poważniejszym atakiem, którym jest próba wbicia klina we współpracę polsko-ukraińską. Niemcy, manipulując statystykami, przedstawiają się jako lider pomocy udzielanej Ukrainie, co ma podważyć wizerunek Polski jako jednego z głównych dostawców uzbrojenia dla Kijowa. Poza tym próbują – i to jest najgroźniejsze – powiązać wewnętrzną reformę Unii Europejskiej z perspektywą członkostwa Ukrainy we wspólnocie. Otwarcie mówi o tym Martin Schulz. Polityk SPD twierdzi, że jest za przyjęciem Ukrainy do Unii, gdyby proces ten był połączony ze zniesieniem zasady jednomyślności. „Tak jednak nie jest. Dlaczego? Ponieważ takie kraje jak Polska czy Węgry nie chcą poruszyć się nawet o milimetr” – tłumaczy w rozmowie z tygodnikiem „Der Spiegel”. A więc to Polska ma jego zdaniem stać na przeszkodzie europejskim aspiracjom Ukrainy. Można się spodziewać, że już wkrótce ten zarzut wobec naszego kraju będzie pojawiał się w Niemczech częściej.

Nie ulega wątpliwości, że Berlin w ciągu ostatniego roku przemyślał swoją nową politykę wschodnią. Jeżeli nie uda mu się w przyszłości odbudować relacji z Rosją, to będzie chciał zablokować powstanie silnego związku między Polską i Ukrainą. Zmiana władzy w Warszawie dałaby ku temu sposobność i wpłynęła na politykę Kijowa. Jasne jest przecież, że w przypadku porażki Moskwy Berlin chętnie zagrałby pierwsze skrzypce również na Ukrainie. I wyraźnie zaczyna do tego dążyć.

To dlatego Niemcy zaczęli nam ostatnio udzielać przyjacielskich rad, byśmy nie wchodzili im w drogę, bo wszystko wokół nas może się mocno zmienić. „Istnieje niebezpieczeństwo, że ten polski moment, w którym Polska korzysta z nowej postawy Niemiec, minie szybciej, niż się niektórym wydaje” – ostrzegł w rozmowie z niemiecką telewizją NTV były ambasador Niemiec w Warszawie Rolf Nikel. A portal Onet opatrzył tekst na ten temat tytułem „Były niemiecki ambasador ostrzega: polskie pięć minut może się szybko skończyć”.

Podsunięty przez Onet zwrot pochwycił ambasador Bagger, który uznał, że pomysł, by Polska spożytkowała „swoje pięć minut na politykę prowadzoną przeciwko Niemcom, jest karkołomny. Zmarnowałaby w ten sposób swój strategiczny potencjał”.

Ten protekcjonalny ton świadczy jedynie o tym, że Niemcy wbrew swoim zapewnieniom nie skorygowały ani nie zamierzają skorygować kursu wobec Polski. Co więcej, te zawoalowane groźby świadczą o rosnących obawach, które wywołuje w Berlinie zmiana sytuacji międzynarodowej wywołana wojną na Ukrainie. Niemcy zamierzają jednak twardo bronić swojej pozycji w naszej części Europy, a wysłany przez nich sygnał można odczytywać następująco: albo się z tym pogodzicie i podporządkujecie się temu, albo prędzej czy później was do tego zmusimy.

W sumie nic nowego.

eprasa.pl 0651f7fe14

1600 kont w internecie próbuje wstrząsnąć Polską

W ostatnim roku użyto przeciw naszemu krajowi ok. 600 tematów dezinformacyjnych. Cel tych operacji: polaryzować społeczeństwo. Jak pokazuje życie, dezinformacja najlepiej działa wtedy, gdy funkcjonuje w bieżących, gorących narracjach

Z Mateuszem Mrozkiem, szefem działu zajmującego się monitorowaniem dezinformacji w Polsce Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej – Państwowego Instytutu Badawczego, rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

Czego nowego możemy się dowiedzieć o dezinformacji wokół polsko-białoruskiej granicy?

Mateusz Mrozek: Cała operacja informacyjna wokół polsko-białoruskiej granicy nadal trwa, choć zapewne miała mieć finał już w lutym i marcu 2022 r., podczas inwazji rosyjskiej na Ukrainę. Rosjanie chcieli nas zniesławić na arenie międzynarodowej i uniemożliwić nam pomoc Ukrainie. Wiele treści, które wtedy powstały, było nakierowanych na osoby o lewicowo-liberalnej wrażliwości, by te wywierały naciski na decydentów w Polsce i Europie. Zachodnie media były wpuszczane na stronę białoruską, żeby przedstawić sytuację w sposób korzystny dla ich narracji. Rozbujanie emocji nie było jednak obliczone tylko na polską politykę wewnętrzną, lecz przede wszystkim na osłabienie Polski w oczach zasadniczego w kwestiach imigranckich Zachodu. Opinia społeczna w demokracjach liberalnych, skoncentrowana na prawach człowieka, miała się zniechęcić do naszego kraju, a po ataku na Ukrainę pozostać niewzruszona na apele skompromitowanej Warszawy.

Co sprawiło, że to się nie udało?

Reakcja Polski była bardzo silna i transparentna, ale pomogły też czynniki zewnętrzne. Do zachodnich stolic już od jesieni docierali różni emisariusze informujący, że Rosjanie szykują coś większego, więc były spodziewane różnego rodzaju prowokacje. Postrzegano to, co robi białoruski reżim jako element szerszej akcji. Postawa zdecydowanej większości klasy politycznej w Polsce okazała się jednak dojrzała. Pomijam biegi z reklamówką do obozu migrantów czy kontrowersyjne wypowiedzi, które słyszymy nawet dziś. Warto jednak podkreślić, że nasi politycy nie odegrali takiej roli, jaka byłaby wymarzona dla wschodniej propagandy. Temat nielegalnych imigrantów nadal bulgocze w infosferze. Czeka na swój moment, jest lekko, ale nieustannie podgrzewany. Widać też, że jest on skorelowany z sytuacją na rosyjsko-ukraińskim froncie. Kiedy Rosjanie przygotowują się do ofensywy, mamy w naszej infosferze więcej tematów związanych z polsko-białoruską granicą, komunikaty Straży Granicznej pokazują również, że zwiększa się wtedy liczba prób nielegalnego przekroczenia granicy. Dobrze, że nie pozostaje to bez reakcji decydentów, którzy antycypują i reagują jak w przypadku ewentualnego zagrożenia na granicy z obwodem kaliningradzkim. Nie zmienia to jednak faktu, że interwały są dostosowane do tego, co Moskwa chce osiągnąć w związku z sytuacją na Ukrainie.

Celem dezinformacji w Polsce nie byli więc Polacy?

Cel zależy od tego, gdzie żyjemy i jaka jest potrzeba chwili. Odnotowujemy w rosyjskiej dezinformacji trzy sektory działań oparte na dawnych strefach wpływów. Pierwszy sektor to nasze podwórko: Polska i dawny blok komunistyczny oraz kraje postsowieckie, o których Rosja chce decydować. To jest geostrategiczny rezerwuar Moskwy, którego infosferę próbuje wypełnić takimi tematami, jak uchodźcy, wielopłaszczyznowa szkodliwość wojny z Rosją, mit wielkiej i niepokonanej Rosji, z którą nie warto zadzierać. Tutaj są reaktywowane różne resentymenty historyczne. Są podejmowane próby wzmagające izolację państw tego sektora. Dla celów wewnętrznych są np. podawane w wątpliwość sojusze, a dla celów zewnętrznych jest budowana narracja o zachowaniu Polaków na granicy Polski i Białorusi. Drugim sektorem jest szeroko pojęty Zachód, czyli kraje, które nie doświadczyły Rosji (w żadnej ze swoich postaci) jako długotrwałego,



Fot. Shutterstock

szkodliwego okupanta. Co ciekawe, nawet Finlandia, mająca długą granicę z Rosją, nie jest przez nią postrzegana jako była strefa wpływów – ludzie w Helsinkach doświadczają operacji informacyjnych podobnych do tych w Paryżu, a nie takich jak w Wilnie czy Tallinie. Podczas rozmowy z naszymi fińskimi odpowiednikami wskazywano nam, że nawet po ogłoszeniu chęci dołączenia do NATO nie widać radykalnego zaostrzenia retoryki w rosyjskich działaniach dezinformacyjnych. Widać oczywiście zmianę sentymentu z neutralnego na mniej życzliwy, ale to nadal nie jest wrogość. Finlandię tak jak euroatlantycki Zachód bombarduje się innymi wątpliwościami, związanymi z jakością życia: czy chcecie droższych biletów, paliwa, czy chcecie więcej płacić za prąd i gaz, czy jesteście gotowi na obniżenie komfortu życia?

Gdzie jest trzeci sektor?

Nazywa się go Globalnym Południem. Ameryka Łacińska, a zwłaszcza Afryka i część Azji to obszary mało znane w powszechnej polskiej świadomości, a tymczasem tam tę wojnę informacyjną Zachód przegrywa. Nam w Polsce wydaje się, że sprawą oczywistą jest, kto jest winny, kto jest agresorem, a kto ofiarą w tej wojnie. Dla nas ta sprawa urasta do rangi świętej krucjaty przeciwko imperium zła i wyobrażamy sobie, że wszyscy to widzą. Nic bardziej mylnego. Dla peryferyjnego kraju przysłanie przez Moskwę na pomoc w tłumieniu lokalnych konfliktów kilku skrzyń kałasznikowów może być silnym gestem poparcia godnym przyjaźni z rosyjskim mocarstwem. W dodatku przeciwnicy Rosji słabiej operują w infosferze w takich językach, jak hiszpański, portugalski, setkach języków i dialektów afrykańskich oraz azjatyckich, a to w nich rozgrywa się istna kampania dezinformacyjna. Ostatnio np. południowoamerykańskie konto w mediach społecznościowych podało, że w Bydgoszczy policja brutalnie tłumi protest ruchu antywojennego. Nic takiego nie miało miejsca, ale gdzieś za Atlantykiem ludziom się wydaje, że Polska prze do wojny i bije tych, którzy pragną pokoju. Nie przywiązuje się niestety na szeroko pojętym Zachodzie nadmiernej wagi do sytuacji w infosferach Globalnego Południa. Tymczasem Siergiej Ławrow robi sobie tournée po stolicach krajów tego umownego trzeciego sektora i sprzedaje zupełnie inną narrację niż ta, która jest dla nas oczywista.

Czy to agentura opowiada o złych Ukraińcach i nie naszej wojnie?

Wierzę głęboko, że to jest misinformacja, a nie dezinformacja, a więc raczej nieświadome wprowadzanie w błąd. Dezinformacja częściej reaguje na głupie wypowiedzi niż je sama tworzy, ona je często podsyca, a nie generuje. Ludziom się często wydaje, że za dezinformacją stoi jakaś wielka i skoordynowana armia ludzi, a prawda jest taka, że to są tysiące osób na całym świecie, a nie setki tysięcy w jednej Polsce. Z naszych obserwacji wynika, że dezinformacja w dużym stopniu jest zautomatyzowana, to znaczy – treść jest tworzona przez człowieka, ale później rozpowszechnia się ją automatycznie. Właściwie bardzo trudno jest wskazać,



Fot. NASK

kto jest agentem, agentem wpływu, „śpiochem" albo tylko naiwnym i rozemocjonowanym internautą. Dlatego w walce z dezinformacją najważniejszy jest w moim przekonaniu skutek, jaki wywołują konkretne treści. Tak też działa mój zespół, który przede wszystkim chce odnajdować mechanizmy dezinformacyjne, a nie tylko skupiać się na nadawcy i jego charakterystyce.

Ile takich ludzi przeznaczonych na Polskę funkcjonuje w internecie?

Ponad 1,5 tys. kont internetowych – podkreślam: kont, a niekoniecznie ludzi, bo czasem jeden człowiek może obsługiwać kilka kont. Zaznaczam przy tym, że w tej liczbie nie ma botów, które mają często żywotność muszki owocówki, czyli działają przy jednej operacji i znikają, stanowiąc podbudowę pod rzekomo wiarygodną treść. 1,5–1,6 tys. kont stale rozpowszechnia dezinformację rosyjską i podgrzewa emocje społeczne. Nie wszyscy operatorzy tych profili są agentami, niektórzy faktycznie myślą, że Rosji nie da się pokonać, a Polska jest poddawana np. ukrainizacji. Dlatego warto pamiętać, że dezinformacja jest w Polsce spłaszczana jako pojęcie. Język angielski jest tutaj nieco bardziej precyzyjny. Dzieli te szkodliwe zjawiska na disinformation, misinformation i malinformation, czyli na szkodliwe treści rozprzestrzeniane umyślnie, nieumyślnie i złośliwie.

eprasa.pl 0651f7fe14

Jak działa wrzutka dezinformacyjna?

Opiszmy to na przykładzie letniej dezinformacji dotyczącej cukru. Zbliżał się okres domowego przetwórstwa i w internecie sporo rozmawiało się o cukrze: gdzie kupić, gdzie tańszy, jaki jest lepszy. Operator po rosyjskiej stronie odnotował, że temat cukru się rozwija, a potrzebując wywoływać perturbacje w Polsce, wziął ten temat i wykorzystał jak w dżu-dżitsu – użył energii przeciwnika, polskiego społeczeństwa, by go obrócić przeciwko sobie samemu. I oto pojawia się seria pozornie niezwiązanych z sobą wpisów typu: „No tak, przez Ukraińców nie mogłem kupić cukru". Pojawia się to na jakiejś grupie w mediach społecznościowych, jest komentowane przez nieświadomych użytkowników, a jeśli ktoś widział już podobnego fake newsa gdzieś wcześniej, rodzi się przekonanie, że to poważna sprawa. Treści takie udostępniają różni internauci, zwłaszcza ci od 1,5 tys. kont dezinformujących, aż wreszcie pisze o tym jakiś mediaworker z plotkarskiego portalu, bo szuka klikającego się tematu. Daje krzykliwy tytuł, grafikę i sprawa zaczyna żyć drugim życiem. Dalej wystarczy, że ktoś opublikuje nagranie, na którym faktycznie w sklepie stoi kolejka po cukier albo ktoś kupuje dużo cukru i wtedy wchodzimy w trzecią fazę – ludzie faktycznie ruszają do sklepów po cukier i faktycznie przy nagle eksplodującym popycie zaczyna go jednorazowo brakować w sklepach. Niektóre sieci wprowadziły wtedy limity na zakupy tego produktu, inne podniosły ceny i tak dezinformacja spowodowała konkretną reakcję społeczną, tym razem niegroźną. Jednak badania wykazały, że 89,9 proc. Polaków latem ub.r. przynajmniej słyszało o tym, że w sklepach brakuje cukru, a 33 proc. z nich usłyszało o tym od realnych ludzi, w realnym życiu. To są bardzo niepokojące liczby. Niepokojące pod kątem tego, jak niewiele potrzeba, by zdestabilizować sytuację w dużym kraju.

> Ludziom się często wydaje, że za dezinformacją stoi jakaś wielka i skoordynowana armia ludzi, a prawda jest taka, że to są tysiące osób na całym świecie, a nie setki tysięcy w jednej Polsce

Nie jest chyba pomocną rada specjalistów od dezinformacji, żeby weryfikować źródła, gdyż newsów jest codziennie bardzo dużo.

Zgoda, tego typu nawoływanie jest kontrproduktywne. Dzisiaj jesteśmy zalewani informacjami, więc nie powinniśmy prosić, by każdy news weryfikować. Za to łatwo wskazać, jaką wiadomość należałoby sprawdzić.

Jaką?

Taką, która wywołuje w nas emocje i zachęca lub zniechęca nas do jakiegoś działania: udzielenia bądź nieudzielenia pomocy, zadzwonienia gdzieś, zrobienia czegoś konkretnego. W takich przypadkach powinniśmy wzmóc swoją czujność.

Koronawirus, wojna – żyjemy w wyjątkowych czasach. A na dodatek ten rok jest szczególny – nadchodzą w Polsce wybory parlamentarne. Co oni będą kombinować na jesień?

Nie wiemy przy użyciu jakich treści – w ostatnim roku użyto ok. 600 tematów dezinformacyjnych – ale łatwo możemy określić cel tych operacji: polaryzować społeczeństwo. Jak pokazuje życie, dezinformacja najlepiej działa wtedy, gdy funkcjonuje w bieżących, gorących narracjach. W br. na pewno znajdą się nowe „Odry", „wojny", „uchodźcy" czy „szczepionki" – pretekstów nie brakuje. Skłócenie nas to podstawowy zamiar rosyjskiej agentury.

Skoro tyle wiemy, to gdzie są służby?

Nie mogę oczywiście mówić za wiele, chciałbym jednak uspokoić czytelników. Jest dużo lepiej, niż nam się wydaje, a że o służbach wiele nie słychać, to tym lepiej i dla nich, i dla nas.

Oby nie była to polska, ułańska pewność siebie.

My obecnie słyszymy od naszych zachodnich partnerów z NATO czy Unii Europejskiej, że nasz system wykrywania i przeciwdziałania dezinformacji jest odbierany bardzo pozytywnie. To nie jest nasze samozadowolenie, to jest wniosek naszych rozmówców z podobnych instytucji w USA, Finlandii czy Czechach. Mówi się, że złapanie agenta to porażka służb – dlatego lepiej poznać tego agenta w infosferze i nauczyć się mu przeciwdziałać. Polecam obejrzenie filmu „Brexit", w którym jest pokazana idea robienia kampanii politycznej w internecie. Mechanizm ten ilustruje również dobrze to, co dzieje się w dezinformacji. Widzimy więc i profilowanie wyborców, i koncepcję wywołującą społeczne emocje – koncepcję wyjścia z Unii Europejskiej. Rozumiemy, dlaczego społeczeństwo zareagowało.

Dlaczego?

Dlatego że często zapominamy o tym, jak różnorodne są ludzkie postawy i poglądy, zapominamy i nie obsługujemy potrzeb jakiejś grupy ludzi. Nie komunikujemy się z nimi, nie edukujemy ich, nie pomagamy im. Ktoś kogoś nie posłuchał, nie przyszedł na czas z ostrzeżeniem. Dlatego my się skupiamy na edukowaniu, tzw. prebankingu, by zawczasu zabezpieczyć naszą infosferę przed atakiem informacyjnym. Im więcej wiemy, tym więcej jesteśmy w stanie przewidzieć, chcemy wiedzieć i reagować jak najszybciej, by tłumaczyć i wskazywać. Nie piętnować. Wiemy, że Rosjanie będą chcieli nas skłócić z Ukraińcami, więc działamy tak, by zapobiec erupcji antyukraińskich emocji. Na razie nam się to wspólnie z polskim społeczeństwem i klasą polityczną całkiem nieźle udaje.

eprasa.pl 0651f7fe14

Zła twarz



Iwona Hartwich wraca do Sejmu z protestem osób niepełnosprawnych i ich opiekunów. Trudno jednak nazwać ją liderką całego środowiska, bo awantura, którą wywołuje, ma służyć przede wszystkim ponownemu wejściu na listy wyborcze Koalicji Obywatelskiej



MARCIN WIKŁO

Wystarczy przez chwilę poprzyglądać się obozowisku osób niepełnosprawnych rozbitym na sejmowej galerii, by dojść do wniosku, że jest zupełnie inaczej niż ostatnio, czyli w 2018 r. Nie zmieniły się hasła, to wciąż oskarżycielskie w tonie żądania kierowane do rządu PiS, ale poza tym prawie same różnice. To niemal zupełnie inne osoby (o tym za chwilę), a przede wszystkim zupełnie inna dynamika samego protestu i tego, jak jest odbierany. Coś tu nie gra.

NIE TAK MIAŁO BYĆ

6 marca br., a więc dzień, w którym Iwona Hartwich ogłosiła, że „protest dorosłych osób niepełnosprawnych i ich opiekunów zostaje ODWIESZONY", miał być poświęcony zupełnie innej sprawie.

– O tym, że w Sejmie pojawi się grupa pod wodzą posłanki KO, nie wiedział ani szef jej klubu Borys Budka, ani posłowie Grzegorz Napieralski i Jan Grabiec, którzy przez kilka tygodni przygotowywali uderzenie w rząd. Na ten poranek była zaplanowana duża akcja związana z tzw. lex pilot – mówi mi osoba związana z jedną z partii opozycyjnych. Tego dnia odbywało się wysłuchanie publiczne w sprawie ustawy, którą w ocenie opozycji rząd miał zapewnić TVP uprzywilejowane miejsce na platformach cyfrowych i w sieciach kablowych.

Nawet sprzyjające opozycji media miały tego dnia kłopot. Co pokazywać? Sprawa lex pilot przeszła praktycznie bez echa. Ten dzień „wygrała" Iwona Hartwich, która wysunęła żądanie, by już następnego dnia Sejm zajął się obywatelskim projektem ustawy podnoszącym wysokość renty socjalnej (od 1 marca 2023 r. to 1588,44 zł brutto) do wysokości najniższego krajowego wynagrodzenia, czyli 3490 zł brutto.

I tutaj kolejna konsternacja. Dziennikarze zaczynają zasypywać Borysa Budkę pytaniami, dlaczego klub Koalicji Obywatelskiej – którego posłanką jest stojąca na czele protestu Hartwich – nie złożył do tej pory takiego projektu. „Jest to projekt obywatelski, zbieraliśmy pod nim podpisy, nasi parlamentarzyści. Właśnie taka była prośba środowisk osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów, by to była szersza akcja" – odpowiedział trzy dni później Budka w RMF FM.

Gdy sprawa się rozlała, Budka musiał trzymać fason, choć politycy KO uśmiechają się na samo wspomnienie, jak go to irytowało. – Publicznie opowiadał, że pierwszą decyzją nowego rządu będzie zgoda na te postulaty, a w środku aż się gotował. Ma Iwony dość i wszyscy to wiedzą – mówi mi jeden z posłów. W końcu Koalicja Obywatelska zgłosiła swój projekt (tożsamy z tym obywatelskim), który zapewne będzie rozpatrywany na posiedzeniu w połowie kwietnia. – Gdyby to było dla partii ważne, nie skończyłoby się tak ugodowo. Byłoby ciśnienie, że takiej ustawie należy się tryb pilny, żądanie nadzwyczajnego posiedzenia Sejmu itp. A zobaczcie, co się dzieje, leżą na korytarzu, toczą się negocjacje z ministerstwem, spokój i cisza – mówią moi rozmówcy.

Fot. Wojciech Olkusnik/East News

eprasa.pl 0651f7fe14



W SWOJEJ SPRAWIE

Iwona Hartwich miała usłyszeć w klubie KO, że „to nie jest temat, który pozwoli coś ugrać w kontekście wyborów". Mówi się, że zaczęła protest nie mając pomysłu, jak go skończyć, by wyjść z twarzą. – Musi iść na zwarcie, do końca, choć nie wiadomo, jaki on będzie. Jest mało prawdopodobne, by wywalczyła wszystko to, czego się domaga – słyszę.

W partii jest także poczucie, że Iwona Hartwich trzy lata kadencji przespała, a uaktywniła się teraz, bo usłyszała, że dla kogoś tak mało produktywnego nie będzie biorącego miejsca na liście wyborczej. Dlatego walczy. Podobnie jak posłanki Małgorzata Niemczyk i Monika Rosa, na których zaproszenie dostały się do Sejmu osoby protestujące.

Pytanie w Radiu Zet: „Czy z ręką na sercu powie pani, że nie chodzi także o pani osobisty interes?". Iwona Hartwich: „Nie mam w tym żadnego prywatnego interesu. Powiem, że jeżeli będę tylko mogła, to absolutnie tak, wystartuję do Sejmu". Posłanka KO mówi dzisiaj o sobie, że jest jedynym rzecznikiem osób niepełnosprawnych w Sejmie. Rzeczywiście, w swoich wystąpieniach jest konsekwentna w upominaniu się o pieniądze, ale poza pohukiwaniem i już dosyć rytualnym piętnowaniem PiS za rzekomą kradzież pieniędzy z Funduszu Solidarnościowego, konkretów nie ma.

Coraz głośniej mówi się w Sejmie o tym, że Iwona Hartwich myśli raczej o sobie niż o całym środowisku. Być może to nie do końca sprawiedliwe uproszczenie, ale zwraca się uwagę na jej oświadczenia majątkowe, które ma obowiązek składać i publikować. A przecież to ona sama zawsze kładła mocny nacisk na kwestie finansowe (zazwyczaj dopominała się „żywej gotówki"). Jako parlamentarzysta Hartwich zarabia całkiem godziwie. Tylko w 2022 r. (trzeci rok kadencji) to było ponad 116 tys. zł uposażenia poselskiego i ponad 37 tys. zł diety parlamentarnej (w tym 32 452,89 zł to kwota nieopodatkowana). Posiłkowała się także nieoprocentowaną pożyczką na cele mieszkaniowe z Kancelarii Sejmu w wysokości 30 tys. zł. To pozwala jej na sukcesywną spłatę kredytu hipotecznego, w 2019 r. wynosił on 111 tys. zł, obecnie nieco ponad 40 tys.

CORAZ GORZEJ?

Awanturniczy charakter Iwony Hartwich daje o sobie znać każdego dnia. Coraz trudniej jest pracownikom Kancelarii Sejmu i Straży Marszałkowskiej znosić jej bezpośrednie zaczepki i rzucane przez innych protestujących mocne, czasem niecenzuralne słowa. Ordynarne odzywki sypią się także w kierunku Pawła Wdówika, pełnomocnika rządu ds. osób niepełnosprawnych, który sam jest niewidomy, a mimo to w trakcie rozmów słyszy wciąż, że nie rozumie specyfiki tej grupy społecznej.

Uzasadnienie zawsze jest jedno – że życie niepełnosprawnych jest wyjątkowo trudne, że należy im się opieka i pomoc. To prawda, nie znajdzie się chyba osoby, która zamieniłaby swoje zdrowe życie z kimś przykutym do wózka inwalidzkiego. Ale w całej tej sprawie, by nie nosiła znamion populistycznego szantażu, potrzeba rzeczowej rozmowy, a nie krętactw, a z takimi – niestety – mamy tutaj do czynienia.

– Wszyscy wiedzą, że już drugiego dnia protestujący dostali propozycję korzystania z pokoi z łazienkami w hotelu poselskim. Ale jak by to wyglądało, gdyby się zgodzili? Hartwich odmówiła, by móc przed kamerami opowiadać, że muszą się myć w umywalkach – słyszę od osoby, która jest w Sejmie codziennie.

Rozłożone na korytarzu materace i opieka nad chorymi dziećmi (dorosłymi) to codzienny reality show, które odbywa się tuż obok stanowisk dziennikarskich. Czasem ktoś podejdzie, nagra wypowiedź, ale energii podobnej do tej z 2018 r. nie ma ani chyba nie będzie. – Iwona powtarzała wtedy jak refren, że „to nie jest protest polityczny" i co? Na tej fali została politykiem – mówi mi osoba związana z klubem Lewicy. – Weszła do Sejmu na plecach Joaśki Scheuring-Wielgus, która wspierała ją z całego serca. Na korytarzu pomagała poseł Agnieszka Ścigaj, która sama ma niepełnosprawne dziecko. A dzisiaj wysłuchuje od niej same nieprzyjemne rzeczy. Dlatego nie ma klimatu dla tego protestu. Czasem tylko ktoś z posłów wpadnie z sernikiem czy szarlotką i zrobi zdjęcie na Fejsa.

Moi rozmówcy zwracają uwagę na jeszcze jedną sprawę. Na tej samej fali, na której Iwona Hartwich wpłynęła do Sejmu, jej syn Jakub został radnym miasta Torunia. On także składa coroczne oświadczenia majątkowe. W pierwszym, z 2018 r., zaznaczył, że renta socjalna, którą otrzymał, wyniosła 8012,60 zł, w ostatnim opublikowanym dokumencie czytamy, że za 2022 r. to świadczenie wynosiło 17 410,56 zł.

Wokół Iwony Hartwich i jej syna na sejmowym korytarzu są prawie sami nowi ludzie. Od 2018 r. została z nią tylko Alicja Jochymek z 25-letnią córką Kingą chorującą na małogłowie dziecięce. Reszta grupy, która pięć lat temu spędziła w Sejmie 41 dni, gdzieś się rozpierzchła. Większość osób o pani Hartwich nie chce rozmawiać albo mówi anonimowo, bo to nie są miłe słowa. Od każdej z nich słyszę, że to „protest pani Iwonki", która „jest bardzo złą twarzą słusznej sprawy". Bo sprawa jest, potrzeby i kłopoty nie zniknęły. – To prawda, że rząd robi zbyt mało, zawsze będzie mało, ale nieuczciwością jest powiedzieć, że nie robi nic. Tak tej rozmowy toczyć nie można – słyszę.

eprasa.pl 0651f7fe14

Mord poza polityką

Zabójca Pawła Adamowicza co najmniej przez 40 lat nie wyjdzie z więzienia. Jego czyn był zbrodnią kryminalną, a nie polityczną – orzekł sąd. Czy ten wyrok zakończy wykorzystywanie przez opozycję trumny prezydenta Gdańska? Niewiele na to wskazuje



MAREK PYZA

W tej sprawie nie mógł zapaść inny werdykt. Sędzia Aleksandra Kaczmarek przychyliła się do stanowiska prokuratury i skazała Stefana Wilmonta na dożywocie, z prawem wnioskowania o warunkowe zwolnienie dopiero po 40 latach odsiadki. W ustnych motywach wyroku wskazywała na drobiazgowe zaplanowanie zbrodni przez mordercę, brak u niego jakiejkolwiek skruchy (nawet w czasie ogłaszania orzeczenia był w świetnym humorze, często się śmiał) i poważne zagrożenie, które stanowi dla innych ludzi, bez większych szans na zmianę jego postępowania.

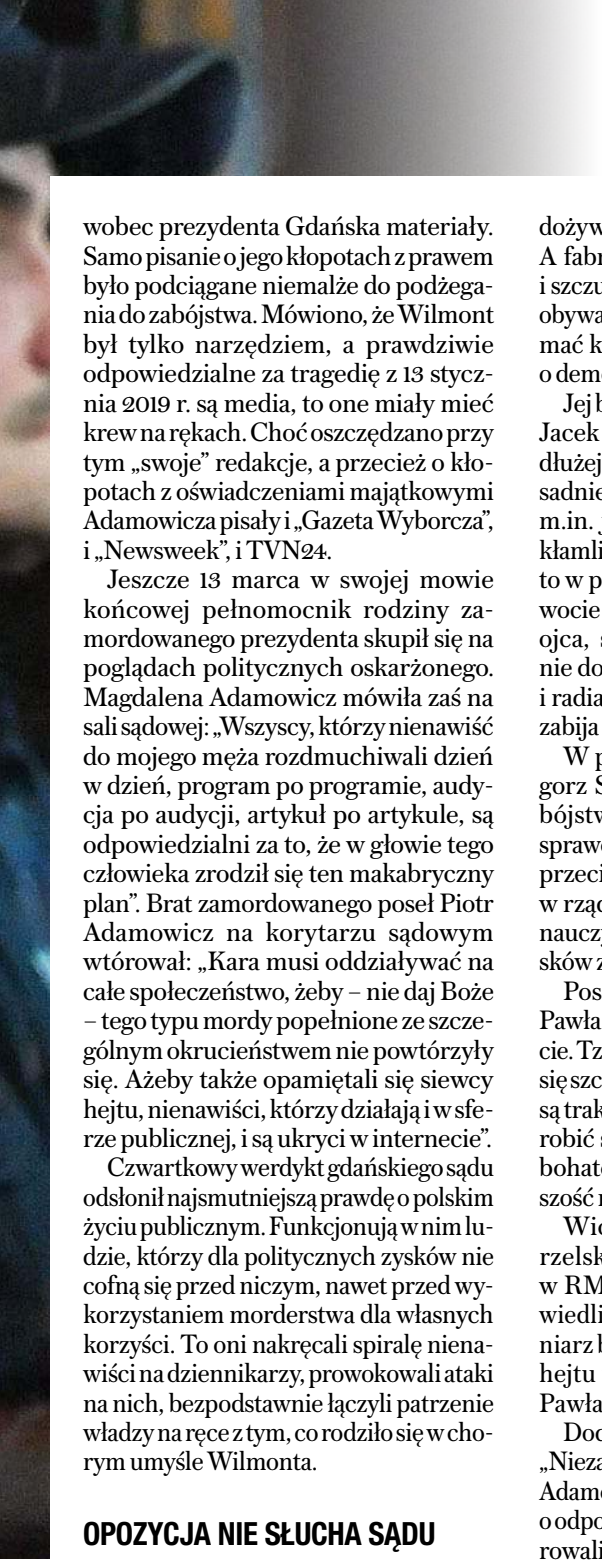
CZTERY LATA HEJTU

Ale chyba najważniejsze – z punktu widzenia debaty publicznej – słowa, które padły z jej ust, dotyczyły rzekomych politycznych motywów zwyrodnialca. „Tak jak przedmiotowa sprawa nie była sprawą polityczną, tak i motywacja oskarżonego taka nie była. Powiązanie zamachu z polityką ma charakter nadinterpretacji wynikających z publicznego komentowania sprawy, a nie rzeczywistych przekonań oskarżonego. Skrajność jego poglądów była niezależna od konkretnych uwarunkowań politycznych. Szukał on jakiegokolwiek wytłumaczenia dla swojego poczucia krzywdy. Brak jest dowodów na to, aby oskarżonemu towarzyszyły obsesyjne myśli dotyczące obiektu ataku, tj. Pawła Adamowicza. […] Był on przypadkową osobą, symbolizującą w umyśle oskarżonego pierwotne źródło krzywdy postrzegane przez niego, tj. wymiar sprawiedliwości w Gdańsku i Platformę Obywatelską. Był też w mniemaniu oskarżonego osobą znaczącą, której zabicie będzie spektakularnie głośne".

Przez ostatnie cztery lata politycy opozycji i jej zaplecze medialne próbowali nam wmówić coś odwrotnego. Winą za śmierć Adamowicza obarczali dziennikarzy, którzy publikowali krytyczne

Fot. PAP

eprasa.pl 0651f7fe14



wobec prezydenta Gdańska materiały. Samo pisanie o jego kłopotach z prawem było podciągane niemalże do podżegania do zabójstwa. Mówiono, że Wilmont był tylko narzędziem, a prawdziwie odpowiedzialne za tragedię z 13 stycznia 2019 r. są media, to one miały mieć krew na rękach. Choć oszczędzano przy tym „swoje" redakcje, a przecież o kłopotach z oświadczeniami majątkowymi Adamowicza pisały i „Gazeta Wyborcza", i „Newsweek", i TVN24.

Jeszcze 13 marca w swojej mowie końcowej pełnomocnik rodziny zamordowanego prezydenta skupił się na poglądach politycznych oskarżonego. Magdalena Adamowicz mówiła zaś na sali sądowej: „Wszyscy, którzy nienawiść do mojego męża rozdmuchiwali dzień w dzień, program po programie, audycja po audycji, artykuł po artykule, są odpowiedzialni za to, że w głowie tego człowieka zrodził się ten makabryczny plan". Brat zamordowanego poseł Piotr Adamowicz na korytarzu sądowym wtórował: „Kara musi oddziaływać na całe społeczeństwo, żeby – nie daj Boże – tego typu mordy popełnione ze szczególnym okrucieństwem nie powtórzyły się. Ażeby także opamiętali się siewcy hejtu, nienawiści, którzy działają i w sferze publicznej, i są ukryci w internecie".

Czwartkowy werdykt gdańskiego sądu odsłonił najsmutniejszą prawdę o polskim życiu publicznym. Funkcjonują w nim ludzie, którzy dla politycznych zysków nie cofną się przed niczym, nawet przed wykorzystaniem morderstwa dla własnych korzyści. To oni nakręcali spiralę nienawiści na dziennikarzy, prowokowali ataki na nich, bezpodstawnie łączyli patrzenie władzy na ręce z tym, co rodziło się w chorym umyśle Wilmonta.

OPOZYCJA NIE SŁUCHA SĄDU

Czy wyrok ich otrzeźwił? Czy któryś z polityków Platformy Obywatelskiej przeprosił dziennikarzy za plucie na nich tylko dlatego, że wykonywali swoje obowiązki? Nie ma mowy!

Obecna prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz nie czekała nawet na uzasadnienie orzeczenia. Gdy tylko poznała jego sentencję, o godz. 10.19 rzuciła się do Twittera: „Zabójca prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza Stefan W. skazany na dożywocie. Wyrok jest nieprawomocny. A fabryka pogardy, hejtu pracuje dalej i szczuje na myślących inaczej. Tylko my obywatelki i obywatele możemy to zatrzymać kartą wyborczą i codzienną troską o demokrację".

Jej bliski przyjaciel, prezydent Sopotu Jacek Karnowski, wytrzymał godzinę dłużej, a więc mógł już poznać treść uzasadnienia i wiedzieć, że sąd rozbił w pył m.in. jego budowaną przez cztery lata kłamliwą narrację. Nie przeszkodziło mu to w popełnieniu takiego wpisu: „Dożywocie – sprawiedliwa kara, ale nie wróci ojca, syna, męża, brata, przyjaciela... nie dotyczy też tzw. telewizji publicznej i radia pełnych hejtu i nienawiści, która zabija dalej".

W podobnym tonie zabrał głos Grzegorz Schetyna: „Wyrok w sprawie zabójstwa Pawła Adamowicza kończy sprawę karną. Ale systemowe szczucie na przeciwników politycznych wciąż trwa w rządowych mediach. Niczego się nie nauczyli i nie wyciągnęli żadnych wniosków z tej tragedii".

Poseł Agnieszka Pomaska: „Zabójca Pawła Adamowicza skazany na dożywocie. Tzw. telewizja publiczna dalej zajmuje się szczuciem, przestępstwa z nienawiści są traktowane wybiórczo, z ofiar próbuje robić się przestępców, a z przestępców bohaterów. Ten polityczny mord większość niczego nie nauczył".

Wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski z PSL na gorąco komentował w RMF FM: „Kara oczekiwana, sprawiedliwa. Ten niespełna rozumu zbrodniarz był ostatnim ogniwem w łańcuchu hejtu i nienawiści rozwiniętym wobec Pawła Adamowicza".

Dodajmy do tego grona Tomasza Lisa. „Niezależnie od wyroku na zabójcę Pawła Adamowicza nie mamy prawa zapomnieć o odpowiedzialności tych, którzy go inspirowali i siali nienawiść, różnych Sitków i ich przełożonych, nawet jeśli w nagrodę pojechali do Waszyngtonu". Zaznaczmy, że przynajmniej uczciwie napisane. Lis przyznaje, że swoje dyrdymały publikuje niezależnie od wyroku. A zatem mówi nam: nie interesują nas ustalenia sądu, drobiazgowe śledztwo prokuratury (dziękował za nie nawet Piotr Adamowicz). My wiemy swoje i dalej będziemy szczuć na tych, którym chcemy odebrać prawo udziału w debacie publicznej.

CZYSTA OBŁUDA

Sąd powiedział dziś jasno: żadne publikacje medialne nie miały związku z morderstwem. To nieuprawnione nadinterpretacje. Dlaczego więc nawet wyrok ich nie zatrzymał?

Wdowę można poniekąd zrozumieć. Jej obecne kłopoty z prawem (Magdalena Adamowicz czeka na termin rozprawy apelacyjnej w procesie o przestępstwa karnoskarbowe, sprawa jest bliska przedawnienia) to ciąg dalszy skandalu z ukrywaniem setek tysięcy złotych majątku. Przypomnijmy: wedle niezależnego sądu badającego sprawę prezydenckich oświadczeń majątkowych Adamowiczowie okłamali CBA, prokuraturę, Izbę Skarbową, Urząd Skarbowy i właśnie sąd, przekonując, że ok. 0,5 mln zł, których pochodzenia nie mogły wyjaśnić służby, wzięły się z darowizn od dziadków i pradziadków dla dzieci Adamowiczów. Dzięki naszym ustaleniom, które wspólnie z Marcinem Wikłą opisaliśmy w tygodniku „Sieci", opinia publiczna mogła się dowiedzieć, że sami Adamowiczowie nie wiedzieli, ile mają pieniędzy. „Gotówka w domu im się mieszała" (to słowa samego prezydenta) – ta Pawła i Magdaleny z tą córek. Ujawniliśmy, że małżeństwo posiadało 36 rachunków w różnych instytucjach finansowych i że włodarz Gdańska przez kilka miesięcy składał w CBA sprzeczne z sobą wyjaśnienia odnośnie do pochodzenia majątku.

Wiele wskazuje, że ten skandal pozostanie bez kary. Sąd pierwszej instancji w czerwcu ub.r. uniewinnił Magdalenę Adamowicz, kuriozalnie obarczając prokuraturę obowiązkiem ustalenia, skąd małżeństwo miało nadmiarowe setki tysięcy złotych.

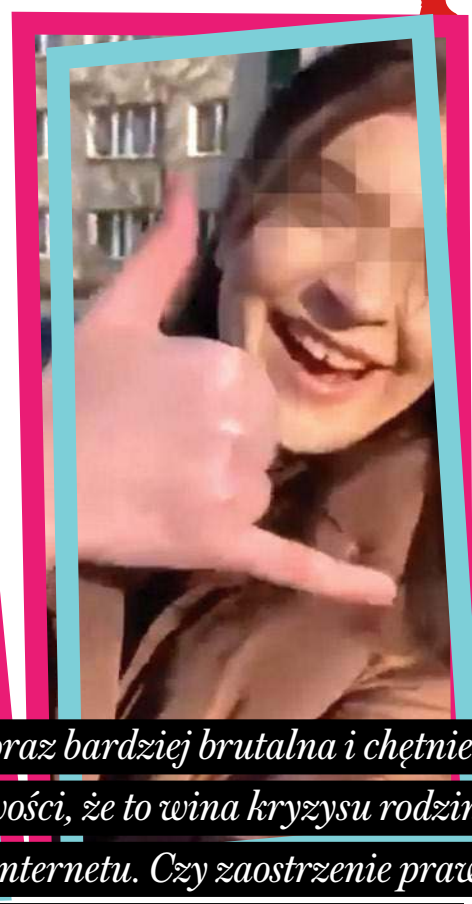
Bezkarnie będzie też zapewne wciąż oskarżać dziennikarzy o udział w zbrodni. „Zanim ugodził go nóż mordercy, zabiły go wasze słowa. Sączona każdego dnia pogardliwa, nienawistna propaganda" – mówiła w ostatnią rocznicę zabójstwa.

Nic, nawet trauma wdowy nie usprawiedliwia takich ataków. Tym bardziej nie da się usprawiedliwić jej partyjnych kolegów. Po czwartkowym wyroku dla wszystkich powinno stać się jasne, kto w tej sprawie tańczy na trumnie i obłudnie sieje nienawiść. A co najbardziej w tym obrzydliwe – robi to dla politycznych profitów.

eprasa.pl 0651f7fe14

Brutalny jak dziecko







Polska młodzież jest coraz bardziej brutalna i chętnie dzieli się tym w sieci. Eksperci nie mają wątpliwości, że to wina kryzysu rodziny, wartości, autorytetów, przeniesienia życia do internetu. Czy zaostrzenie prawa zniechęci nastolatki do katowania rówieśników?



DOROTA ŁOSIEWICZ

Zamość. 28 lutego na ulicy ginie 16-letni Eryk. Chłopiec został brutalnie pobity w biały dzień. Załodze karetki nie udało się go uratować. Sprawcy zostali zatrzymani tego samego dnia ok. godz. 21, każde z nastolatków w swoim domu. Najstarszy chłopak ma 17 lat. Usłyszał później zarzut zabójstwa. Dwaj 16-latkowie będą odpowiadać jako nieletni za udział w pobiciu. Zarzut pomocnictwa do udziału w pobiciu usłyszała z kolei 16-letnia dziewczyna.

Pruszków. Pod koniec lutego grupa nastolatków znęca się nad chłopakiem. Biją go i kopią, a jedna z dziewcząt każe mu klękać i całować buty. Do internetu trafia film z zajścia (fot. powyżej). W tej sprawie zostaje zatrzymanych sześć osób. Wszystkie są w wieku od 14 do 16 lat. Sąd wydaje postanowienie i stosuje w stosunku do całej szóstki środek tymczasowy w postaci schroniska dla nieletnich, umieszczając ich tam na okres trzech miesięcy.

Miejsce nieznane. W sieci pojawia się kolejny film. Na nagraniu widać, jak

eprasa.pl 0651f7fe14

dziewczyna bije dziewczynę. Ofiara ma twarz we krwi. Otrzymuje ciosy pięściami i kolanami. Napastniczka szarpie ofiarę za włosy, tak jakby miałaby być lepiej widoczna w kamerze. „Klękaj, k...a. I mów, że ją przepraszasz" – mówi napastniczka. Po chwili wykrzykuje: „Na kolana!". Umazana krwią dziewczyna wykonuje polecenia i cały czas wyciera krew z twarzy. W nagraniu padają imiona i nazwiska zarówno ofiary, jak i tej, która ma być agresorką. Z rozmowy wynika, że pobicie jest karą za to, że ofiara obrażała napastniczkę, która teraz chce przeprosin. Po publikacji nagrania Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich zawiadamia prokuraturę i policję.

CO Z TĄ MŁODZIEŻĄ?

– Atak na wiarę, Kościół, religię, rodzinę za pośrednictwem mediów liberalno-lewicowych sprawia, że młodzi ludzie są dziś bardzo często zagubieni. Szkoła ma wspierać rodzinę, ale nie może jej zastąpić. Dlatego była potrzebna reforma ministra Czarnka. Ona służyła temu, by szkoła realnie wspierała rodzinę w radzeniu sobie często z trudną młodzieżą. Szkoda, że pan prezydent nie podpisał tej ustawy. A brutalizacja życia to m.in. wynik ataku i negowania autorytetów, choćby ostatnio Jana Pawła II. I taki później jest efekt. Gdy atakuje się Kościół, niszczy się naród, jak mówił kard. Wyszyński. A efekt jest taki, że młodzi ludzie później gubią się w tym świecie bez wartości, w którym jest wiele zła – słyszę od wiceministra sprawiedliwości Marcina Warchoła.

Marek Grabowski, prezes Fundacji Mamy i Taty, tłumaczy: – Przyczyn problemu brutalizacji wśród młodzieży upatrywałbym w osłabieniu i rozpadzie rodziny oraz więzi rodzinnych. Za tym idzie osłabienie kontroli społecznej i wychowania, czyli przekazywania wzorców norm i wartości. Młodzież, nie mając autorytetów, jest pozostawiona sama sobie, czyli ulicy i mediom. Jak spojrzymy na te media, np. TikToka, to zobaczymy, że epatuje on silnymi emocjami, przemocą, agresją. Młodzi ludzie, czasem bez perspektyw, pozbawieni moralnego kręgosłupa, też chcą zostać gwiazdą TikToka. Dlatego nagrywają przemoc. Przyznam, że po obejrzeniu filmu z Pruszkowa byłem wstrząśnięty – dodaje Grabowski.

Aż 57 proc. dzieci doświadcza przemocy ze strony rówieśników – wynika z raportu „Dzieci się liczą" opracowanego przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę. Co trzecie dziecko twierdzi, że doświadczyło przemocy rówieśniczej w ciągu ostatniego roku. „Najczęstszą formą przemocy rówieśniczej była przemoc fizyczna (42 proc. badanych doświadczyło jej kiedykolwiek, a 23 proc. – w roku poprzedzającym badanie), następnie psychiczna (29 proc. i 14 proc.), napaść zbiorowa (18 proc. i 8 proc.), znęcanie się (14 proc. i 7 proc.) oraz przemoc podczas randki (6 proc. i 2 proc.). Odsetek osób wykorzystanych seksualnie przez rówieśnika (przez dotykanie intymnych części ciała) wyniósł 4 proc. w ciągu całego życia i 2 proc. w roku poprzedzającym badanie" – czytamy w raporcie.

AGRESYWNE DZIEWCZYNKI

Według policji spada wiek młodocianych przestępców oraz rośnie liczba przestępstw dokonywanych z dużą dozą agresji. Z policyjnych danych wynika również, że bardziej brutalne i skłonne do bójek stały się dziewczęta.

– Brutalizację wśród młodzieży, a szczególnie wśród kobiet, obserwujemy już niestety od dość dawna. Były takie badania Wyższej Szkoły Psychologii Społecznej dotyczące zmiany cech osobowościowych. Okazało się, że dziewczęta reagują większą agresją niż chłopcy. Mówimy i o agresji słownej, i fizycznej. Ta brutalizacja sięga czasu utworzenia gimnazjów – mówi Sabina Zalewska, psychoterapeutka. – Dużo mówimy o prawach dziecka, ale przy tej okazji zapominamy mówić o konsekwencjach podejmowanych działań i o obowiązkach. Zbyt często „rodzice helikoptery", którzy czujnie krążą nad dziećmi, odbierają młodym ludziom świadomość konsekwencji, bo wszystko za te dzieci próbują załatwić. Załatwiają za nich poprawę stopnia, kłócą się z nauczycielami z powodu ocen itd. Często też rodzice nie przebierają w słowach. Kiedyś, gdy dziecko obraziło koleżankę, musiało unieść jej łzy, emocje. Dziś hejt przeniósł się do sieci. Nie ma więc świadomości uczuć drugiej osoby. Nie ma zderzenia z cudzymi emocjami. A młodzież musi uczyć się dźwigania odpowiedzialności za swoje czyny. Zmieniła się też rola rodziny, relacje się skomplikowały, rodziny są bardzo często patchworkowe, a to wszystko rodzi nowe problemy – wylicza przyczyny tej sytuacji Sabina Zalewska.

Eksperci są zgodni, że winę za brutalność dzieci ponosi także internet, który jest kopalnią wszelkich wypaczeń. Są tam najbardziej wyszukane przykłady przemocy wobec rówieśników, zwierząt oraz treści pornograficzne. A ponad 80 proc. dzieci do 14. roku życia to heavy userzy internetu. Korzystają z sieci minimum kilka razy w tygodniu po kilka godzin – wynika z badania „Dzieci w necie", zrealizowanego przez Interaktywny Instytut Badań Rynkowych (IIBR) i Gemius dla firmy At Media. Częściej niż raz w tygodniu korzysta z sieci dwie trzecie przedszkolaków (3–6 lat). Za każdym razem spędzają w nim średnio 45 minut, oglądając bajki, grając w gry i biorąc udział w konkursach. Im starsze dzieci, tym częściej zaglądają do internetu. Codziennie robi to 35 proc. 7–9-latków i 62 proc. 10–14-latków. Odwiedzają strony kulturalno-rozrywkowe, społecznościowe i strony dla dorosłych. A to badanie pochodzi sprzed kilku lat, więc dziś, po pandemii, może być znacznie gorzej.

CO ROBIĆ?

„Nie można pozwolić, żeby część młodzieży stanowiła niebezpieczeństwo dla swoich rówieśników – powiedział podczas konferencji po zajściach z Pruszkowa i Zamościa minister edukacji Przemysław Czarnek. – Rodzinę trzeba uzdrawiać, a nie atakować, jak to się dzieje na okrągło w ostatnim czasie". Mówiąc o roli rodziny w wychowaniu, zwrócił uwagę, że „jeśli nie zaapelujemy, nie zrobimy odpowiedniej kampanii społecznej promującej rodzinę i wartości rodzinne, to będziemy dalej przyklejać plastry".

– Trzeba wychowywać, ale trzeba też karać. I chronić tych najbardziej niewinnych. Rodzice, którzy idą do pracy, muszą mieć pewność, że gdy wysyłają

eprasa.pl 0651f7fe14

dziecko do szkoły czy na podwórko, to ich dziecko jest tam bezpieczne. Dzięki naszym zmianom tak będzie – mówi mi wiceminister Warchoł. – Rząd wprowadził projekt okręgowych ośrodków wychowawczych. Za drobne czyny powinna być drobna sankcja, ale za te najpoważniejsze młodzi przestępcy muszą trafiać do takich ośrodków. To są ośrodki dla osób do 24. roku życia. Trafiają do nich najbardziej zdemoralizowane jednostki. Teraz przebywa w nich ok. 300 osób. Mają one pełną gwarancję prawa do obrony, jest obrońca z urzędu, ale jest też rozbudowany katalog sankcji, są np. prace porządkowe za zgodą rodziców. Wprowadziliśmy nowy system radzenia sobie z problemem nieletnich przestępców. Obniżyliśmy też wiek karalności za najbardziej brutalne przestępstwa: z 15. do 14. roku życia. To są zmiany konieczne – tłumaczy Marcin Warchoł.

Utworzenie okręgowych ośrodków wychowawczych, które mają wypełnić lukę między młodzieżowymi ośrodkami wychowawczymi a poprawczakami, to jedna z głównych zmian, które obowiązują już od 1 września 2022 r. Kolejne to m.in. obniżenie do 10 lat wieku, od którego dziecko może odpowiadać za czyny karalne, obligatoryjne kierowanie do poprawczaków w przypadku poważniejszych czynów karalnych i większe kompetencje dla dyrektorów szkół w przypadku wybryków uczniów. Ustawa o wspieraniu i resocjalizacji nieletnich budziła spore emocje. Prezydent podpisał ją pod koniec lipca, prace nad nią trwały jednak kilka lat. Wiceminister sprawiedliwości Michał Woś w rozmowie z prawo.pl mówił, że podstawowym założeniem reformy jest zmiana podejścia do nieletnich – według zasady łagodnie do tych, którzy rokują poprawę, i skutecznie wobec sprawców poważnych przestępstw. „Na filmie z pobicia w Pruszkowie widać bezwzględność części nastolatków. Reforma prawa nieletnich rok temu dała narzędzia, żeby państwo radziło sobie z patologią. W poprawczaku. Opozycja krzyczała wtedy »lex maluchy za kraty«. Na filmie widać te wasze »maluchy« @szymon_holownia" – komentował na Twitterze wiceminister Woś po zajściach z Pruszkowa.

PRZYKŁAD DO NAŚLADOWANIA

Do działania na wcześniejszym etapie zachęca Sabina Zalewska. – To, co by się bardziej w szkole przydało, to kształtowanie umiejętności miękkich, czyli komunikacji, rozwiązywania problemów, empatii. Tego to pokolenie zupełnie nie potrafi – podkreśla psychoterapeutka.

Warto zwrócić uwagę na to, jak z przemocą psychiczną w szkole poradziła sobie Finlandia. – W Finlandii działa ogólnokrajowy program KiVa. W ramach tego programu i dzieci, i nauczyciele są uczeni reagowania na przemoc. Są uczeni myślenia, że nie ma zgody na przemoc – mówiła mi prof. Barbara Remberk, konsultant krajowa w dziedzinie psychiatrii dzieci i młodzieży. – W ramach programu nauczyciel dyżurny nosi odblaskową kamizelkę, jest wyraźnie widoczny, łatwo do niego podejść, a jednocześnie on wie, jak się zachować w sytuacjach, w których pojawia się przemoc. A agresja szkolna ma różne oblicza, wymaga więc różnych reakcji. Niekiedy wystarczy rozmowa i zwrócenie uwagi. Czasem jest potrzebna bardziej indywidualna opieka nad agresorem lub ofiarą. Szkoła współpracuje z rodzicami, jeśli pojawiają się kłopoty z dzieckiem. W Polsce nie ma jednej ścieżki. Od razu mamy działania dużego kalibru, czyli zawiadomienie sądu rodzinnego czy policji. Czasem to bywa konieczne, ale jest masa narzędzi mniejszego kalibru, po które można byłoby sięgnąć na wcześniejszym etapie – tłumaczyła mi pani profesor.

> Aż 57 proc. dzieci doświadcza przemocy ze strony rówieśników – wynika z raportu „Dzieci się liczą". Co trzecie dziecko twierdzi, że doświadczyło przemocy rówieśniczej w ciągu ostatniego roku

Kilka lat temu w Finlandii eksperci zdiagnozowali, że w niektórych szkołach problem bullyingu (czyli przemocy psychicznej właśnie) dotyczy aż 70 proc. uczniów. W związku z tym zaapelowano środowisko edukacyjne o uznanie tego faktu. Jednocześnie poproszono o podjęcie kroków, które miałyby uporządkować ten stan i ugasić go w zarodku. Ministerstwo edukacji przy współpracy z ekspertami opracowało więc kompleksowy program zwalczania bullyingu. „Ze względu na utworzenie programu KiVa Finlandia stanowi przykład dla całego świata. Podjęte w tej sprawie działania wraz z wprowadzaniem programu w życie przynoszą obiecujące rezultaty. Ten skandynawski kraj podjął się wyzwania, by całkowicie wyeliminować problem powszechnego bullyingu. W ostatnich latach problem zmalał aż o 90 proc." – informuje portal pieknoumyslu.com. „Program KiVa okazał się sukcesem w skali światowej, głównie dlatego, że jest skoncentrowany wyłącznie na bullyingu. Były wcześniej programy, które miały prowadzić do zwalczania przemocy w szkole, ale okazały się one zbyt szerokie" – mówi Úrsula Perona, znana hiszpańska psycholog kliniczna, która metodzie KiVa poświęciła jedno z nagrań na swoim kanale na YouTube.

Termin KiVa ukuto z połączenia początków dwóch słów, które z finlandzkiego znaczą szkolne zastraszanie. Metodę tę zastosowano w większości placówek oświatowych, a na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Już w fazie próbnej program przyniósł zaskakująco dobre rezultaty. W ciągu pierwszego roku jego stosowania zjawisko szkolnego bullyingu zostało zredukowane o 41 proc. W kolejnych latach szkolna przemoc zmalała o 80 proc.

Na pewno warto myśleć i pracować nad różnymi rozwiązaniami wielotorowo. Przecież tu chodzi o dobro dzieci.

eprasa.pl 0651f7fe14

W PGE świstaki lubią wiatraki, a łasice szanują wodne prądnice

PGE prowadzi w zielonej zmianie. Tylko w 2022 r. energia wyprodukowana przez odnawialne źródła Grupy PGE osiągnęła rekordowy poziom 1931 GWh, czyli o ponad 5 proc. więcej niż rok wcześniej. W nowej, wiosennej odsłonie kampanii PGE polskie zwierzęta: świstaki i łasice, opowiadają o zielonych inwestycjach Grupy

20 farm wiatrowych, 29 elektrowni wodnych, 4 elektrownie szczytowo-pompowe oraz 24 farmy fotowoltaiczne o łącznej mocy 2433,1 MW – tyle odnawialnych źródeł posiada Grupa PGE. Jej strategicznym projektem jest budowa morskich farm wiatrowych na Bałtyku. Zgodnie z założeniami strategii Grupa PGE do 2040 r. wybuduje morskie farmy wiatrowe o łącznej mocy co najmniej 6,5 GW. Do 2030 r. Grupa PGE wybuduje także 3 GW w fotowoltaice oraz rozbuduje zespół lądowych farm wiatrowych o co najmniej 1 GW, umacniając się na pozycji lidera w obszarze lądowej energetyki wiatrowej. PGE inwestuje także w program budowy magazynów energii. Plan Grupy PGE w tym obszarze to 800 MW do 2030 r. Wszystkie te inwestycje mają na celu osiągnięcie strategicznego planu Grupy PGE, którym jest neutralność klimatyczna do 2050 r.

– Zielona zmiana jest wpisana w realizację celów biznesowych Grupy PGE. Dzięki naszym inwestycjom mieszkańcy Polski już teraz korzystają z energii elektrycznej wyprodukowanej przez źródła przyjazne środowisku. Tylko w 2022 r. energia wyprodukowana przez odnawialne źródła Grupy PGE osiągnęła rekordowy poziom 1931 GWh, czyli o ponad 5 proc. więcej niż rok wcześniej. Jako lider zielonej transformacji energetycznej w Polsce jesteśmy w stanie pokryć energią z OZE roczne zapotrzebowanie dla 860 tys. gospodarstw domowych, czyli tyle, ile liczy województwo łódzkie – mówi Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej.

Zielone inwestycje niosą za sobą wiele korzyści, w tym dla środowiska, a także niższe ceny dla klientów. Energia pochodząca z odnawialnych źródeł nie jest bowiem obciążona opłatami za emisję CO_2, które z roku na rok są coraz wyższe, podnosząc tym samym koszty wytwarzania energii. Dodatkowo dzięki odnawialnym źródłom energii produkcja i dostępność prądu będzie niezależna od zewnętrznych dostawców i sytuacji geopolitycznej.

O tych korzyściach wiedzą także sami Polacy – takie wnioski płyną z badania przeprowadzonego przez IBRiS dla PGE. Wynika z niego, że 66 proc. badanych popiera inwestycje zmierzające do rozwoju lądowych farm wiatrowych, a 77 proc. jest za budową morskich farm wiatrowych. Dlatego Grupa PGE konsekwentnie inwestuje w nowe moce odnawialne i bezsprzecznie prowadzi w zielonej zmianie.



Artykuł sponsorowany | 50/0422//F

eprasa.pl 0651f7fe14



Żywność jako broń

Kłopoty z kupnem owoców i warzyw w Wielkiej Brytanii, wzrost ich cen w większości krajów Europy wywołały dyskusję na temat funkcjonowania rynku żywności. To, że żywność może być skuteczną bronią w grach geopolitycznych, tak jak obecnie źródła energii, staje się coraz bardziej oczywiste



GORAN ANDRIJANIĆ

Puste półki w brytyjskich supermarketach, przypominające te z czasów PRL – to obraz, który obiegł kilka tygodni temu cały świat. Pustki spowodował niedobór warzyw i owoców, które w tym okresie roku Wielka Brytania importuje z krajów Europy Południowej i Afryki Północnej. Główne supermarkety zareagowały na braki, wprowadzając limity sprzedaży owoców i warzyw. Największy brytyjski supermarket Tesco i dyskont Aldi reglamentują sprzedaż pomidorów, papryki i ogórków do trzech sztuk na klienta. Asda do trzech sztuk na osobę ograniczyła z kolei sprzedaż sałat, brokułów, kalafiorów i malin. Z kolei Morrisons ustalił limit dwóch sztuk na ogórki, pomidory, sałatę i paprykę. „Kryzys sałatkowy", jak to zjawisko opisują brytyjskie media, trwa już od kilku tygodni i według niektórych analityków konsumenci na Wyspach będą go odczuwać do maja.

Nadal nie jest pewne, czy kryzys rozprzestrzeni się na resztę Europy i czy jednak inne duże rynki go unikną. W tej chwili natomiast jest już pewne, że cena owoców i warzyw znacznie wzrosła i że oprócz inflacji jest to spowodowane także innymi przyczynami.

MRÓZ, POWODZIE I CENY GAZU

A jakie to przyczyny? Większość analiz mówi o dwóch głównych. Po pierwsze, o dość ciepłej zimie, potem wyjątkowo mroźnej pogodzie na południu Europy, a także powodziach w Maroku, jednym z głównych eksporterów pomidorów i papryki. Wszystko to skutkowało mniejszymi zbiorami kilku rodzajów warzyw i owoców. Niektórzy analitycy dodają do tego sztormy na Morzu Śródziemnym, które utrudniały dostawę produktów drogą morską.

Dodatkowym problemem jest kryzys energetyczny spowodowany wojną na Ukrainie skutkujący wysokimi cenami gazu. To właśnie to źródło energii jest głównym paliwem stosowanym do ogrzewania szklarni. Rolnicy ze względu na wysokie koszty gazu starali się oszczędzać, a tym samym ograniczać ilość produkowanej żywności. Analitycy twierdzą, że spowodowało to spadek eksportu warzyw z Holandii (gdzie we wrześniu ub.r. gaz był o 120 proc. droższy niż rok wcześniej), a także z innych krajów, gdzie spadła krajowa produkcja. Nie pomogło też to, że druga połowa zimy była chłodniejsza w południowej Europie.

Wszystko to doprowadziło do niedoborów żywności i dotkliwego wzrostu cen. Jak donosił na początku miesiąca hiszpański dziennik „El Mundo", w tym kraju, który jest znaczącym eksporterem warzyw i owoców na unijny rynek, ceny skoczyły w niekontrolowany sposób. W ciągu 30 dni ceny pomidorów na giełdzie rynku rolnego wzrosły o prawie 60 proc. (z 1,25 euro/kg do 1,99 euro/kg), ogórków o 120 proc. (z 0,91 euro/kg do 1,98 euro/kg), a papryki o ponad 100 proc. (z 1,07 euro/kg do 2,19 euro/kg). Miało to oczywiście wpływ również na inne europejskie rynki.

Jednym z powodów wymienionych jako przyczyna niedoboru owoców i warzyw w Wielkiej Brytanii był brexit.

eprasa.pl 0651f7fe14

Wydaje się jednak, że argument ten miał więcej wspólnego z preferencjami politycznymi analityków niż z rzeczywistością. Ci, którzy tak twierdzili, nie potrafili wyjaśnić, dlaczego Irlandia, która jest w Unii Europejskiej, doświadcza takich samych lub podobnych problemów z niedoborami.

POCHWAŁA KRAJOWEJ ŻYWNOŚCI

Tak czy inaczej cała sytuacja wywołała dyskusję na temat funkcjonowania rynku żywności. Toczy się ona nie tylko w Wielkiej Brytanii, lecz także w innych krajach europejskich. Niestabilność sytuacji spowodowana wojną na Ukrainie i związanym z nią kryzysem energetycznym zrodziła pytanie, czy kraje powinny produkować więcej własnej żywności i ograniczać import z innych państw. A może po prostu promować jedzenie, które bardziej pasuje do lokalnego klimatu?

Brytyjska sekretarz ds. środowiska, żywności i spraw wsi Thérèse Coffey została ostro zaatakowana w tamtejszych mediach bliskich opozycji po tym, jak zwróciła uwagę na możliwość zwrócenia się ludności w kierunku produktów krajowych, takich jak np. rzepa. Po tym, jak oponenci zarzucili Coffey, że jej konserwatywny rząd chce mówić ludziom, co jeść, a czego nie jeść, minister wyjaśniła: „Ważne jest, byśmy wspierali produkcję żywności, którą mamy w tym kraju".

Mieszkańcy Wysp postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. Jak poinformowało BBC, w Wielkiej Brytanii zanotowano duży wzrost sprzedaży nasion owoców i warzyw. W sklepach tradycyjnych sprzedaż wzrosła o 20 proc., a w sklepach internetowych nawet o 50 proc. Brytyjskie media publiczne pokazały Nicky Berry, mieszkankę Dorset, która oświadczyła, że wraca do uprawy warzyw. „Teraz zobaczyłam puste półki i postanowiłem zrobić to ponownie. Uprawiam warzywa ze swoim synem, który ma 12 lat i cierpi na autyzm. Spędzamy razem wartościowy czas, a warzywa smakują lepiej niż te ze sklepu".

W każdym razie nawet lewicowy „The Guardian" zaczął pisać o potrzebie przesunięcia konsumpcji w Wielkiej Brytanii z żywności pochodzącej z eksportu na produkowaną w kraju.

SAMOWYSTARCZALNI ŻYWNOŚCIOWO

Podobna dyskusja zaczęła toczyć się w Polsce. Niedawno na antenie Polskiego Radia 24 eksperci zasugerowali, że odpowiedzią na problemy klimatyczne w uprawie warzyw i rosnące koszty ich produkcji oraz dystrybucji może być koncepcja tzw. wertykalnych farm. Jak wyjaśniono, w wertykalnych farmach uprawa warzyw odbywa się w pionowych szklarniach wykorzystujących hydroponikę – uprawę roślin bez ziemi. Korzenie roślin są zanurzone w wodzie z rozpuszczonymi solami mineralnymi.

> Niestabilność sytuacji spowodowana wojną na Ukrainie i związanym z nią kryzysem energetycznym zrodziła pytanie, czy kraje powinny produkować więcej własnej żywności i ograniczać import z innych państw?

„Ma to dodatkową zaletę, którą jest skrócenie łańcucha dostaw. W tradycyjnym rolnictwie między ścięciem a dostarczeniem rośliny na talerz mijają nawet tygodnie. W przypadku farm wertykalnych mogą to być godziny albo nawet minuty" – powiedział Tomasz Kleiber z Katedry Fizjologii i Żywienia Roślin Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. Dodał: „Koszty jednostkowe na rozpoczęcie uprawy są faktycznie duże, ale później – jeśli jest duża intensywność produkcji – te koszty w przeliczeniu na jednostkę produkcji oczywiście się zmniejszają".

Może to na razie mało realny pomysł, ale ważne jest to, że już teraz, z tradycyjnym rolnictwem, Polska ma bardzo wysoki poziom niezależności w produkcji żywności, co potwierdzają wszelkie statystyki. Poziom bezpieczeństwa żywnościowego, jeden z kluczowych elementów suwerenności państwa, jest w Polsce wysoki. Według badań Departamentu Analiz Makroekonomicznych Credit Agricole Bank, Polska jest samowystarczalna w produkcji żywności aż w siedmiu z dziewięciu głównych kategorii żywnościowych, co wskazuje na dużą dywersyfikację produkcji.

Jak wyjaśnił w mediach społecznościowych analityk tego departamentu Jakub Olipra, Polska pod względem samowystarczalności żywnościowej osiąga najwyższy wynik w Unii Europejskiej. „Ponadto, jak przeważymy wspomniane wyżej kategorie ich udziałami w koszyku inflacyjnym, to okazuje się, że produkcja żywności w Polsce jest bardzo dobrze dostosowana do struktury spożycia. Niemniej mimo wysokiego poziomu bezpieczeństwa żywnościowego Polski możliwa byłaby jego poprawa przez zwiększenie samowystarczalności w produkcji roślin wysokobiałkowych, dodatków paszowych, nawozów oraz środków ochrony roślin".

To, że żywność może być skuteczną bronią w grach geopolitycznych, tak jak obecnie źródła energii, staje się coraz bardziej oczywiste. W niedawnym artykule dla „Dziennika Gazety Prawnej" znany publicysta i ekonomista Rafał Woś zadał pytanie: czy pszenica stanie się nowym gazem dla Rosjan?

Woś pisze, że udział Rosji w światowej produkcji pszenicy zwiększył się z 19 do 23 proc. Jednocześnie Rosjanie zaczęli dość ostro skupować nadwyżki pszenicy na rynkach światowych – głównie przez należący do państwa koncern United Grain Company (UGC). „Wszystko to razem zaczyna się układać w mechanizm podobny do tego, który obserwowaliśmy w poprzednich latach na rynku surowców energetycznych. Rosja gromadzi strategiczne zapasy i pozycję rynkową, które w momencie przesilenia będą mogły zostać użyte jako narzędzie geopolitycznego nacisku. To może nastąpić w zasadzie w każdej chwili" – pisze publicysta. Zadaje też ważne pytanie: „Czy Zachód zdaje sobie z tych trendów sprawę?".

Odpowiedź na to pytanie powinniśmy poznać szybko.

Fot. Brian Minkoff / Shutterstock

eprasa.pl 0651f7fe14

Nowy świat po „końcu historii”

Globalizacja dobiega swojego kresu. Powraca konserwatywne myślenie o polityce, bo zostało zachwiane przekonanie, że jutro musi być nieuchronnie lepsze niż dziś. Wraz z wojną powróciła też świadomość agonistycznej natury polityki z kategoriami politycznej dominacji, geopolityki i nieprzewidywalności, które idea końca historii chciała uznać za przeszłość. Taką diagnozę kreślą konserwatywni politolodzy i filozofowie



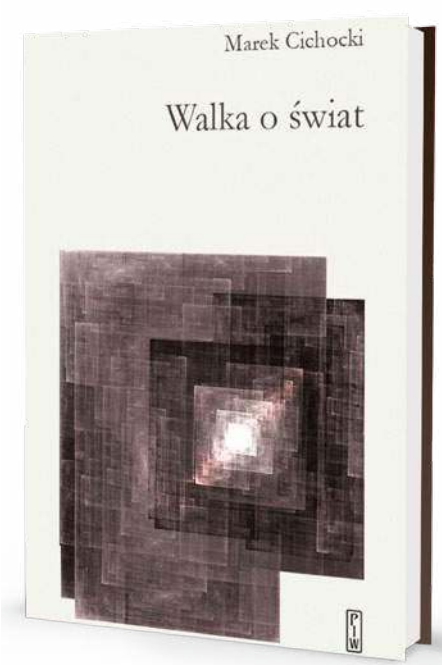
MACIEJ WALASZCZYK

Wchodzimy w czas deglobalizacji, a model polegający na wolnym przepływie kapitału, dóbr i osób przeżywa wyraźny kryzys. Epidemia koronawirusa obnażyła wszystkie jego słabości, gdy okazało się, że w Europie nie produkuje się maseczek i paracetamolu, a ukraiński konflikt dowiódł w świecie zachodnim faktu, że brak niezależności energetycznej zawęża przed państwem pole wyborów politycznych. Poszukiwanie taniej produkcji i ściąganie siły roboczej kruszy i tak wątłe poczucie stabilizacji. Technologiczna rewolucja cyfrowa ograniczyła się do wąskiego wycinka rzeczywistości, masowy dostęp do internetu i komputeryzacja nie okazały się tak silnym impulsem rozwojowym jak elektryfikacja czy rozwój kolei. Nastąpił zastój w naukach biomedycznych: ludzie umierają na nowotwory, a coraz większa część europejskiej populacji będzie cierpieć na choroby związane ze starzeniem się. Zamiast rozwoju potęgowano podbijanie wartości akcji, które nie odzwierciedlały wartości firm i gospodarek, żądano wygórowanych dywidend, a panowanie finansjery sprzyjało odejściu od przemysłu.

„Ucieczka od walki o świat na rzecz wygodnego nim zarządzania nie powiodła się” – pisze Marek Cichocki w swojej nowej książce-eseju „Walka o świat”. Okazało się, że im więcej prób jego ujednolicenia według matrycy liberalnej, tym więcej komplikacji. Napaść Rosji na Ukrainę i rosnąca wrogość miedzy Ameryką i Chinami wzmacniają tylko to przekonanie.

KONIEC GLOBALIZACJI, JAKĄ ZNAMY

Żyjemy więc po „końcu historii”, który stanowiła globalizacja. Jej dogmatami były m.in. wolny handel i delokalizacja przemysłu. Tymczasem wracają protekcjonizm i wojny handlowe. „To, czego nauczyliśmy się o wolnych rynkach przez ostatnie 40 lat, okaże się bezużyteczne w nowym świecie. Żeby zrozumieć następne dekady, trzeba przyswoić sobie ideę ekonomii poli-



Autopromocja

eprasa.pl 0651f7fe14

tycznej" – uważa finansista i teoretyk prof. Russell Napier. Jak twierdzi, w nowym świecie to rządy będą odgrywać znaczącą rolę w alokacji kapitału, a gospodarki czeka reindustrializacja. Globalizacja ustąpi miejsca mniej lub bardziej samowystarczalnym blokom handlowym i politycznym. Wiarę w historyczny postęp uniwersalnej wolności zastępuje rywalizacja konkurujących z sobą nowych centrów władzy.

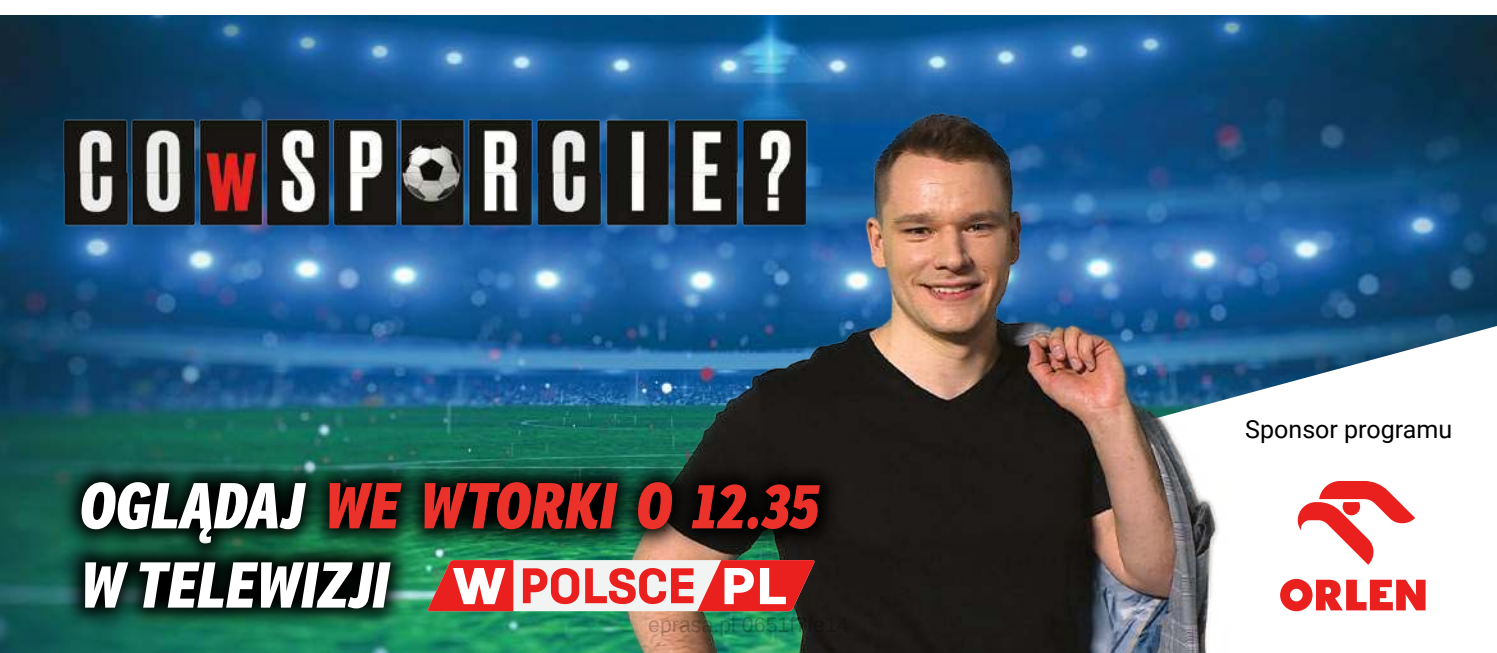
Porządek neoliberalny kształtował się od lat 70. jeszcze przed upadkiem systemu sowieckiego. Jego triumf nastąpił na początku lat 90., a absolutną kulminacją było przystąpienie Chin do Światowej Organizacji Handlu w 2001 r. Kierująca wtedy amerykańską polityką administracja Billa Clintona uważała, że doprowadzi to również do liberalizacji politycznej w Państwie Środka. Francis Fukuyama ogłosił koniec historii ze zwycięstwem liberalnej demokracji, a także pozornego – jak się okazało – rozdziału polityki od ekonomii, a raczej ekonomizacji polityki, gdzie miarą bogactwa jest konsumpcja ważniejsza od produkcji. Kapitalizmu, który w sferę rynku wciągnął wszystko, co mu się wcześniej wymykało.

„Świat bierze więc dzisiaj rewanż za tamtą pychę, która tak wielu odebrała zdolność do realnej oceny sytuacji" – zwraca uwagę Marek Cichocki. Przyznaje, że wróciła geopolityka i cywilizacyjna rywalizacja, które będą określać na nowo sens naszemu życiu, rodząc także niebezpieczeństwa. Autor świadomie nawiązuje do książki „Walka o świat" z 1947 r. Jamesa Burnhama, w której ten realistyczny socjolog władzy wzywał do budowy amerykańskiego imperium wolności jako przeciwwagi dla sowieckiego imperializmu. Jednak ukształtowany w ten sposób globalny uniwersalizm rozwoju technologii i kapitalizmu zdobył coraz większą autonomię wobec Zachodu. Jak tłumaczy Cichocki, zaczął żyć własnym życiem, wymykającym się tradycyjnym strukturom społecznym i politycznym. Okazało się też, że współzależności nie prowadzą do harmonii, ale uruchamiają procesy rywalizacji i konfliktu.

> Rozpad paradygmatu o wolnym handlu będzie miał również wpływ na osłabienie wiary w liberalizm jako ideologii, która podporządkowuje sobie wszystkie dziedziny życia społecznego

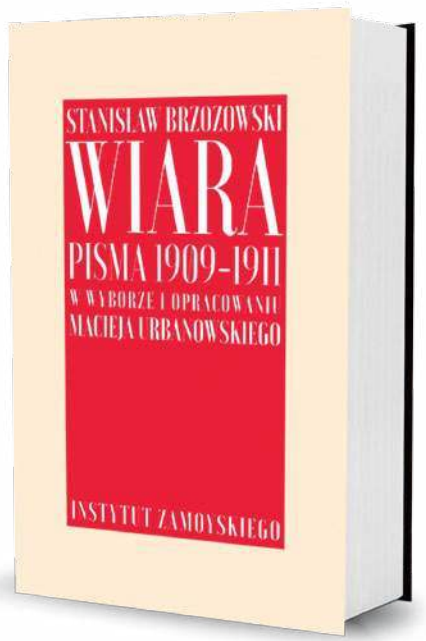
POWRÓT PROTEKCJONIZMU

Wojna z terrorem osłabiła amerykańską dominację polityczną, kryzys finansowy z 2008 r. wstrząsnął jej podstawami ekonomicznymi, a wybór Donalda Trumpa na prezydenta USA osiem lat później zakończył ten proces. Do tego doszła pandemia, pęknięcie łańcuchów dostaw, wojna i inflacja. Znów upadają banki. Już za czasów Trumpa Ameryka dokonała zwrotu od wolnego handlu ku protekcjonizmowi. Tym bardziej że w wyniku kryzysu finansowego to najpierw w Chinach dostrzeżono słabość zachodniego modelu gospodarczego, doprowadzającego przez 20 lat do likwidacji miejsc pracy w USA. Bo Chiny, choć korzystały z dobrodziejstw swobodnego dostępu do światowych rynków, były od lat najbardziej merkantylistycznym z państw naszych czasów. Ameryka traciła przemysł, Wall Street potęgowało coraz większe wpływy polityczne, rynek działał tak, że inwestorzy szukali szybkich zysków, a obszary fundamentalne z punktu widzenia interesów kraju były dla nich nieatrakcyjne. Inteligentny protekcjonizm Pekinu, polegający na zamknięciu rynku przed rywalami z zagranicy, zapewnił chińskim firmom bazę zysków, która posłużyła mu do uderzenia w zachodnich konkurentów. Potęga handlowa przełożyła się na siłę państwową.



Na rynku po raz pierwszy w polskim tłumaczeniu ukazała się książka Alaina de Benoist, francuskiego filozofa i teoretyka nowej prawicy. „Przeciw liberalizmowi. Społeczeństwo to nie rynek" to gruntowna analiza i krytyka liberalizmu. Jej tłumacz, Krzysztof Tyszka-Drozdowski, w bardzo ciekawym wstępie do książki zwraca uwagę, że wbrew utrwalanym – również w Polsce – przesądom na świecie równolegle do obowiązującego porządku był rozwijany nie tylko chiński neomerkantylizm, lecz także jego niemiecki odpowiednik. Jego rdzeniem był patriotyzm gospodarczy i wzmacnianie sprzedaży niemieckich produktów na świecie. Po 2008 r., by go utrzymać, Niemcy musiały go przeorientować, wybierając kierunek na Chiny. „Dwiema podstawami, bez których niemiecki model by nie przetrwał, była Rosja i jej tani gaz [...] oraz Państwo Środka ze swoimi niskimi kosztami pracy i powiększającym się rynkiem. Polityka zagraniczna UE wobec tych krajów pozostaje zakładnikiem niemieckiego przemysłu" – pisze we wstępie. Niższe ceny dla konsumentów w krótkiej perspektywie ułatwiają życie, ale w dłuższym horyzoncie siły wytwarzające bogactwo okazują się nieskończenie ważniejsze od samego bogactwa. „Wyobraźmy sobie, co się stanie, gdy zdecydujemy się uwolnić od posiadania prawie wszystkiego, co konsumujemy, produkowanego w Chinach. Będzie to oznaczało ogromny boom, inwestycje kapitałowe na masową skalę w reindustrializacji naszych własnych gospodarek" – zapowiada prof. Napier.

Z polskiej perspektywy zachodzące zmiany rodzą pytanie o przyszłość Ameryki. Cichocki przywołuje w swoim eseju opinię portugalskiego geopolityka Bruno Maçãesa, którego zdaniem kryzys tego mocarstwa (finansowy, kulturowy i społeczny) jest momentem przekształcania się USA w zupełnie inny twór. Uważa on, że utrzymają one swoją przewagę w konkurencji z rywalami, np. Chinami, będą też zdolne zawiązywać np. z Europą potężne sojusze. Jednak stając się kontynentalną wyspą, przestaną odgrywać rolę kulturowej kotwicy



Zachodu, zmieniając swoją postać pod wpływem politycznych i etnicznych przeobrażeń. Jan Rokita uważa, że tocząca się w Ameryce i Europie gwałtowna wojna kulturowa może mieć niebezpieczne konsekwencje polityczne, gdyż przyświecająca Ameryce idea wolności może zostać przesunięta w kierunku ideologii skrajnej lewicy. „Gdyby ten nurt objął tam centralne ośrodki władzy, to Ameryka stałaby się ideologicznym mocarstwem atakującym wszystkich tych, którzy np. są przeciwnikami aborcji, gejów itp." – ocenia publicysta, były polityk.

KONSERWATYWNA ODPOWIEDŹ NA NIESTABILNOŚĆ

Rozpad paradygmatu wolnego handlu na pewno będzie miał również wpływ na osłabienie wiary w liberalizm jako ideologii, która podporządkowuje sobie wszystkie dziedziny życia społecznego. De Benoist konsekwentnie dowodzi, że jest on łącznikiem między absolutyzowaną wolnością i ideologiami skrajnej lewicy. Dlatego organiczne społeczeństwo zostało podporządkowane jednostce i religii postępu, a wyobraźnia społeczna aksjomatowi interesu, który w czasach globalizacji stał się uniwersalną normą regulującą społeczne życie. Pokrewny autorowi Dominique Venner twierdził nawet, że pod fenomenem globalizacji ujawnił się komunizm rynkowy, dzieląc ze swoim byłym sowieckim bratem, a zarazem wrogiem, promienną wizję ostatecznego celu, którym jest przemiana świata. Ale żeby się ona dokonała, należy także zmienić człowieka, „wyprodukować *homo oeconomicus* przyszłości, zombie – człowieka nihilizmu". Funkcjonującego w realiach niestabilnej teraźniejszości i nieprzewidywalnej przyszłości, w atmosferze wszechogarniającej konkurencji i walki wszystkich z wszystkimi. Człowieka wykorzenionego, wymiennego, elastycznego, jednorazowego, wydanego na pastwę lewicowych inżynierów społecznych i specjalistów od marketingu.

Dlatego Alain de Benoist jest przekonany, że wraz ze zmierzchem globalizacji również ideologia postępu znajdzie się w kryzysie, bo zostało zachwiane przekonanie, że jutro musi być nieuchronnie lepsze niż dziś. Paradoksalnie wraca konserwatyzm, bo coraz powszechniejsze są odwołania do dobrej, stabilnej przeszłości, która pozwala nam zrozumieć teraźniejszość. Przejawia się on w budzeniu tzw. prawicowych populizmów. Ten konserwatyzm zwraca człowieka do tego, co znane, partykularne, sprawdzone. Może być odpowiedzią na atmosferę skrajnej niepewności. Uświadamia on utratę punktów odniesienia, które zostały zaburzone przez ideologię praw człowieka, odrzucanie idei narodu, religii, stopienie się lewicy z systemem rynkowym i pojawienie się – jak ją określa – prawicy menedżerskiej, która porzuciła swoją dawną tożsamość, by stać się partią „nowoczesności". Marek Cichocki dodaje, że powrót rywalizacji, chaosu i walki jest też wyrazem cywilizacyjnej witalności, potwierdzeniem przywiązania do własnych odrębności. „To powrót pragnienia politycznej dominacji, a wraz z nią geopolityki i wojny, nieprzewidywalności, które idea »końca historii« chciała uznać za przeszłość, a które okazują się nieusuwalne" – tłumaczy.

eprasa.pl 0651f7fe14

Sprawdź, jak skorzystać z Rządowej Tarczy Solidarnościowej i obniżyć rachunki za prąd

Gwałtowny wzrost cen energii nie uderzy w polskich konsumentów. Dzięki Rządowej Tarczy Solidarnościowej każda rodzina w ramach przyznanych limitów zyska przynajmniej 2 tys. zł, które zaoszczędzi na rachunkach za prąd w 2023 r.

Od ponad roku świat bezpośrednio doświadcza skutków rosyjskich działań militarnych na terenie Ukrainy. Ceny energii osiągnęły rekordowe poziomy przez wzrost kosztów węgla i gazu, nie bez znaczenia pozostają koszty uprawnień do emisji CO_2 w unijnym systemie EU ETS. W tym trudnym czasie destabilizacji na rynku energii wywołanej agresywną polityką Rosji polski rząd i spółki energetyczne osłaniają Polaków Rządową Tarczą Solidarnościową.

Choć Tarcza chroni każdego Polaka, szczególną troską zostały objęte rodziny wielodzietne i osoby z niepełnosprawnościami.

Roczny limit zużycia 2600 kWh został przyznany osobom uprawnionym, posiadającym orzeczenie o znacznym lub umiarkowanym stopniu niepełnosprawności lub mieszkającym wspólnie z osobą mającą takie orzeczenie lub z osobą poniżej 16. roku życia z wydanym orzeczeniem o niepełnosprawności. Z kolei osoby uprawnione posiadające Kartę Dużej Rodziny albo prowadzące gospodarstwo rolne lub dział specjalny produkcji rolnej mają limit podwyższony do 3000 kWh rocznie.

W obu przypadkach warunkiem skorzystania z pozostałych ulg jest złożenie sprzedawcy oświadczenia potwierdzającego uprawnienie odbiorcy do takiego zwiększonego limitu. Takie oświadczenie trzeba złożyć do 30 czerwca 2023 r. wraz z dokumentami potwierdzającymi uprawnienie. Rolnik jest zobowiązany udokumentować swoje uprawnienie decyzją o wymierzeniu za 2022 r. podatku rolnego dla gruntów, na których są zlokalizowane oprócz budynku mieszkalnego również inne obiekty budowlane posiadające urządzenia i instalacje korzystające ze wspólnego rozliczania zużytej energii elektrycznej należące do gospodarstwa rolnego lub na których prowadzi się dział specjalny produkcji rolnej. Rodzina wielodzietna załącza kopię Karty Dużej Rodziny. Osoba z niepełnosprawnością lub z taką zamieszkująca składa tylko stosowne oświadczenie, nie załączając żadnych kopii orzeczenia o niepełnosprawności. W każdej chwili może jednak być poproszona o pokazanie do wglądu właściwego orzeczenia o niepełnosprawności w celu weryfikacji oświadczenia.

Oszczędni odbiorcy mogą liczyć na jeszcze jeden bonus. Ci, którzy w okresie od 1 października 2022 r. do 31 grudnia 2023 r. zużyją nie więcej niż 90 proc. energii w stosunku do energii zużytej od 1 października 2021 r. do 31 grudnia 2022 r., zapłacą o 10 proc. niższe rachunki w 2024 r.

(AR)

Gwarantowana cena energii w **2023 r.** obowiązuje:

Limit ustawowy zużycia energii [kWh rocznie]*	Wartość rocznego rachunku przed wprowadzeniem Tarczy Solidarnościowej**	Wartość rocznego rachunku po wprowadzeniu Tarczy Solidarnościowej**	Roczna oszczędność na rachunkach***
2000 kWh dla odbiorców z grup taryfowych G	4004 zł	2003 zł	**2001 zł**
2600 kWh dla gospodarstw domowych z osobami z niepełnosprawnością	4506 zł	2125 zł	**2381 zł**
3000 kWh dla gospodarstw domowych z Kartą Dużej Rodziny	7071 zł	3791 zł	**3280 zł**
3000 kWh dla gospodarstw rolnych	10 416 zł	6255 zł	**4161 zł**
250 kWh na działkę dla działek w rodzinnych ogródkach działkowych	422 zł	189 zł	**233 zł**

* Limit ustawowy [kWh rocznie] – limity zużycia prądu, dla których ceny energii będą zamrożone w 2023 r., zgodnie z Ustawą z dnia 7 października 2022 r. o szczególnych rozwiązaniach służących ochronie odbiorców energii elektrycznej w 2023 r. w związku z sytuacją na rynku energii elektrycznej.

** Szacunki [zł brutto] dla taryfy G11, uwzględniające koszty operacyjne Enei Operator i ustawowe korzyści związane z zamrożeniem cen energii w 2023 r., przy zakładanym przykładowym rocznym zużyciu: 2200 kWh dla odbiorców z grup taryfowych G, 2500 kWh dla gospodarstw domowych z osobami z niepełnosprawnością, 4000 kWh dla gospodarstw domowych z Kartą Dużej Rodziny, 6000 kWh dla gospodarstw rolnych i 250 kWh dla działki w rodzinnym ogródku działkowym.

*** Oszczędność roczna [zł brutto] – szacowana różnica w sumie rocznych rachunków za prąd w wyniku zamrożenia cen prądu zgodnie z Ustawą z dnia 7 października 2022 r. o szczególnych rozwiązaniach służących ochronie odbiorców energii elektrycznej w 2023 r. w związku z sytuacją na rynku energii elektrycznej oraz Ustawą o środkach nadzwyczajnych mających na celu ograniczenie wysokości cen energii elektrycznej oraz wsparciu niektórych odbiorców w 2023 r. w odniesieniu do stawek z taryfy zatwierdzanej przez Prezesa URE obowiązującej w 2023 r.

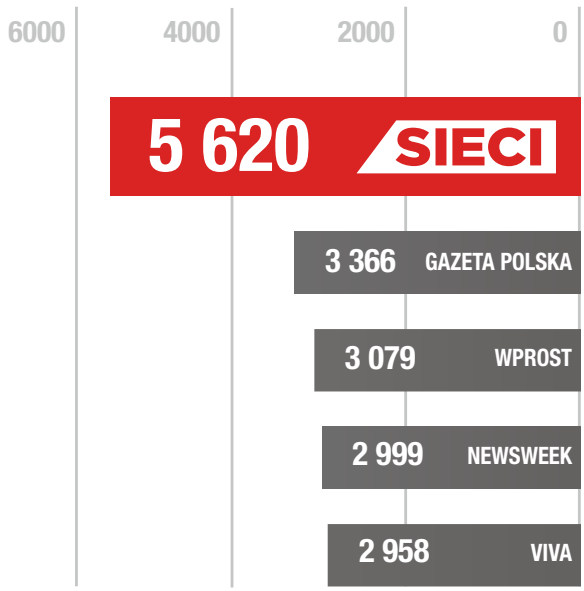
Artykuł sponsorowany | 30/0323/F

eprasa.pl 0651f7fe14

NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZY TYGODNIK W POLSCE



Tygodnik „Sieci” inne media cytowały aż 5620 razy – to dało nam 1. miejsce w rankingu najbardziej opiniotwórczych tygodników



Autopromocja

ŹRÓDŁO: IMM RANKING „NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZE MEDIA W POLSCE” ZA 2022 R.

eprasa.pl 0651f7fe14

Izrael podzielony reformą wymiaru sprawiedliwości

Od 10 tygodni Izrael jest wstrząsany masowymi, wielotysięcznymi demonstracjami i starciami z policją, opozycja ogłosiła nawet „narodowy dzień oporu", argumentując, że są zagrożone demokracja i rządy prawa



MAREK BUDZISZ

Przeciwnicy premiera Binjamina Netanjahu postanowili zablokować drogę na lotnisko im. Ben Guriona po to, by uniemożliwić jego wizytę państwową w Niemczech i Wielkiej Brytanii. Inni, ponad tysiąc artystów, intelektualistów i osobistości publicznych, wezwali za pośrednictwem ambasadorów rządy tych krajów, by odwołać wizytę premiera, który zdaniem autorów petycji powinien być bojkotowany, bo proponując reformę systemu powoływania sędziów do Sądu Najwyższego, podważa rządy prawa i jest przykładem destrukcyjnego przywództwa. Frank Walter Steinmeier, prezydent Niemiec, kraju, w którym wszyscy sędziowie są mianowani przez polityków, często z własnego grona, zdążył już wyrazić zaniepokojenie zaproponowanymi przez obecny rząd Izraela reformami wymiaru sprawiedliwości, a liberalni amerykańscy komentatorzy, np. Thomas Friedman z „The New York Times", już porównują Netanjahu do Putina.

Ta znana nam przesada retoryczna liberalnej lewicy, zwłaszcza kiedy jej przedstawiciele uważają, że to ich prawa są zagrożone, nie powinna nam przysłaniać fundamentalnej kwestii. Otóż w Izraelu – podobnie jak w Stanach Zjednoczonych i w Polsce – toczy się obecnie dyskusja na temat zakresu władzy sądowniczej, której przedstawiciele chcą rozstrzygać, czy uchwalone przez parlament w demokratycznym trybie prawo może obowiązywać. Ruth R. Wisse, emerytowana profesor Uniwersytetu Harvarda, komentując izraelską debatę, napisała, że ci sami, którzy protestują przeciw wszechwładzy Sądu Najwyższego w USA, dlatego że ukształtowała się w nim konserwatywna większość, jednocześnie opowiadają się za utrzymaniem możliwie szerokich uprawnień podobnej instytucji w Izraelu, bo ta stoi w ich opinii na straży wolności, oczywiście liberalnych.

REFORMA LEWINA

Jariw Lewin, minister sprawiedliwości w rządzie Netanjahu, który został powołany w wyniku porozumienia centroprawicowego Likudu i partii reprezentujących ortodoksyjnych wyborców, a koalicja ta dysponuje 64 mandatami w 120-osobowym Knesecie, zaproponował w styczniu reformy trybu powoływania składu izraelskiego Sądu Najwyższego, który ma władzę nominowania i odwoływania sędziów wszystkich instancji. Komitet, którego zadaniem jest ich mianowanie, miałby zostać powiększony do 11 osób z obecnych 9. W efekcie koalicja rządząca krajem miałaby decydujący wpływ na nominacje, a przewagę legislatywy dodatkowo chciano wzmocnić, wprowadzając nieobecną w izraelskim prawodawstwie do tej pory regułę, według której orzeczenia Sądu Najwyższego w kwestiach politycznych mogłyby zostać odrzucone zwykłą większością głosów w Knesecie.

Zdaniem liderów opozycji, zarówno Beni Ganca, jak i Jaira Lapida, polityków, którzy szczerze się nienawidzą i których kłótnie umożliwiły Netanjahu powrót do władzy, te zamiary świadczą o dążeniu obecnej koalicji do obalenia rządów prawa i likwidacji systemowej równowagi między władzą ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Przeciwnego zdania są zwolennicy reform. „Mamy elitarną kastę, która powołuje się, a następnie narzuca społeczeństwu swoje wartości" – powiedział Awiad Bakszi,

eprasa.pl 0651f7fe14



ekspert prawny z Kohelet Policy Forum, konserwatywnego think tanku z siedzibą w Jerozolimie. Zdaniem przedstawicieli partii ortodoksyjnych Sąd Najwyższy, powołując się na obronę praw obywatelskich, nie tylko kwestionuje dotychczasową tradycję polityczną, dzięki której Izrael mógł funkcjonować, lecz także zagraża prawom mniejszości, czyli w tym przypadku religijnych Żydów, a przede wszystkim tej ich części, która do tej pory była zwolniona z obowiązku powszechnej służby wojskowej. „Sąd ma chronić mniejszości. Ale nasza mniejszość nie była chroniona. Było odwrotnie: bardzo szkodzono" – powiedział mediom Uri Maklew z wchodzącej w skład koalicji rządowej ortodoksyjnej partii Zjednoczony Judaizm Tory.

Już od czasów prezydenta Dawida Ben Guriona polityka ustrojowa Izraela kierowała się pragnieniem zbudowania nowego społeczeństwa, składającego się z dwóch trudno do siebie przystających części – świeckich nacjonalistów, którzy zainicjowali osadnictwo w Palestynie, i Haredi, Żydów tradycjonalistów, przestrzegających drobiazgowo zaleceń halachy, czyli żydowskiego prawa i tradycji. Ojcowie założyciele uważali, że tego rodzaju pragmatyczny kompromis jest warunkiem zbudowania silnego państwa. To dlatego tworząc liberalny i świecki twór, zdecydowali się na ustrojowo-polityczne koncesje na rzecz religijnej mniejszości i Izrael do dzisiaj uznaje święta judaistyczne, instytucje publiczne honorują zasadę koszerności, a w szabat życie w całym kraju praktycznie zamiera. Również z tego powodu przez lata najbardziej religijni Żydzi studiujący święte księgi nie byli zmuszani do służby wojskowej. Tę ostatnią zasadę już trzykrotnie zakwestionował w ostatnim 20-leciu Sąd Najwyższy, obalając ustawy będące próbą formalnego uregulowania tej kwestii i uznając, że jej stosowanie będzie oznaczać łamanie praw świeckiej większości objętej obowiązkiem powszechnej służby wojskowej. Tego rodzaju stanowisko wywołało zaniepokojenie konserwatywnej części społeczeństwa Izraela, której polityczne znaczenie w związku z napływem Żydów z państw postsowieckich i arabskich w ostatnich latach znacznie wzrosło, przyczyniając się do wyraźnego dryfu polityki kraju na prawo.

WSZECHWŁADZA PRAWNIKÓW

Przeciwnicy wszechwładzy prawników mówią również o tym, że mądre zasady równowagi systemowej, stworzone przez ojców założycieli Izraela, zostały w istocie naruszone w latach 90. ub.w., kiedy to Aharon Barak, ówczesny prezes izraelskiego Sądu Najwyższego, jednostronnie uznał, że uchwalenie tzw. Karty praw podstawowych daje wymiarowi sprawiedliwości prawo do orzekania, które akty legislacyjne są z nią zgodne, a które nie. Sytuację utrudnia również to, że Izrael nie ma pisanej konstytucji, a jego system prawny jest mieszanką brytyjskiego common law, opartego na precedensach i orzecznictwie, oraz uchwalanych przez parlament ustaw. Na dodatek w ubiegłych latach sędziowie SN i mianowany przez nich prokurator generalny stosowali w praktyce rozszerzającą interpretację własnych uprawnień, uznając, że każda decyzja rządu może podlegać sądowej ocenie, a formułowane pod adresem premiera zalecenia muszą zostać wykonane bez dyskusji.

Jak napisał na łamach „The Wall Street Journal" Michael B. Mukasey, były amerykański prokurator generalny, sytuację komplikował dodatkowo fakt, że w izraelskim systemie prawnym nie ma rozróżnienia na kwestie prawne związane z obowiązującym ustawodawstwem, w których rozstrzyganie mogłoby pozostać prerogatywą systemu sadowego, i sprawy polityczne. Wszystkie decyzje rządu, w tym nominacje personalne, mogą przez każdego obywatela zostać zaskarżone, co rodzi pokusę nadużycia uprawnień i powolnego przekształcania się wymiaru sprawiedliwości w rodzaj superarbitra, w którym prawnicy, niemający demokratycznego mandatu, mają ostatnie słowo w każdej kwestii i w gruncie rzeczy kształtują politykę rządu, wyznaczając jej ramy. Na dodatek obierany przez sędziów na sześcioletnią kadencję prokurator generalny jest traktowany przez sądy wszystkich instancji w kategoriach nadrzędnego organu władzy, którego decyzje i interpretacje obwiązują wszystkich i który w formie zaleceń prawnych może wpływać na politykę każdego rządu. Jednym z najbardziej jaskrawych przejawów tego zjawiska było wydanie przez urzędującego prokuratora generalnego zalecenia pod adresem premiera Netanjahu, by ten w związku z konfliktem interesów wstrzymał się od udziału w pracach nad reformą prawa. Chodzi o toczące się postępowanie w związku z aferami korupcyjnymi, w które jest uwikłany obecny premier, ale zdaniem jego obrońców, póki nie został wydany prawomocny wyrok, trudno przesądzać, że jakikolwiek konflikt interesów ma w istocie miejsce. Niektórzy komentatorzy zauważają też ironicznie, że prokurator ge-

Fot. REUTERS/Ronen Zvulun

eprasa.pl 0651f7fe14

neralny, wydając premierowi zalecenie, nie zauważył, że występuje we własnej sprawie, czyli w interesie urzędu, który sprawuje, bo obsada SN ma wpływ na to, kto obejmie tę funkcję, co również stawia go w sytuacji konfliktu interesów.

Sam Netanjahu twierdzi, że jest ofiarą nagonki o charakterze politycznym, polowania na czarownice, w które są zaangażowani politycznie motywowani sędziowie, prokuratorzy i oficerowie policji (w Izraelu cieszy się ona dużą niezależnością) i która nie ma wiele wspólnego z dążeniem do poszanowania prawa. Ten pogląd znajduje zwolenników zwłaszcza w sytuacji, kiedy SN podejmował w przeszłości decyzje w oczywisty sposób mające charakter polityczny. I tak kiedy Netanjahu chciał w 1999 r. zamknąć siedzibę Organizacji Wyzwolenia Palestyny w Jerozolimie, postanowienie sądu zablokowało całą sprawę. Argumentowano, że na kilka miesięcy przed wyborami nie można podejmować tak ważkich decyzji. Jednak w 2022 r., pięć dni przed dniem głosowania, centrolewicowy gabinet Jaira Lapida uzyskał zgodę na podpisanie traktatu rozgraniczającego wody terytorialne Izraela i Libanu. Wówczas problemem nie było to, że ważne decyzje podejmuje się przed wyborami, ale – jak zaznaczają zwolennicy reformy – sędziowie stosują inne zasady, jeśli chodzi o prawicę, a inne w przypadku polityków centrolewicowych.

POTRZEBA KOMPROMISU

Jednak batalia o reformę Sądu Najwyższego w Izraelu ma też inny wymiar. Jak zauważył na łamach „The New York Times" wspierający opozycję Michael Bloomberg, magnat medialny i były burmistrz Nowego Jorku, państwa graniczące z wrogami nie mogą sobie pozwolić na ryzyko wewnętrznych podziałów, bo to zostanie w przyszłości przez nich wykorzystane. W tym sensie jedność społeczna i rozumny kompromis między świecką i religijną częścią izraelskiego społeczeństwa zbudowany przez Dawida Ben Guriona może być warunkiem koniecznym do przetrwania. Adresując swoje przestrogi do elit Izraela, napisał, że „im bardziej podzielony jest twój dom, tym słabszy wydajesz się w oczach swoich wrogów". Jego zdaniem Stany Zjednoczone mogły sobie pozwolić na wewnętrzne podziały, graniczą bowiem z przyjaznymi państwami, Izrael nie ma tego luksusu, będąc państwem otoczonym przez przeciwników.

A nie ulega wątpliwości, że starcie między zwolennikami reformy wymiaru sprawiedliwości i obrońcami obecnego stanu już teraz głęboko podzieliło społeczeństwo. Jest to groźne zjawisko nie tylko z punktu widzenia polityki wewnętrznej, ale przede wszystkim bezpieczeństwa państwa opierającego swoją politykę obrony na powszechnym zaangażowaniu społeczeństwa w służbę wojskową. 50 dowódców izraelskiego lotnictwa zebrało się kilkanaście dni temu w sztabie sił powietrznych. Byli to głównie oficerowie rezerwy, którzy jednak w świetle obowiązującego prawa nadal są zobowiązani 3–4 razy w miesiącu uczestniczyć w misjach szkoleniowych i bojowych. Większość z nich poinformowała dowództwo, że zawieszają uczestnictwo w szkoleniu. Izraelscy piloci obawiają się, że forsowana przez rząd Netanjahu reforma wymiaru sprawiedliwości osłabi reputację Izraela w świecie, co może w efekcie doprowadzić do wzmożenia nacisków, by tych z nich, którzy realizują misje bojowe poza granicami kraju, stawiać przed międzynarodowymi trybunałami. Media informują też o zaangażowaniu izraelskich wojskowych, z których większa część to oficerowie rezerwy, w masowe protesty, do których dochodzi w związku z forsowaną przez prawicowy gabinet Netanjahu reformą wymiaru sprawiedliwości. 140 z nich, w tym 5 generałów na czele z Jairem Golanem, byłym zastępcą szefa sztabu generalnego, napisało list otwarty, w którym reformę Sądu Najwyższego określają mianem zamachu stanu, a rząd nazywają grupą religijnych ekstremistów.

> W izraelskim systemie prawnym nie ma rozróżnienia na kwestie prawne związane z obowiązującym ustawodawstwem, w których rozstrzyganie mogłoby pozostać prerogatywą systemu sądowego, i sprawy polityczne

Sytuacja jest do tego stopnia napięta, że 10 byłych dowódców izraelskiego lotnictwa zwróciło się z listem do premiera i ministra obrony, w którym wyrażają zaniepokojenie wpływem, który zaostrzająca się walka polityczna ma na sytuację w tej formacji, ich zdaniem niebędącej w stanie normalnie funkcjonować bez zaangażowania oficerów rezerwy. Gen. bryg. Roy Riftin powiedział dziennikowi „The Times of Israel", że wielu wojskowych obawia się „tyranii większości" i ich zdaniem „Sąd Najwyższy jest naszą tarczą, naszą tarczą jako armii, jako oficerów, a my działamy i robimy wszystko, co w naszej mocy, by uniknąć szkód ubocznych", dodając, że „demokracja nie może być zagrożona. Nie ma mniej lub więcej demokracji. Albo w systemie są mechanizmy kontroli i równowagi, albo ich nie ma".

Nawet jeśli uznać te obawy za przesadzone i wyolbrzymiające zagrożenie, to nie sposób nie zauważyć, że podziały i polaryzacja społeczna są realne. Ich następstwa osłabiają zdolności Izraela do obrony, co w niespokojnych czasach może być na rękę wrogom. To dlatego wielu przedstawicieli elity państwa, zarówno prezydent Herzog, jak i liderzy Kohelet Policy Forum, think tanku, który zaprojektował zapowiedziane zmiany i przez lata orędował za ich wprowadzeniem, opowiadają się obecnie za kompromisem w sprawie reformy wymiaru sprawiedliwości i odnowieniem pragmatycznego kontraktu społecznego, który mógłby zasypać podziały. Zwolennicy kompromisu są zdania, że oddanie pola radykałom doprowadzi w efekcie do nieodwracalnych podziałów i będzie miało katastrofalne skutki dla Izraela.

eprasa.pl 0651f7fe14

Amerykańska niejednoznaczność

Każdy, kto chce dziś pojąć, do czego naprawdę zmierza strategia amerykańska na wschodzie Europy, musi skonstatować, iż po prostu nie ma w tej sprawie jasności



JAN ROKITA



Fot. Brendan Smialowski/AFP/Alternative Crop/East News

Po lutowej mowie Josepha Bidena w ogrodach warszawskiego Zamku Królewskiego można było odnieść wrażenie, iż Ameryka mocniej niż dotąd bierze odpowiedzialność za przyszłe losy Ukrainy. Inaczej niż rok wcześniej w Warszawie prezydent nie koncentrował się bowiem na werbalnych zaklęciach o obronie każdej piędzi ziemi NATO, brzmiących raczej pesymistycznie, jeśli chodzi o wynik trwającej wojny. Ale przedstawił taką wizję amerykańskiej polityki, wedle której jej nadrzędną misją jest obrona wolności gdziekolwiek na świecie.

Taki sposób myślenia musiał kojarzyć się nawet z ideowym dziedzictwem amerykańskich neokonserwatystów, skłonnych upatrywać w Ameryce rolę swoistego katechona, broniącego świat przed popadnięciem we władzę tyranów i agresorów. Tak właśnie przedstawiał ostatnio misję Ameryki czołowy analityk z kręgu neokonserwatystów Robert Kagan, kończący swój esej na łamach „Foreign Affairs" słowami, iż tylko amerykańska potęga może utrzymać naturalne siły historii na uwięzi. A tak brzmiąca teza z pewnością nie odzwierciedla typowego stylu myślenia amerykańskiej centrolewicy, której liderem jest obecny prezydent USA.

CO MY W OGÓLE ROBIMY?

Jednak od czasu lutowej mowy Bidena pojawiło się wiele nowych faktów, oświadczeń i przecieków medialnych podających na powrót w wątpliwość wolę i zdecydowanie Ameryki. Owych faktów, oświadczeń i przecieków nie należy przeceniać, podobnie zresztą jak nie wolno nadinterpretowywać realnych konsekwencji wizji, przedstawionej przez prezydenta w ogrodach zamkowych. To ważne dla rzetelnej wykładni polityki amerykańskiej i realistycznych prognoz na przyszłość. Każdy bowiem, kto chce dziś pojąć, do czego naprawdę zmierza strategia amerykańska na wschodzie Europy, musi skonstatować, iż po prostu nie ma w tej sprawie jasności.

Rzetelny analityk jest skazany zatem na dyskomfort nieustannego poruszania się między argumentami przemawiającymi za tym, że w sprawie obrony Ukrainy Ameryka przekroczyła już *de facto* Rubikon, choć sama być może jeszcze o tym

eprasa.pl 0651f7fe14

nie wie, i za tym, że Ameryka powoli zbliża się do krytycznej chwili, w której będzie skłonna pogodzić się z wojenną porażką Ukrainy, a nawet cichcem zmusić Kijów do jakiejś formy przyjęcia owej porażki do wiadomości. Bowiem niejednoznaczność – to znak firmowy amerykańskiej strategii wobec wojny na Ukrainie.

Co ciekawe, taki pogląd dość bezceremonialnie wyraził ostatnio jeden z kluczowych polityków opozycyjnych republikanów, a zarazem szef Komisji Spraw Zagranicznych Izby Reprezentantów, w której prawica dysponuje większością głosów.



Kongresmen Michael McCaul, skądinąd znany zwolennik i obrońca polityki Donalda Trumpa, sam wybrał się nie tak dawno do Kijowa, gdzie w rozmowie z Zełenskim skrytykował niejednoznaczność postępowania Bidena, wyrażając przy tym poparcie dla szybkiego wyposażenia armii ukraińskiej w produkowane przez koncern Lockheed Martin pociski o zasięgu 300 km oraz nowoczesne samoloty bojowe. Jak wiadomo, rząd Bidena odmawia cały czas jednego i drugiego, ignorując argumenty Kijowa, wedle których wyparcie okupanta z terytorium kraju bez tej broni jest niemożliwe do wykonania. McCaul surowo ocenia politykę Bidena. „Rząd nie ma jasnego celu" – mówi. – Czy chodzi mu o to, by dać Ukraińcom tyle, by mogli przetrwać, ale nie mogli wygrać?". I dodaje: „Nie widzę naszej polityki zwycięstwa, a jeśli jej nie ma, to trzeba spytać, co my w ogóle robimy".

Opinię McCaula zdają się potwierdzać priorytety budżetowe rządu Bidena na rok fiskalny 2024 przedstawione ostatnio przez prezydenta w Filadelfii. Jeśli chodzi o wydatki militarne, zarówno prezydent, jak i jego minister obrony postulują ich zwiększenie, ale nie ze względu na toczącą się wojnę w Europie, lecz konieczność wzmocnienia amerykańskiej gotowości wojskowej w regionie Indo-Pacyfiku. Preliminaria budżetowe ministra Lloyda Austina odpowiadają takim właśnie priorytetom. Przeszło 9 mld dol. jest w nich zaplanowane na podwyższenie gotowości amerykańskich wojsk w Azji i na Pacyfiku, a niecałe 4 mld na poprawę owej gotowości na tzw. wschodniej flance NATO. Przy czym ta ostatnia kwota jest o połowę mniejsza od wydatków zatwierdzonych przez Kongres na ten cel w obecnym amerykańskim roku budżetowym. Z kolei kwoty na dozbrojenie Ukrainy są śmiesznie niskie (zaledwie 0,3 mld dol.), choć oczywiście trzeba założyć, iż realne wydatki na ten cel będą określane na bieżąco, w poczet rezerw budżetowych, tak zresztą jak to się dzieje w amerykańskiej praktyce w ciągu obecnego roku budżetowego.

Jednak projekt budżetu Bidena, przełożony na język polityki, mówi nam, iż Ameryka nie wie, ile naprawdę będzie musiała wydać na wojnę, ale wstępnie zakłada, że powinno to być mniej niż w br. I ta sama maksyma dotyczy kosztów wzmacniania bezpieczeństwa Polski i jej sąsiadów na wschodniej flance.

Takie podejście potwierdza tezę McCaula o niejednoznaczności wschodnioeuropejskiej strategii USA. Jest przecież całkiem jasne, że jeśliby w ciągu najbliższego roku planować zyskanie przez armię ukraińską decydującej wojennej przewagi nad okupantem, to warunkiem *sine qua non* takiego planu musiałby być jednoroczny skokowy wzrost wydatków Ameryki zarówno na nowoczesne i bardzo kosztowne dozbrojenie Ukrainy, jak i na poprawę bezpieczeństwa wschodniej flanki, tak by ochronić ją przed możliwą mściwą reakcją przegrywającego Putina. Rządowe preliminaria budżetowe USA obnażają fakt, iż w każdym razie ekipa Bidena nie ma takiego planu na najbliższy rok. A jaki plan ma i czy w ogóle go ma – to właśnie pozostaje niewiadomą.

ZGRZYTY NA LINII USA – UKRAINA

Co więcej, z tą niejednoznacznością współgrają różne, bardziej lub mniej doniosłe różnice poglądów Waszyngtonu i Kijowa na temat wojny, które przebijają się coraz częściej do wiadomości opinii publicznej. Ta najbardziej znacząca w ciągu ostatnich dni to uprzejma, ale zdecydowana krytyka straceńczej obrony ruin Bachmutu, którą publicznie sformułował Lloyd Austin. Zdefiniował on ową obronę jako „akt mający znaczenie symboliczne, ale nie strategiczne czy operacyjne", co w ustach ministra obrony i emerytowanego generała brzmi niemal jak jawne przyznanie bezsensowności bohaterstwa Ukraińców w Bachmucie. Ta ocena Lloyda Austina zbiegła się czasowo z kilkukrotnymi, celowo upublicznianymi naradami Zełenskiego z ukraińskimi generałami, po których zawsze prezydent formułował twarde argumenty o zasadniczym znaczeniu obrony tego miasta dla losów całej wojny.

eprasa.pl 0651f7fe14

Zgrzytów amerykańsko-ukraińskich jest ostatnio więcej. Światowe media obiegła wieść, iż resort Lloyda Austina zablokował przekazywanie informacji o rosyjskich zbrodniach wojennych Międzynarodowemu Trybunałowi Karnemu w Hadze w obawie, że takim precedensem USA uznałyby wojenną jurysdykcję owego sądu, który wykorzystałby to do wszczęcia wielu spraw przeciw żołnierzom amerykańskim. Obawa w Pentagonie jest najzupełniej racjonalna, tym bardziej że Ameryka od lat broni się przed uznaniem haskiego trybunału, sama prowadząc przecież wojny w różnych częściach świata. Dla amerykańskiego dowództwa pewność bezpieczeństwa żołnierzy US Army jest oczywiście ważniejsza niż propagandowe procesy w Hadze przeciw Rosjanom, których i tak zapewne fizycznie nie uda się ująć i postawić przed sądem. Ale priorytety Zełenskiego są odwrotne, gdyż nie kryje on tego, iż wszczęcie międzynarodowych procesów za zbrodnie wojenne popełniane na Ukrainie jest jednym z kluczowych celów jego dzisiejszej zagranicznej polityki.

Do opinii publicznej przeniknęła także wieść, wedle której zarówno wywiad USA, jak i kluczowe resorty rządu amerykańskiego, prowadzące w tej sprawie własne dochodzenia (m.in. resort energetyki) wiedzą już ponoć, że perfekcyjnie przeprowadzona we wrześniu na Morzu Bałtyckim akcja sabotażowa, której efektem stało się wysadzenie trzech spośród czterech nitek gazociągu rosyjsko-niemieckiego, miała być dziełem jakiejś „grupy proukraińskiej" (cokolwiek ów eufemizm miałby oznaczać). Jeśli to prawda, to trzeba z podziwem przyznać, że w samoobronie Ukraina jest zdolna zdziałać znacznie więcej, niż moglibyśmy się tego spodziewać.

Nie zmienia to jednak faktu, że z perspektywy formalnej praworządności tego rodzaju akt sabotażu jest traktowany – zwłaszcza przez europejskich sojuszników USA – jako przejaw terroryzmu. Często można odnieść wrażenie, że nie tylko zachodni Europejczycy, lecz także Amerykanie chcieliby, by samoobrona napadniętej Ukrainy odbywała się z niemal dżentelmeńską elegancją. To oczywisty absurd w warunkach wojny, w której stawką jest sama egzystencja państwa i narodu. Ale fakt faktem, że jeśli ustalenia, o których trąbią media, są autentyczne, to zarówno unijna Europa, jak i Ameryka są w konfuzji, bo nie wiedzą, co mają w ogóle z taką wiedzą teraz uczynić. Biden też zapewne nie jest z tego zadowolony.

Dwuznaczna jest także reakcja Białego Domu na ponowioną przez Polskę propozycję wysłania na Ukrainę polskich myśliwców rosyjskiej produkcji. John Kirby mówi na ten temat w istocie to samo, co mówił rok temu, gdy ów plan pojawił się po raz pierwszy i został głupio ujawniony przez szefa unijnej dyplomacji Borrella. Że mianowicie – „to są suwerenne decyzje każdego kraju", że Ameryka „nikomu nie wykręca rąk" i że ogólnie „zachęca wszystkich do pomocy Ukrainie". Trochę zabawne, że rok temu w Warszawie uznano to za przejaw niezadowolenia Waszyngtonu i plan został zablokowany. Rok później podobnie pokrętne wywody Kirby'ego na temat polskiej suwerenności, których nie sposób czytać inaczej niż jako ostentacyjne umycie rąk od całej sprawy, jak na razie zostały przez polskie władze zbyte milczeniem. I wygląda na to, że amerykańskie „umycie rąk" zrobiło u nas mniejsze wrażenie niż rok temu, a samoloty – i to nie tylko polskie, lecz także słowackie – tak czy inaczej wzmocnią za chwilę wydajnie ukraińskie siły powietrzne.

Dwuznaczna jest także reakcja Białego Domu na ponowioną przez Polskę propozycję wysłania na Ukrainę polskich myśliwców rosyjskiej produkcji

SCEPTYCYZM ZA OCEANEM

Do tego dochodzą jeszcze nie całkiem czytelne podziały opinii w obu partiach amerykańskich na temat wojny. Najliczniejszy i mocno wpływowy ideologiczny klub, który istnieje w kongresowej frakcji Partii Demokratycznej – to Klub Postępowców, kierowany przez kongresmenkę Pramilę Jayapal (znaną skądinąd z ataków werbalnych na Polskę i Ukrainę, gdyż oba nasze kraje uznaje ona za antysemickie). Owa partyjna platforma twardych lewicowców ostro potępiła projekt budżetu obronnego Pentagonu, oskarżając rząd, iż zamiast dążyć do negocjacji pokojowych z Rosją, w istocie przygotowuje wojnę. Kongresmenka Jayapal, której klub grupuje aż setkę posłów z Partii Demokratycznej, od dawna nie kryje tego, że rosnące zaangażowanie Ameryki w wojnę nie budzi jej zaufania. Przyszłość pokaże, jak to stanowisko „postępowców" przełoży się na ostateczne głosowania budżetowe partyjnego zaplecza Bidena.

Tymczasem po drugiej stronie amerykańskiej sceny z podobnymi ocenami wystąpił właśnie drugi obok Donalda Trumpa najpoważniejszy republikański pretendent do przyszłej prezydentury. Konserwatywny gubernator Florydy Ron DeSantis, który przez długi czas kluczył, jeśli chodzi o stanowisko wobec wojny, teraz w końcu określił swój pogląd w sposób jasny i wyraźny. „USA mają wiele żywotnych narodowych interesów – mówił. – Ale z pewnością nie należy do nich wplątywanie się w konflikt terytorialny między Rosją i Ukrainą".

Sam Trump, jak to Trump, raz oskarża Bidena, iż ów nie wysyła atomowych okrętów podwodnych na brzegi Rosji, a drugi raz domaga się szybkiej akceptacji rozbioru państwa ukraińskiego. Z lat jego prezydentury można wnosić, że Trump u władzy zwykł jednak ulegać swoistemu nastrojowi imperialnemu, co dla wschodnioeuropejskich sojuszników Ameryki okazywało się ze wszech miar pożyteczne. Jednak deklaracja DeSantisa, który jest myślowo posprzątany i konsekwentny, wygląda o tyle niepokojąco, że musi stać za nią rozpoznanie nastrojów wyborców amerykańskich.

Różne sondaże pozwalają sądzić, że poparcie Amerykanów dla obrony Ukrainy jest ciągle wysokie, ale wraz z naturalnymi konfliktami towarzyszącymi rozpoczynającej się w USA kampanii o przyszłą prezydenturę będzie zapewne maleć. I to jest kolejny powód, dla którego amerykańska polityka na wschodzie Europy może stawać się jeszcze bardziej pokrętna i dwuznaczna.

eprasa.pl 0651f7fe14



Mocno spóźnieni abolicjoniści

Demokraci uważają, że Stany Zjednoczone zostały zbudowane na krzywdzie czarnych. Na poziomie federalnym reparacji dla potomków niewolników raczej nie będzie, ale w niektórych stanach i miastach już są wypłacane



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„250 lat niewoli. 90 lat Jima Crowa [segregacji rasowej – przyp. red.]. 60 lat życia oddzielnie, ale pozornie na równi. 35 lat rasistowskiej polityki mieszkaniowej. Dopóki nie rozliczymy się z naszego rosnącego długu moralnego, Ameryka nigdy się nie zrośnie" – tak brzmi początek manifestu na rzecz reparacji dla Afroamerykanów pióra Ta-Nehisi Coatesa, wpływowego czarnoskórego pisarza i eseisty, który ukazał się dziewięć lat temu na łamach „The Atlantic". Wyrównać krzywdy, zadośćuczynić za biały przywilej, najlepiej finansowo. „Wszystkie instytucje w Ameryce, czy to publiczne, czy prywatne, wyciągały bogactwo i zasoby z czarnoskórej społeczności. Tu nie chodzi tylko o złe traktowanie. To kradzież" – tłumaczył Coates pięć lat później w wywiadzie z „The New Yorker". Zaznaczył przy tym, że pisząc artykuł, nie myślał, że reparacje – w każdym razie za jego życia – mogłyby zostać wypłacone. „Chciałem zwyczajnie, by ten pomysł przestał wywoływać u ludzi gromki śmiech". I to się udało. Jest 2023 r. i nikt się nie śmieje. Przeciwnie. Debata o reparacjach dla niewolników oraz ich potomków toczy się wprawdzie już od czasów wojny secesyjnej, a projekt ustawy dotyczący reparacji od 30 lat zalega w Kongresie, ale dopiero teraz pojawili się politycy

Fot. Jonathan Ernst / Pool Photo

eprasa.pl 0651f7fe14

wystarczająco szaleni i zaczadzeni ideologicznie, by taki plan zrealizować. I gdzieniegdzie już się za to wzięli.

PANIKA MORALNA

Redystrybucja bogactwa zawsze była głównym celem egalitarnej lewicy, a panika moralna, która wybuchła po śmierci George'a Floyda w 2020 r., ostatecznie otworzyła drzwi do reparacji opartych na kolorze skóry.

W marcu 2021 r. Evanston w Illinois stało się pierwszym miastem w USA, które postanowiło wypłacić odszkodowania czarnoskórym mieszkańcom za szkody wynikające z niesprawiedliwości rasowej i nierówności. Evanston, miasto uniwersyteckie na północ od Chicago, liczy 78 tys. mieszkańców. Dwie trzecie to biali, jedna piąta czarni, reszta to Azjaci i Latynosi. Rządzą tu demokraci, w wyborach prezydenckich w 2020 r. Donald Trump zgarnął tu mniej niż 10 proc. głosów. 20 mln dol. – tyle Evanston chce wydać na reparacje dla swoich czarnoskórych mieszkańców. Ale nie w gotówce. I nie za niewolnictwo. Tylko za dyskryminację mieszkaniową. Potencjalni beneficjenci muszą udowodnić, że żyli w mieście przed 1969 r., gdy ograniczano Afroamerykanom dostęp do nieruchomości i kredytów. Odszkodowania przyjęły formę dotacji – 25 tys. dol. od osoby, które można wykorzystać wyłącznie na remont domu, spłatę kredytu hipotecznego lub jako zaliczkę na zakup nieruchomości. Na razie zgłosiło się nieco ponad 120 osób. 16 już otrzymało dotację. Większość ma ponad 70 lat. Wypłaty miasto chce sfinansować z podatku nałożonego na dochody z uprawy konopi indyjskich. Według „The Washington Post", jest to pierwszy krok w dobrym kierunku. Ale nie wszyscy tak uważają. Czarnoskóra radna z Evanston Cecily Fleming, która jako jedyna głosowała przeciwko projektowi, uważa, że jest to plan mieszkaniowy przebrany za reparacje. „To nie jest zmiana, która może być latarnią morską dla narodu" – powiedziała. „To słabe, słabe światło" – dodała.

Na szczęście jest Kalifornia, która chce świecić o wiele jaśniej. W 2020 r. za pomocą ustawy nr 3121 powołano w „złotym stanie" (golden state) specjalną dziewięcioosobową grupę zadaniową ds. reparacji. Rok później grupa zarekomendowała, by każdemu czarnoskóremu mieszkańcowi Kalifornii, którego przodkowie byli niewolnikami, wypłacić jednorazowo 220 tys. dol. odszkodowania. W tym roku ta suma wzrosła już do 360 tys. Są jednak także członkowie grupy, którzy mówią o 800 tys. dol. Kalifornia ma 40 mln mieszkańców, z czego ok. 6 proc. to Afroamerykanie. Ale na tym nie koniec. Podczas ostatnich dwóch posiedzeń grupa doszła do wniosku, że potrzeba co najmniej 640 mld dol., by zmniejszyć przepaść dzielącą czarną społeczność od białej, w tym w dziedzinach mieszkalnictwa, zdrowia i edukacji. PKB Kalifornii to 3 bln dolarów rocznie. Jak to wszystko ma być sfinansowane – nie wiadomo, bo grupa zadaniowa oraz gubernator stanu, demokrata Gavin Newsom, w tej sprawie milczą. Deficyt budżetowy Kalifornii wyniesie w tym roku 22,5 mld dol., bo złota era Silicon Valley, wielkiego worka z pieniędzmi dla stanu, wydaje się dobiegać końca. Sektor technologiczny masowo zwalnia pracowników. Wszystko wskazuje więc na to, choć nikt o tym otwarcie nie mówi, że domniemane krzywdy czarnoskórym będą musieli wyrównać pozostali mieszkańcy Kalifornii. Biali, Latynosi i Azjaci. A obowiązują tu już jedne z najwyższych podatków w kraju.

> Władze Kalifornii każdemu czarnoskóremu mieszkańcowi, którego przodkowie byli niewolnikami, planują wypłacić jednorazowo 360 tys. dol. Paradoks polega na tym, że w tym „wolnym stanie" (free state) nigdy nie było niewolnictwa

Krytycy zauważają słusznie, że w Kalifornii, „wolnym stanie" (free state), nigdy nie było niewolnictwa. Trudno to pogodzić z 500-stronicowym raportem, który grupa zadaniowa opublikowała i z którego wynika, że „amerykański rząd na wszystkich szczeblach, w tym w Kalifornii, historycznie kryminalizował Afroamerykanów w celu kontroli społecznej i utrzymania gospodarki opartej na wyzyskiwanej czarnej sile roboczej". Odszkodowanie się należy. Jeśli nie za bycie niewolnikiem lub jego potomkiem, to za bycie czarnym.

MILIONY ZA CRACK

Już teraz jednak niektórzy potencjalni beneficjenci są niezadowoleni. Podczas posiedzeń grupy, które są publiczne, było słychać żądania co najmniej sześciocyfrowej sumy. Dla każdego Afroamerykanina. „Albo się dostosujecie, albo będziecie mieli kłopoty" – groził choćby aktywista Deon Jenkins. A gwiazda mediów społecznościowych i triathlonista Max Fennell domagał się, by czarnoskórzy Kalifornijczycy otrzymali 350 tys. dol. na osobę, do tego od 15 do 20 akrów ziemi oraz 250 tys. dodatkowej dotacji na działalność gospodarczą. „My was nie prosimy. My żądamy!" – krzyczał.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że władze Kalifornii w swoim poprawnym politycznie zapale wmanewrowały się w ślepy zaułek. Cokolwiek wypłacą, będzie za mało. A wycofać się z poczynionych propozycji już nie mogą. Bo wtedy będzie jeszcze gorzej. Po latach wmawiania czarnoskórym obywatelom, że za wynikające ze złej polityki demokratów nierówności, szczególnie widoczne w Kalifornii, odpowiada niewolnictwo sprzed 150 lat oraz abstrakcyjny i trudno uchwytny rasizm, odwrotu już nie ma. Trzeba dalej brnąć w tym kierunku. Według gubernatora Newsoma zarzucenie czarnoskórej społeczności pieniędzmi

eprasa.pl 0651f7fe14

znacznie zmniejszy przestępczość w stanie. Reparacje są wręcz przedstawiane jako panaceum na wszelkie społeczne zło. Postawa roszczeniowa czarnoskórej społeczności nie powinna więc nikogo dziwić. Jeśli się komuś wmawia konsekwentnie, że jest ofiarą, w końcu się nią stanie. „Szkoły są zdaniem grupy zadaniowej wylęgarnią przyszłych (czarnoskórych) więźniów. Ale kto odpowiada za szkoły w Kalifornii? Związki zawodowe nauczycieli. Lewicowe i postępowe. Odkąd przejęły szkoły w latach 70. XX w. ich poziom się stale pogarsza. Niewolnictwo nie ma z tym nic wspólnego" – czytamy na łamach „The Washington Post". Jak dodaje gazeta: „W Kalifornii odpowiedzią na niepowodzenia postępu jest zawsze jeszcze więcej postępu".

A stolicą postępu jest San Francisco. Władze miasta najwyraźniej nie chciały zostać przyćmione przez Kalifornię, więc stworzyły własną grupę zadaniową, która przedstawiła swoje propozycje reparacji: 5 mln dol. dla każdego z 45 tys. czarnoskórych mieszkańców miasta. Do tego umorzenie długów, gwarantowany dochód w wysokości 97 tys. dol. rocznie przez 250 lat oraz możliwość zakupu domu na ternie miasta za symbolicznego dolara. W sumie ponad 100 rekomendacji, z których nie wszystkie zostały jak dotąd ujawnione. Według szacunków plan może kosztować miasto 50 mld dol. Przy budżecie w wysokości 14 mld dol. rocznie. Każdą nieczarną rodzinę kosztowałby 600 tys. dol. „Jest to niewykonalne" – podkreślił John Dennis, przewodniczący Partii Republikańskiej. „San Francisco to niestety jedno z tych miejsc, gdzie takie rzeczy mimo to są realizowane" – dodał. By otrzymać te 5 mln, trzeba mieć co najmniej 18 lat i od 10 lat identyfikować się jako czarnoskóry w dokumentach publicznych oraz spełnić dwa z ośmiu dodatkowych kryteriów: m.in. być urodzonym w San Francisco między 1940 a 1996 r., mieszkać tam od co najmniej 13 lat, być potomkiem kogoś, kto siedział w więzieniu w ramach „nieudanej wojny z narkotykami" (w okresie epidemii cracku w latach 80. XX w.), otrzymać przed 1968 r. odmowę kredytu na samochód lub być potomkiem niewolnika. Szczegóły reparacji mają zostać wypracowane do lata br.

NAPRAWA CZY ZEMSTA?

Idea reparacji szerzy się w USA niczym ogień. Podobne grupy i komisje ds. reparacji powołano w Bostonie, Nowym Jorku, Asheville w Karolinie Północnej i Saint Louis w Missouri, gdzie miejscowy gigant nieruchomości przepraszał niedawno za to, że utrudniał czarnym w latach 50. i 60. XX w. dostęp do mieszkań. Droga została wytyczona. Na poziomie federalnym reparacji zapewne nie będzie. Kongres jest zbyt podzielony. Za to kwestia rasy, bo proponowane reparacje są formą odwróconego rasizmu, jeszcze długo będzie rozdzierać Amerykę. Zamiast – jak chciał Ta-Nehisi Coates – ją scalać. Gdy publikował swój artykuł w 2014 r., tylko 6 proc. białych Amerykanów (według sondażu YouGov) popierało wypłatę reparacji potomkom niewolników. Siedem lat później, w 2021 r., ten wskaźnik wzrósł do 18 proc. Nadal jest to jednak zdecydowana mniejszość białych Amerykanów. Podczas gdy wypłaty popiera ponad dwie trzecie czarnych. Ci uważają, że biali nie chcą im zadośćuczynić, bo uważają ich za niegodnych, biali tymczasem utrzymują, że rząd nie powinien wypłacać rekompensat czarnym, bo ci od dawna są traktowani na równi i cieszą się tymi samymi prawami. A białych żyjących w ubóstwie, nawet gorszym od czarnych, nie brakuje. Odszkodowania powinny były zostać wypłacone ich zdaniem niewolnikom w chwili abolicji. Teraz byłoby to zupełnie nieuzasadnione. Nie da się naprawić przeszłości i przywrócić czarnej kultury, która była wtedy. Została dawno zaabsorbowana w amerykańskim stylu życia. Nie powstrzyma to zapewne białych postępowców, którzy z czarnoskórych Amerykanów zrobili instrument własnego moralnego wywyższenia. Ani czarnoskórych aktywistów, którzy żyją z wytykania innym rasizmu. „Ten kraj jest winny od chwili swojego założenia, i to nie tylko w sprawie niewolnictwa. Wierzę, że szkody wyrządzone czarnym Amerykanom mają konsekwencje zarówno historyczne, jak i teraźniejsze. Kiedy biali Amerykanie mówią: »Nic nie zrobiłem«, może to być obiektywnie prawdą, ale nie mówi nic o tym, czy skorzystali, czy nie na krzywdzie czarnych, ponieważ skorzystali. A ponieważ odnieśli korzyści, mają moralny obowiązek zadośćuczynić. Odpowiedzią na stulecia szkód i niszczenia życia czarnym powinny być stulecia naprawy" – podkreślił Eric McDonnell, członek komisji ds. reparacji w San Francisco.

REKLAMA



33/0323/F

eprasa.pl 0651f7fe14

Niebezpieczny spekulant

Od lat dyskutuje się w Polsce nad skalą wpływów George'a Sorosa na życie polityczne i społeczne w naszym kraju. Wpływów, które wypaczają demokratyczne funkcjonowanie państwa. Niektórzy mówią wprost o groźbie plutokracji. Ale działalności Sorosa i jego fundacji obawiają się nie tylko Polacy



Na okładce lutowego numeru tygodnika „Panorama", jednego z najbardziej poczytnych włoskich czasopism, pojawiła się fotografia miliardera z podpisem „Soros, wielki starzec. Człowiek, który chce kupić sobie Włochy". Pod spodem kilka zdań, które tłumaczą sedno problemu: „Za pomocą swojej fundacji dostarcza miliony euro partiom, stowarzyszeniom, lobby. Śledztwo w sprawie amerykańskiego multimiliardera, który wywiera wpływ na nasze państwo – od kierowania sprawami emigrantów aż po liberalizację narkotyków. W ten sposób »walka o prawa« idzie w parze z robieniem własnych interesów".

W artykule wstępnym redaktor Maurizio Belpietro zadaje zasadnicze pytanie: „Dlaczego mieszanie się do włoskiej polityki George'a Sorosa, jednego z najbogatszych ludzi Ameryki, jest akceptowane bez zmrużenia oka, uwiarygadniając tezę, iż nie ma w tym nic złego, że zagraniczny magnat daje pieniądze włoskim politykom i stowarzyszeniom?". Czy byłoby to tolerowane, gdyby partie lub politycy byliby finansowani przez rosyjskiego oligarchę, szejka z Kataru, Marka Zuckerberga czy Jeffa Bezosa? – pyta. Na pewno nie.

Ale ci, którzy otrzymują pieniądze od Sorosa, podkreślają, że wszystko jest zgodne z prawem. Jednak Belpietro zastanawia się: „Czy to normalne, że miliarder inwestuje miliony w nieukrywanym celu wpływania na życie polityczne kraju?". Jeden z włoskich polityków, Benedetto Della Vedova, radykał i sekretarz partii +Europa, który otrzymał od Sorosa 312 tys. euro na kampanię wyborczą, twierdzi, że miliarder finansuje siły polityczne, które walczą o jego idee: od imigracji po antyprohibicjonizm i demokrację.

Redaktor „Panoramy" przypomina, że w 1992 r. Włochy obok Wielkiej Brytanii były jedną z ofiar ataku spekulacyjnego Sorosa przeciwko funtowi i lirowi, który zarobił na tej operacji ok. 1 mld dol. Ówczesny premier Giuliano Amato, by zatrzymać atak przeciw krajowej walucie, dokonał dewaluacji lira o 7 proc. i ściągnął z kont bankowych obywateli 0,6 proc. (prawdziwa kradzież dokonana przez państwo) – a wszystko za sprawą bezwzględnych akcji spekulacyjnych Sorosa. „Czy jest dopuszczalne – powtarza pytanie Belpietro – by jakaś partia polityczna dała się finansować przez takiego typa?".

W kolejnych artykułach Francesco Bonazzi i Antonio Rossitto opisują historię spekulanta finansowego przedstawianego przez swoich zwolenników jako filantropa walczącego o społeczeństwo otwarte. Oskarżany o cyniczne operacje, których rezultatem były bankructwa licznych firm, pozbawienie wielu ludzi oszczędności całego życia, a nawet samobójstwa zrozpaczonych osób, wypowiedział słynne zdania: „Spekulanci wykonują swoją robotę, nie można ich za to obwiniać. Winami można raczej obarczyć prawodawców, którzy dopuszczają do tego, że dochodzi do spekulacji. Spekulanci są tylko zwiastunami złych wiadomości".

SPEKULANT ZMIENIA ŚWIAT

To właśnie dzięki spekulacjom giełdowym Soros stał się miliarderem – na liście magazynu „Forbes" jest numerem 363 wśród najbogatszych ludzi na świecie z majątkiem ocenianym na 6,7 mld dol. Dlatego tylko w 2020 r. wydał 1,4 mld dol. na finansowanie osób, partii, fundacji, stowarzyszeń czy instytucji realizujących jego „program dla świata". Dzieje się to przez Open Society Foundations, która od momentu powstania w 1984 r. przeznaczyła gigantyczną sumę 18,1 mld dol., by ingerować w życie organizacji międzynarodowych oraz ok. 120 państw, wpływając w ten sposób na losy świata.

Żeby uzmysłowić skalę interwencji Sorosa w życie polityczne, „Panorama" podaje kilka przykładów. W czasie ostatnich wyborów prezydenckich w USA finansował on

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 0651f7fe14

Partię Demokratyczną sumą 128 mln dol. Fundacja Sorosa wspierała także lewicowego prezydenta Lulę da Silvę. Ale działalność miliardera jest szczególnie intensywna w Brukseli, gdzie jego lobbyści domagają się „więcej Europy" we wszystkich strukturach unijnych. Nie trzeba dodawać, że reprezentanci Open Society Foundations są też aktywni podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos.

Bonazzi szczególnie dużo miejsca poświęca w swojej analizie wpływom spekulanta na włoską politykę i społeczeństwo. Autor podkreśla, że w Italii, a także w innych państwach działalność Fundacji Sorosa dotyczy takich pól działania, jak prawa LGBT+, promowanie imigracji, liberalizacji narkotyków, aborcji, eutanazji oraz walka z wszelkimi siłami „prawicowymi". Od lat miliarder szczególną łaską darzy Partię Radykalną, której libertyński program jest mu bliski. Finansował to ugrupowanie m.in. po to, by promowało reformę prawa na rzecz imigrantów, depenalizacji używania narkotyków czy wprowadzenia eutanazji. W środowisku włoskich radykałów powstała też partia +Europa, która dostała z Fundacji Sorosa 1,5 mln euro na zorganizowanie koalicji „antyfaszystowskiej" w ramach przygotowań do zeszłorocznych wyborów. Z kolei organizacja pozarządowa No Peace Without Justice, założona przez historyczną szefową radykałów Emmę Bonino, w latach 2016–2018 otrzymała 392 tys. dol. (to ta sama organizacja zamieszana w aferę łapówkarską Qatargate, która wstrząsnęła brukselskimi instytucjami).

> Działalność Fundacji Sorosa intensyfikuje się zwłaszcza w okresach przedwyborczych, co świadczy o chęci wpływania na ich wyniki w wielu krajach

IMIGRANCI, LGBT+, MEDIA

Jednym z najważniejszych obszarów działania Open Society Foundations jest wspieranie imigracji i wprowadzanie praw ułatwiających przyjmowanie osób z krajów Trzeciego Świata do Europy. Dla przykładu Instytut Spraw Międzynarodowych, założony przez Altiero Spinellego, a prowadzony przez Ferdinanda Nellego Feroci (byłego komisarza UE) otrzymał 230 tys. dol. za wspieranie „dialogu podmiotów politycznych na temat nowego podejścia do emigracji i azylu".

Fundacja Sorosa finansuje również organizacje i ruchy gejowskie oraz promujące ideologię gender. W latach 2017–2019 przekazała Arcigay oraz Italian LGBT+ Association 150 tys. dol. Z kolei organizacja Cittadini del Mondo (Obywatele Świata), prowadząca w rzymskich szkołach zajęcia na temat płynności seksualnej, dostała 270 tys. dol.

Dziennikarz „Panoramy" podkreśla bardzo aktywne zainteresowanie Open Society Foundations mediami. Jak wynika z opublikowanej niedawno analizy MRC Business, Soros ma ścisłe związki z niektórymi najbardziej wpływowymi dziennikarzami Stanów Zjednoczonych i finansuje amerykańskie media. W latach 2016–2020 przekazał 253 wydawcom aż 131 mln dol. W analizie czytamy, że ta sieć powiązań pozwala Sorosowi wywierać znaczny wpływ na argumentację: co podejmować, jak komentować, a co przemilczać. Bonazzi zauważa też, że działalność Fundacji Sorosa intensyfikuje się zwłaszcza w okresach przedwyborczych, co świadczy o chęci wpływania na ich wyniki w wielu krajach.

NAGINANIE ŁUKU

Soros wyznał kiedyś: „Łuk historii nie wygina się własnym torem. Trzeba go naciągać. Jestem naprawdę zaangażowany w próbę nagięcia go we właściwym kierunku". I miliarder próbuje wszelkimi środkami naginać „łuk historii", by – jak deklaruje Open Society Foundations – „budować demokracje żywe i inkluzywne".

Co jest jednak demokratycznego – pyta redaktor „Panoramy" – w finansowaniu parlamentarzystów, partii, organizacji pozarządowych i dziennikarzy w celu wpływania i kontrolowania życia politycznego kraju? A Soros robi to już od ponad 30 lat. W tym czasie wydał dziesiątki miliardów dolarów na swoje batalie – toczone nie tylko we Włoszech, lecz także w Polsce. I robi to dalej. Czy bogatym wszystko wolno?

Włodzimierz Rędzioch

REKLAMA



61/0223/F

eprasa.pl 0651f7fe14



Niezwykła misja komandora na Bliskim Wschodzie

Trzeba udzielać pomocy potrzebującym ludziom tak, żeby nie odzierać ich z godności – mówi założyciel i prezes Fundacji Orla Straż, ***kmdr ppor. Bartosz Rutkowski*** w rozmowie z Grzegorzem Górnym

Jak się zaczęła twoja przygoda z Fundacją Orla Straż?

Bartosz Rutkowski: Był 7 października 2015 r. Gdybyś mi dzień wcześniej powiedział, co wtedy postanowię i jak zmieni to moje życie, tobym cię odesłał do psychiatry. Służyłem w armii jako szef Ośrodka Szkolenia Nurków i Płetwonurków Wojska Polskiego w Gdyni. Miałem taki zwyczaj, że przychodziłem do pracy 15 minut wcześniej, by sprawdzić w internecie, co się dzieje na świecie. O godz. 7.14 rano na Wirtualnej Polsce pojawił się artykuł o 12-letnim chłopcu ukrzyżowanym żywcem w Syrii przez ISIS. Jego ojciec był pastorem protestanckim, który zainicjował budowę dziewięciu kościołów. Mój starszy syn miał wtedy 12 lat – tyle samo co ten zamordowany chłopiec. Pomyślałem: „Czy gdyby to przydarzyło się Antkowi, to chciałbym, żeby wszyscy udawali, że nic się nie stało?". Pamiętam tę scenę, jakby zdarzyła się dziś: stanąłem na środku kancelarii i zapytałem sam siebie, czy jestem w stanie zrobić coś, żeby taka historia nie powtórzyła się przynajmniej w przypadku jednego choćby tylko dziecka na świecie. To było jak stanięcie w prawdzie. Powiedziałem sobie, że mam pewną niezależność finansową, znam język angielski, moją specjalnością w szkole wojskowej były zwiad i rozpoznanie. Pewnie byłbym więc w stanie uratować choć jedno dziecko.

Co było dalej?

Usiadłem i w ciągu 15 minut wypisałem na kartce całą listę rzeczy, które powinienem z sobą wziąć. Miałem do wyboru dwa kraje, w których działa ISIS: Syrię i Irak. Syria odmówiła mi wjazdu, bo jestem emerytowanym oficerem NATO, a więc automatycznie jestem traktowany jako szpieg. Został więc Irak. 9 października rano, dwa dni po przeczytaniu artykułu na Wirtualnej Polsce, złożyłem wypowiedzenie stosunku służbowego w trybie przyspieszonym i po 22 latach służby w wojsku przeszedłem na emeryturę. Wieczorem tego samego dnia miałem rozmowę z żoną. Powiedziałem jej, że zrzucam mundur i zaczynam nowy

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0651f7fe14

etap w życiu. Odpowiedziała, że to dobrze, tym bardziej jeśli mam jakiś pomysł na swoje dalsze życie. Kiedy powiedziałem jej, że chcę pojechać do Iraku, by pomagać tam ofiarom ISIS, to ze zdziwienia aż usiadła. Wyjaśniłem, że chcę pojechać, by na własne oczy się przekonać, jak tam jest i jak pomagać. Na podróż przeznaczyłem dużą część mojej odprawy. Zapytała: „A co się stanie, gdy pojedziesz i na miejscu okaże się, że wszystko funkcjonuje tam wspaniale i twoja pomoc nie jest potrzebna?". Odpowiedziałem: „Wtedy będę czytał chorym dzieciom bajki w hospicjum". Widziała, że jestem zdeterminowany, więc się zgodziła.

Kiedy pojechałeś do Iraku?

Sześć dni po przejściu na emeryturę. To był luty 2016 r. Szczyt potęgi Państwa Islamskiego. Od tamtego czasu byłem tam kilkanaście razy. Wtedy trafiłem do północnego Kurdystanu, do jezydów, którzy skontaktowali mnie z chrześcijanami. Po trzech dniach pobytu wśród nich wiedziałem, że obawy mojej żony były nieuzasadnione – nic tam nie funkcjonowało, a pomoc była potrzebna. Pamiętam, że po rozmowie z młodą dziewczyną, która była wykorzystywana seksualnie w niewoli przez 14 miesięcy i miała w tym czasie pięciu właścicieli, terrorystów z ISIS, wyszedłem na zewnątrz i z wściekłości zacząłem wymiotować żółcią. Mój jezydzki tłumacz, gdy to zobaczył, powiedział: „Nadajesz się, bo nie płaczesz". Po tej rozmowie całą noc nie mogłem zasnąć, wpatrywałem się w ciemność, miałem w głowie gonitwę myśli i zastanawiałem się, jak mogę im pomóc.

Wtedy postanowiłeś założyć fundację?

Na początku nie chciałem zakładać żadnej fundacji, tylko być wolontariuszem w jakiejś już istniejącej. Okazywało się jednak, że te, z którymi rozmawiałem, owszem, pomagały, ale nie tak, jak oczekiwali tego ludzie tam na miejscu. Często wymyśla się jakieś pomysły, siedząc sobie za biurkiem tysiące kilometrów od miejsca, gdzie ma trafić pomoc, nie znając przy tym lokalnych realiów. W efekcie wydaje się wielkie pieniądze, które często są zmarnowane.



Fot. Fundacja Orła Straż

Jakieś przykłady?

Zetknąłem się z przypadkiem, gdy w dzikim obozie dla uchodźców organizowano kursy komputerowe, by zapobiec wykluczeniu cyfrowemu. Ludzie nie mieli tam prądu, wody czy jedzenia, a uczono ich, jak zakładać strony internetowe. Albo inna historia: odwiedziłem rodzinę, której dostarczano leki na hemofilię. Zobaczyłem zestaw takich leków w reklamówce wiszącej na sznurze w namiocie przy 40-stopniowym upale. Okazało się, że wartość takiego pakunku wynosiła 14 tys. zł. Te leki zawierały osocze i musiały być przechowywane w lodówce. Ta rodzina nie miała jednak lodówki, ale nikt się tym nawet nie zainteresował. Dostarczano im więc leki, które natychmiast się psuły, ale nikogo to nie obchodziło. Dopiero myśmy za 160 dol. kupili im lodówkę, ale nikt na to wcześniej nie wpadł, a raczej nikogo to nie interesowało. Albo inny przykład: zgłasza się wolontariuszka, która chce jechać do Iraku, by pracować jako przedszkolanka. Takiej kobiecie trzeba jednak zapewnić tłumacza, bezpieczeństwo, wyżywienie, noclegi, przejazdy. Za te same pieniądze można zatrudnić wiele osób tam na miejscu.

Dlatego założyłeś fundację, która kieruje się inną logiką?

Moja filozofia jest taka, że trzeba pojechać na miejsce, pogadać z tymi ludźmi, wypić z nimi kawę, przespać się u nich na klepisku i dopiero wtedy uradzić, jak można im pomóc. Pomagając im, tak naprawdę mamy tylko jedną walutę – czas. Bo pieniądze są tylko pochodną czasu. Trzeba mieć czas dla nich. Nie można ich też poniżać. Trzeba udzielać pomocy tym ludziom tak, żeby nie odzierać ich z godności. Pamiętam, jak w obozie dla uchodźców pewien dziennikarz wszedł do namiotu, gdzie rodzina jadła posiłek i bez pytania zaczął robić jej zdjęcia. Nie rozumiał mojego wzburzenia jego zachowaniem. Tłumaczył mi, że przecież służy tym ludziom swoim talentem. Powiedziałem mu: „Wyobraź sobie, że siedzisz sobie z rodziną w domu, jecie niedzielny obiad, a tu nagle ktoś z kopa otwiera drzwi i robi wam zdjęcia bez pytania. Jakbyś się wtedy czuł?".

Docieracie do ludzi, którzy byli celem ataków ISIS... I co dalej?

Celem ISIS nigdy nie jest pojedyncza osoba. Celem terrorystów jest rodzina, którą trzeba przykładnie ukarać. Porywają więc dzieci, mordują ojców jako głównych żywicieli, niszczą cały dobytek. Taka rodzina wegetuje, stanowiąc dla innych przykład, co się może stać, gdy stawiasz opór. To sposób na zastraszenie innych. My z kolei chcemy dotrzeć do tych ludzi i przywrócić ich do takiego życia, jakie mieli przed atakiem. Oczywiście nie przywrócimy życia zabitym, ale możemy np. odbudować

eprasa.pl 0651f7fe14

im domy. Wznieśliśmy np. dla takich rodzin 70 murowanych domów o powierzchni 42 m². Odbudowaliśmy 125 zniszczonych warsztatów pracy. Jeśli ktoś przez 20 lat był spawaczem czy ślusarzem i zniszczono mu miejsce i narzędzia pracy, to należy je odbudować. Kupujemy też pasterzom zwierzęta hodowlane, które terroryści porwali lub zabili. Chodzi o to, żeby pomóc tym ludziom stanąć na własnych nogach. Inaczej skazujesz ich na los Palestyńczyków, którzy rodzą się i umierają w obozach dla uchodźców bez nadziei na poprawę losu. I rzeczywiście w tej chwili w Iraku do szkół idą już dzieci, które urodziły się w obozach i innej rzeczywistości nie znają.



Fot. Fundacja Orła Straż

Jakimi zasadami kieruje się więc Orla Straż?

Mamy cztery podstawowe zasady. Po pierwsze: minimum 90 proc. zebranych przez nas środków trafia do potrzebujących. Nasze koszty obsługi nie mogą przekroczyć 10 proc. Po drugie: wszystkie projekty realizujemy na miejscu, gdzie potrzebna jest pomoc, a nie w Polsce. Po trzecie: wszystko koordynujemy z tymi, którzy tej pomocy potrzebują. Po czwarte: nie przywozimy tam żadnych rzeczy z Polski. Tak zabito przemysł tekstylny w Afryce Północnej – zarzucono tamtejszych mieszkańców darmową odzieżą, doprowadzając małe szwalnie do bankructwa. Wszystko staramy się robić w oparciu o ludzi na miejscu. Jeśli odbudowujemy domy, to korzystając z tamtejszych materiałów i przy pomocy tamtejszych uchodźców. Naszym celem jest to, by realnie zmienić życie tych ludzi.

Skąd bierzecie pieniądze na działalność?

Z tego, co dadzą nam ludzie. Czasami są to hojni biznesmeni, czasami jakieś firmy. Żebrzemy też po kościołach. W ciągu roku mamy ok. 40–50 wizyt w różnych kościołach w Polsce, gdzie po mszy opowiadamy o tym, co robimy, a potem zbieramy pieniądze do puszki.

> Moja filozofia jest taka, że trzeba pojechać na miejsce, pogadać z tymi ludźmi, wypić z nimi kawę, przespać się u nich na klepisku i dopiero wtedy uradzić, jak można im pomóc. Pomagając im, tak naprawdę mamy tylko jedną walutę – czas. Bo pieniądze są tylko pochodną czasu

W ilu krajach pomagacie?

W Iraku, Egipcie, Libii, Jordanii. Niedawno wróciłem z północnej Nigerii, gdzie chrześcijańskie wioski są napadane przez terrorystów z Boko Haram lub muzułmańskich bojowników z plemienia Fulani. Byłem we wsi, gdzie w ciągu jednej nocy zamordowano 138 osób.

Chcecie pomóc tym, którzy ocaleli?

To nie jest takie proste. Nienawidzę składania pustych obietnic. To jest straszne – przejeżdżasz do osoby, która jest w dramatycznej sytuacji, obiecujesz jej pomoc i nie dotrzymujesz słowa. Dlatego najpierw muszę na miejscu poznać ich potrzeby i po powrocie zorientować się, czy i jak mogę im pomóc. Dlatego nie chcę nic gwarantować w ciemno. Bywało tak, że mieliśmy trudną sytuację finansową i nikt z naszych pracowników nie dostawał żadnych pieniędzy, ale środki dla potrzebujących, które im obiecaliśmy, musiały do nich popłynąć. Polacy są niezwykle hojni, ale w tej chwili większość pomocy kierowana jest na Ukrainę. Nasza fundacja – żeby było jasne – też jest obecna na Ukrainie.

Czy nowa faza wojny na Ukrainie coś zmieniła, jeśli chodzi o pomoc dla innych?

Agresja Rosji na Ukrainę zastała mnie wśród jezydów w Iraku. Gdy się oni dowiedzieli o tym ataku, powiedzieli mi: „Teraz to się skończy nawet ta niewielka pomoc, jaka do nas dociera". Dziś na świecie toczy się ok. 30 konfliktów zbrojnych, które spełniają definicję regularnej wojny. My jednak mówimy tylko o jednej. Według oficjalnych danych do końca ub.r. Rosjanie zabili 440 ukraińskich dzieci. To straszne. I dobrze, że o tym się mówi. Że świat o tym słyszy. Mało kto jednak wie, że jezydom wymordowano więcej dzieci w ciągu zaledwie dwóch dni. A mówimy o społeczności, która liczy zaledwie 250 tys. ludzi. Oczywiście wszystkim nie pomożemy, ale robimy wszystko, by pomóc tym, którym możemy.

eprasa.pl 0651f7fe14



Oscary, czyli wszystko wszędzie naraz

„Dzisiejszego wieczoru szklany sufit wreszcie pękł” – podkreślała, odbierając jedną z siedmiu statuetek przyznanych twórcom filmu „Wszystko wszędzie naraz”. Michelle Yeoh to pierwsza Azjatka nagrodzona Oscarem za główną rolę

Fot. MediaPunch/BACKGRID/EastNews

eprasa.pl 0651f7fe14



Kadr z filmu „Wszystko wszędzie naraz”



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

„Dziękuję Akademii, że doceniła różnorodność. To historyczny moment” – komentowała werdykt, który uchylił drzwi do najważniejszej filmowej nagrody kolejnej (po Afroamerykanach) populacji i zmniejszył ograniczenia także ze względu na wiek.

Ubrana w zwiewną białą kreację 61-latka mówiła ze sceny Dolby Theatre, w którym odbywała się 95. już gala Oscarów: „Dla wszystkich małych chłopców i dziewczynek, którzy wyglądają jak ja, to promień nadziei. Dowód, że wielkie marzenia naprawdę się spełniają”. I dodawała: „Drogie panie, nie pozwólcie, by ktoś wam powiedział, że macie za sobą najlepsze lata”.

CZTERY DEKADY DO OSCARA

Odkąd postanowiła zostać aktorką, była m.in. dziewczyną Bonda, dała się zapamiętać w takich filmach jak „Przyczajony tygrys, ukryty smok”, „Wyznania gejszy” czy „Bajecznie bogaci Azjaci”. Jej koledzy z kolejnych planów podkreślali, że jest nie tylko niezwykle sprawną fizycznie, ale przede wszystkim znakomitą aktorką. Mijały jednak lata, a ona grała głównie w drugim planie.

Z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć, że zbierała doświadczenia, by eksplodować nimi w produkcji, w której zgodnie z tytułem dzieje się wszystko wszędzie naraz. Filmie oszałamiającym tempem zmian, wybuchającym kolejnymi czasoprzestrzeniami, w które trafia zdezorientowana bohaterka. Zwykła kobieta, przytłoczona codziennością właścicielka pralni, z impetem wciągnięta w równoległe światy, by... uporządkować zagrożone multiwersum.

Funkcjonując w wielorakich wcieleniach i stając przed mnóstwem zadań, filmowa Evelyn Wang – podobnie jak Michelle Yeoh – odkrywa przed widzami mistrzowskie spektrum swoich umiejętności i możliwości. „W końcu przygotowywałam się do tej roli 40 lat” – komentowała aktorka w jednym z wywiadów.

Szansa przyszła tuż przed 60. urodzinami wraz z zaproszeniem od duetu Daniels, czyli Dana Kwana i Daniela Scheinerta, dziś szczęśliwych właścicieli Oscarów w trzech kategoriach: za najlepszy film (nagrodzeni jako współproducenci), oryginalny scenariusz oraz reżyserię. Yeoh wspomina: „Gdy przeczytałam scenariusz, pomyślałam, że są albo szaleni, albo w tej pokręconej historii naprawdę coś jest!”. Postawiła na drugą opcję i zaryzykowała. Także dlatego, że zaproponowano jej główną rolę, a nawet wiele głównych ról równocześnie. Poza tym i wcześniej podejmowała zdecydowane – i często niełatwe – decyzje.

TANIEC I WALKA

Urodziła się w Malezji – jako Yeoh Choo-Kheng. W 1983 r. została miss tego kraju. To był początek jej kariery.

Fot. BestFilm

eprasa.pl 0651f7fe14

Od czwartego roku życia trenowała balet. Gdy kontuzja pokrzyżowała jej taneczne plany, umiała wykorzystać wyćwiczone ciało i rygor wcześniejszej edukacji w innej dziedzinie.

Z pewnością wiele zawdzięcza sobie, ale niemały wkład w jej rozwój mieli też rodzice – matka prawniczka i ojciec polityk. Gdy skończyła 15 lat, wysłali ją do prestiżowej szkoły dla dziewcząt w Wielkiej Brytanii. Później studiowała w Royal Academy of Dance w Londynie. Po kontuzji zmieniła kierunek i obroniła licencjat z choreografii oraz sztuk kreatywnych, po czym wróciła w 1982 r. do Azji, by dowiedzieć się, że matka zgłosiła ją do konkursu Miss Malezji. Wygrała go.

Pierwszy „filmowy" angaż otrzymała w Honkongu. Była to reklama z udziałem gwiazdora kina akcji Jackiego Chana. Na planie poznała producenta Dicksona Poona, swojego przyszłego męża i promotora, który potrafił dostrzec, jak umiejętności taneczne i ruchowe mogą uatrakcyjnić sceny sztuk walki. Yeoh szlifowała swoje układy do perfekcji, podejmując się też coraz bardziej ryzykownych i zarazem widowiskowych numerów, takich m.in. jak jazda motorem po pędzącym pociągu.

JUTRO NIGDY NIE UMIERA

Znakomicie oceniana w kinie akcji – wtedy jeszcze jako Michelle Kheng – zdecydowała się porzucić aktorstwo dla roli żony, a z czasem matki. Kiedy okazało się, że nie może mieć dzieci, jej małżeństwo się rozpadło. Po rozwodzie podjęła kolejny trudny krok – wyjechała do Hollywood.

W 1996 r. – podczas wykonywania skoku z wysokiego na niemal sześć metrów mostu na dach jadącej ciężarówki – uszkodziła kręgosłup. Ponoć z przygnębienia w czasie rekonwalescencji wyciągnął ją Quentin Tarantino. Wzięła się w garść i... wygrała casting na dziewczynę Bonda w filmie o motywującym tytule: „Jutro nie umiera nigdy" (1997). Wystąpiła w nim już jako Michelle Yeoh. Pierce Brosnan, ponoć zachwycony jej urodą, podkreślał też: „Michelle to wręcz damski Bond. W sztukach walki naprawdę nie ma sobie równych".

Niestety, mimo sukcesu filmu Yeoh przez kolejne dwa lata po premierze nie dostała żadnej propozycji. Wspomina, że na początku drogi w Hollywood wszyscy podkreślali, że musi się pogodzić z tym, że jej pochodzenie jest też jej ograniczeniem. Nie do końca godząc się na taką opcję, zamiast szukać ról kolejnych „Chinek w tle" w podrzędnych amerykańskich produkcjach, postawiła na azjatyckie kino klasy premium. Tak trafiła do obsady „Przyczajonego tygrysa, ukrytego smoka" (2000). Mandaryńskich kwestii nauczyła się fonetycznie na pamięć.

NA WZNOSZĄCEJ FALI

Film Anga Lee zarobił ponad 100 mln dol. i zdobył cztery Oscary. „Ale nie doceniono żadnego z aktorów – żaliła się Yeoh w jednym z wywiadów. – Zaczęłam się zastanawiać: czy my, Azjaci, jesteśmy niewidzialni?".Dziś można powiedzieć, że dzięki niej ta przezroczystość została właśnie zlikwidowana. Nim jednak zdobyła statuetkę złotego rycerza, zapracowała na pozycję znakomicie przygotowanej aktorki m.in. w „Wyznaniach gejszy" (2005). W 2008 r. weszła na plan kontynuacji słynnej „Mumii", dołączając m.in. do Brendana Frasera, który na tegorocznej oscarowej gali odebrał statuetkę za kreację w filmie „Wieloryb" (nagrodzonym też za charakteryzację).

Rok 2011 przyniósł Michelle Yeoh pierwszą propozycję głównej roli – birmańskiej opozycjonistki Aung San Suu Kyi w obrazie „Lady" Luca Bessona, a po światowej premierze... oficjalny zakaz pobytu w Birmie.

Prawdziwie hollywoodzką aktorką (w myśl zasady „o twojej pozycji świadczy finansowy wynik ostatniego filmu, w którym zagrałeś") Yeoh stała się całkiem niedawno za sprawą dwóch kinowych hitów: „Bajecznie bogatych Azjatów" (2018) oraz „Last Christmas" (2019). Jeszcze przed Oscarami szum wokół „Wszystko wszędzie naraz" pozwolił jej dołączyć m.in. do ekipy trzeciej, czwartej i piątej części „Avatara".

WIDZIALNI AZJACI

W produkcji duetu Daniels poza wspomnianymi wcześniej kategoriami Amerykańska Akademia Sztuki i Wiedzy Filmowej doceniła też montaż oraz dwie aktorskie kreacje drugiego planu. Pierwsze w karierze Oscary trafiły do hollywoodzkiej gwiazdy Jamie Lee Curtis oraz Ke Huy Quana, znanego z „Indiany Jonesa i Świątyni Zagłady".

I tak, jak Yeoh, zdobywając Oscara jako pierwsza Azjatka, stała się kolejną aktorką przebijającą szklany hollywoodzki sufit (w 2002 r. po raz pierwszy nagrodzono ciemnoskórą aktorkę Halle Berry), tak Ke Huy Quan, dziękując Akademii, podkreślał znaczenie przyznanego mu Oscara dla azjatyckiej mniejszości w Hollywood.

„Moja podróż do tego kraju zaczęła się na łodzi, spędziłem rok w obozie dla uchodźców i jakimś cudem dotarłem tutaj, na największą scenę Hollywood. Mówią, że takie historie dzieją się tylko w kinie. Nie mogę uwierzyć, że to mi się przydarzyło, ale to jest właśnie amerykański sen! Pamiętajcie, żeby wierzyć w swoje marzenia!" – mówił wietnamski aktor, który przez ostatnie dwie dekady nie mógł znaleźć pracy w zawodzie.

PROGNOZY I ZASKOCZENIA

Podążając tropem otwierania się Hollywood na nowe, a przynajmniej próby przekonania globalnej widowni, że tak się dzieje, można zwrócić uwagę na to, że kostiumografka Ruth Carter została pierwszą czarnoskórą kobietą z dwoma Oscarami (w 2019 r. za „Czarną panterę", a teraz za jej kontynuację). Wyróżniono dwie produkcje z Indii: krótkometrażowy dokument „Zaklinacze słoni" oraz piosenkę „Naatu Naatu".

Zgodnie z prognozami w kategorii film nieanglojęzyczny (pokonując „Io" Jerzego Skolimowskiego) zwyciężyło „Na zachodzie bez zmian", nagrodzone też za zdjęcia, scenografię i muzykę. Za najlepszy dokument uznano „Nawalnego". Ze sceny popłynęły głosy przeciwko rosyjskiemu reżimowi, ale jak w ub.r. Akademia nie dała głosu Wołodymyrowi Zełenskiemu.

Zaskoczeniem było, że żadnej statuetki nie zdobyli, nominowani w kilku kategoriach faworyci, „Fabelmanowie", „Elvis", „Tár" i „Duchy Inisherin". Główny aktor tej ostatniej produkcji, Colin Farrell, przyciągał uwagę mediów, prezentując z dumą – na „szampańskim" w tym roku, a nie czerwonym dywanie – syna ze związku z Alicją Bachledą-Curuś, 13-letniego Henry'ego Tadeusza.

Jednak najmocniej na 95. gali Oscarów świeciła bezsprzecznie Michelle Yeoh, uznana też za jedną z najlepiej ubranych gwiazd nie tylko tej ceremonii.

eprasa.pl 0651f7fe14

Na Zachodzie bez zmian. Na Wschodzie również

W kinach i na platformach streamingowych możemy wciąż oglądać film pt. „Na zachodzie bez zmian" w reżyserii Edwarda Bergera. Jest to trzecia adaptacja słynnej powieści Ericha Marii Remarque'a z 1928 r. Poprzednie dwie – anglojęzyczne – z 1930 i 1979 r. cieszyły się nie mniejszą popularnością niż obecna, nagrodzona Oscarami w czterech kategoriach. Tym razem stykamy się z głównymi bohaterami mówiącymi w swoim ojczystym języku



Film opowiada historię grupy młodych Niemców, którzy podczas I wojny światowej zaciągają się do wojska, kierowani zapałem i naiwnym patriotyzmem. Trafiają wprost w przerażającą codzienność wojny pozycyjnej, w krainę cierpienia, ran i śmierci, natarć i odwrotów, błota i gazów bojowych, szczurów i trupów. Zostają brutalnie pozbawieni swojej niewinności, zmuszeni do bezwzględnego zabijania.

Dzieło Bergera nie jest wierną ekranizacją powieści. Niektóre wątki są zmodyfikowane, innych nie ma w filmie w ogóle. Brakuje m.in. bardzo ważnego fragmentu wizyty głównego bohatera w domu podczas urlopu. Mimo trudnej do wyobrażenia tęsknoty za bliskimi zupełnie nie potrafi się odnaleźć w bezpośrednim kontakcie z nimi. Doświadcza ogarniającej jego wnętrze pustki, niedającej się niczym wypełnić. Mamy też dodane sceny, których w powieści nie ma. Widzimy np. archetypicznego wręcz pruskiego generała, który nie może pogodzić się z przegraną i na godziny przed wejściem w życie rozejmu 11 listopada 1918 r. posyła żołnierzy do jeszcze jednego natarcia, jeszcze jednej masakry. To czytelna aluzja do dowodzącego niemiecką Kaiserliche Marine adm. Reinharda Scheera, który w obliczu klęski posłał swoją flotę do uderzenia na Scapa Flow – główną bazę brytyjskiej Royal Navy. Okręty wyszły na redy baz w Wilhelmshaven i Kilonii w nocy z 29 na 30 października 1918 r. Niemieccy marynarze jednak odmówili udziału w tej samobójczej misji i zagrozili otwartym buntem. Okręty cesarza powróciły do nabrzeży, z kolei w filmie atak piechurów został przeprowadzony do końca.

Twórca filmu przez 2,5 godziny seansu przekonuje nas, że wojna jest straszna, epatując jej okropieństwami. Wyważa otwarte drzwi, bo przecież to wiemy. Tymczasem w powieści głównym wątkiem jest proces pustoszenia wnętrza człowieka uczestniczącego w ludobójczych walkach, destrukcji kolejnych warstw jego wrażliwości i kultury, pozostawiającej tylko wolę przeżycia zamiast woli zwycięstwa. Jak pisze Remarque już w pierwszych słowach – książka „stanowi tylko próbę opowiedzenia o pokoleniu, które zniszczyła wojna – nawet jeśli nie dosięgły go jej granaty". Jest zatem o tych, którzy ocaleli, ale żyli później w traumie kulturowej z zupełnym rozpadem dotychczasowego systemu wartości.

Roman Dmowski w publikacji z 1931 r. pt. „Świat powojenny i Polska" opisał to tak: „Jedną z najfatalniejszych strat moralnych, jakie poniosła nasza cywilizacja, jest powszechny w pokoleniach powojennych brak wiary w wielkie sprawy, przywiązania do wielkich idei, zdolności do wielkiego wysiłku i poświęcenia w ogóle, a zwłaszcza dla celów nieosobistych. Szlachetni fanatycy wymarli lub ostatni wymierają. Ten stan moralny niewątpliwie zawdzięcza Europa w ogromnej mierze długoletniej wojnie oraz sposobowi, w jaki ta wojna była prowadzona".

Fot. Netflix

eprasa.pl 0651f7fe14





Jednym z pierwszych następstw globalnego konfliktu sprzed 100 lat był powszechny szok i przerażenie poniesionymi stratami ludzkimi. Okazało się, że poległo lub zmarło z ran od 8,4 do 11,8 mln żołnierzy oraz od 5 do 7 mln cywilów. Ok. 20 mln żołnierzy odniosło rany. Były we Francji, w Niemczech i Wielkiej Brytanii całe regiony, gdzie z wojny nie powrócił nikt. W Wielkiej Brytanii doliczono się jedynie 40 wsi, do których wrócili wszyscy mężczyźni wysłani na front. Nazwano je „wsiami szczęśliwymi". W dodatku wojna szeroko otworzyła drzwi przed pandemią grypy zwanej hiszpanką. Szacunki co do jej śmiertelnych ofiar wahają się od 20 do 100 mln.

Jak to ujął Anglik sir George Milne (szef Imperialnego Sztabu Generalnego w latach 1926–1933): „Prowadząc wojnę w przyszłości, nie możemy stawiać na zasoby ludzkie, jak uczyniliśmy podczas ostatniej wielkiej wojny, gdyż żaden naród w ciągu całego stulecia nie byłby w stanie nadrobić strat, na które moglibyśmy się znów narazić".

Wielka wojna oczywiście nie była pierwszą w historii Europy, ale nigdy wcześniej poniesione straty nie bolały tak bardzo. Europa przełomu XIX i XX w. żyła w błogim przekonaniu, że jest pępkiem świata, że zamieszkujące ją cywilizowane narody nie będą sobie już robić krzywdy, a okrutne wojny, o których donosiły gazety, są udziałem ludzi niższego rodzaju, żyjących „gdzieś tam". Widoczny gołym okiem rozwój naukowy i techniczny miał przynosić stały postęp i poprawę warunków życia. Wydawało się oczywiste, że każde następne pokolenie będzie żyło lepiej niż poprzednie w trwającej nieustannie belle époque. Powojenny szok był zatem tym większy, że te gigantyczne straty dotknęły właśnie cywilizowanych Europejczyków, użytych jako mięso armatnie.

I wojna światowa, zwana przed 1939 r. wielką wojną, przeorała społeczeństwa Europy jak żadna przedtem. Zmiany, które spowodowała, dotyczyły wszystkich bez wyjątku dziedzin życia i stanowiły prawdziwy koniec XIX w. W krajach Europy Środkowej pamięć o koszmarze tej wojny, bezmiarze śmierci i cierpienia, które przyniosła, została przykryta słodkim kremem euforii z odzyskanej (lub uzyskanej) niepodległości. W Europie Zachodniej jest pamiętana jako koniec wielkości Starego Kontynentu, jako jego samobójstwo. Dzień pamięci o poległych żołnierzach we wszystkich konfliktach jest tam obchodzony właśnie w rocznicę zakończenia walk I wojny światowej, czyli 11 listopada. W Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Australii i Nowej Zelandii to Remembrance Day, we Francji i Belgii – Jour du Souvenir. Wyrazem pamięci jest noszenie w tym dniu sztucznych maków przypiętych do ubrania i dwuminutowa cisza o godz. 11.00. Oficjalne delegacje składają wieńce przy Grobie Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu i przy cenotafach w krajach brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

> „Jedną z najfatalniejszych strat moralnych, jakie poniosła nasza cywilizacja, jest powszechny w pokoleniach powojennych brak wiary w wielkie sprawy, przywiązania do wielkich idei, zdolności do wielkiego wysiłku i poświęcenia w ogóle, a zwłaszcza dla celów nieosobistych" – pisał Roman Dmowski

Kiedy w marcu 2008 r. zmarł Lazare Ponticelli, ostatni francuski weteran I wojny światowej, stało się to główną wiadomością we wszystkich mediach nad Sekwaną. W ostatnią drogę odprowadzał go prezydent Nicolas Sarkozy, premier François Fillon z ministrami, członkowie rodziny i kombatanci. Na wszystkich urzędach państwowych flagi opuszczono do połowy masztu. Rok później odszedł Harry Patch, brytyjski odpowiednik Ponticellego. W ceremonii pogrzebowej wzięły udział tysiące ludzi, była też transmitowana przez radio i telewizję. Zachód o wielkiej wojnie pamięta, gorzej, że jest to pamięć w typie stresu pourazowego.

Pokolenie, o którym pisał Remarque, czuło się zdradzone. „Nie tak to sobie wyobrażałem" – powtarza w filmie przerażony rekrut. Ideały, w których imię tamto pokolenie poszło walczyć w 1914 r., takie jak ojczyzna, naród, patriotyzm, okazały się pustymi frazesami i niestety takimi frazesami pozostały do dzisiaj. Czyli „Na Zachodzie bez zmian". Na Wschodzie również bez zmian – Ukraińcy dla wspomnianych ideałów walczą i giną. Dla Polaków również to nie są frazesy. Takie oto pęknięcie mamy na linii Odry.

Artur Kolęda

Autor jest historykiem i publicystą, pracownikiem Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej

eprasa.pl 0651f7fe14

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Stippa zaprasza na Musseta. Teatr robiony z radością

Kiedy prawie rok temu zobaczyłem spektakl Teatru Telewizji „Matka odchodzi", poczułem, jakbym złapał Pana Boga za nogi. Ten montaż poezji i prozy Tadeusza Różewicza, a także jego wiejskiej mamy, poruszał sprawy fundamentalne: więź rodzicielsko-synowską, surowość życia na dawnej wsi, chorobę i nadchodzącą śmierć. Pozostało jedno: zakrzyknąć, że rodzi się na naszych oczach reżyserski talent. Mowa o Przemysławie Stippie, dotychczas znanym ze znakomitych ról aktorskich.

Zawsze powtarzam, że aktorzy bywają najlepszymi reżyserami, bo empatię mają we krwi. Ileż Stippa wycisnął z tamtego zbioru tekstów. Jak harmonijnie połączył piękno słów ze smakiem obrazu i dźwięku. Teraz zaś powrócił z nową ofertą. Próbując sił w zupełnie innym teatralnym gatunku.

„Barwy uczuć" to znów nie jeden tekst dramatu, lecz rodzaj kolażu złożonego z kilku elementów. Scenariusz został oparty na dwóch jednoaktówkach XIX-wiecznego dramatopisarza Alfreda de Musseta – „Kaprys" i „Drzwi muszą być albo otwarte albo zamknięte" inkrustowanych kawałkami wziętymi z „Maksym i rozważań moralnych" François de La Rochefoucaulda, wydanych o wiele wcześniej, bo w 1664 r.

Przeplatają się dwie historie. Zaniedbujący swoją żonę arystokrata zostaje poddany swoistej próbie przez jej przyjaciółkę. On nie dba o uczucia innych, co się jednak stanie, kiedy sam zostanie popchnięty do zazdrości? I mamy cokolwiek absurdalne dialogi dojrzałej pary, która nie potrafi sobie wyznać miłości. Właśnie miłość staje się tworzywem piętrowych łamigłówek i podchodów.

Spektakl Stippy jest kolejnym wystawionym na żywo – po „Apollu z Bellac" Jeana Giraudoux, który pokazała pół roku temu w Teatrze Telewizji Anna Wieczur. Aktorzy grają jednym ciągiem, bezpośrednio do kamery, bez późniejszego montowania. To samo robią każdego wieczoru w teatrze. Tyle że tu każdą ich wpadkę może wychwycić największa widownia. Tak się grało telewizyjny teatr w dawnych czasach. Był już nawet spektakl „Barwy uczuć" według tekstów Musseta. Niestety, nie zachował się. TVP chce tę tradycję wznowić.

Współczesne „Barwy uczuć" są powrotem do świata, w którym o uczuciach mówiło się z poetycką elegancją. Gdzie stawały się one tematem dialogów potoczystych, miejscami paradoksalnych. Stippa świetnie klei ze słów swoiste mozaiki. Ojczyzną tych paradoksów zawsze była Francja. Nie oznacza to idylli pełnego szczęścia. Choć reżyser aranżuje happy end obu przypowiastek, uważny widz wyczuje za tą euforią odrobinę goryczy. No bo czy związek starszej pary naprawdę się uda? I czy zagoniony do własnej żony hrabia stanie się kimś, kto pokocha kogoś poza samym sobą?

Przyznam szczerze, że bliżej mi do obrazu świata ze wspominek Różewicza o matce niż tego z Musseta. Jan Englert nazywa takie widowiska ciastkami z kremem, ale odkryjemy w nich także salonową powierzchowność. Warto jednak podkreślić perfekcyjną robotę teatralną. Robert Majewski i Aleksandra Justa jako przekomarzający się „dorośli" byli wyborni. Marcin Korcz (Hrabia), Anna Zachciał (jego żona Matylda) i Anna Szymańczyk (Ernestyna) świetnie brali wiraże francuskiej miłosnej intrygi. Z przyjemnością patrzyło się na Mirosława Konarowskiego w roli wszędobylskiego sługi. Był przewodnikiem po tym świecie. A ja pamiętam go z lat 70. i 80. jako filmowy wzorzec z Sèvres męskiej urody.



Była naprawdę piękna muzyka Tomasza Sroczyńskiego, były rozkosznie umowne dekoracje Aleksandry Redy, jednej z pierwszych dam polskiej scenografii. Oboje tworzyli już z tym reżyserem wizyjnego Różewicza. I czuło się, że Stippa natchnął sześcioro aktorów swoim entuzjazmem. Ten teatr był robiony z prawdziwą radością.

Piotr Zaremba

Co napędzi dalej giełdę

W tym roku ponownie Bukowina na kilka dni stała się giełdowym centrum Polski z kluczowymi uczestnikami rynku kapitałowego wokół najważniejszych spraw rynkowych i firm inwestycyjnych i przedsiębiorstw, które korzystają z szans danych przez rynek giełdowy. Podczas XXIII Konferencji Rynku Kapitałowego i panelu „GPW na tle trendów rozwoju rynków giełdowych" nakreślono jasny obraz tego, jak warszawska giełda wygląda na tle konkurencji, jakie ma przed sobą szanse, a jakie zagrożenia

W dyskusji udział wzięli: Grzegorz Kołodziejczyk (Giełda Papierów Wartościowych w Warszawie), Roy Regev (Beta Securities), Katarzyna Szwarc (Ministerstwo Finansów), Bartosz Świdziński (Erste Securities Polska), Konrad Wilczak (Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju) i Rafał Krzyżaniak (Boston Consulting Group). Moderował Robert Kołeczek, przedstawiciel GPW w Londynie.

Jak wynikało z przygotowanej tytułem wstępu prezentacji Boston Consulting Group, usługi dodatkowe, związane z analityką danych, stanowią znaczną i rosnącą część przychodów giełd światowych. Grzegorz Kołodziejczyk, dyrektor Działu Rozwoju Rynku GPW, zwrócił uwagę na ewolucję modelu biznesowego giełd. Mieliśmy do czynienia z dwoma głównymi elementami, które ukształtowały w ostatnich latach zarówno rynki kapitałowe, jak i same giełdy: postępem technologicznym i deregulacją. Postęp technologiczny doprowadził do konkurencji w kwestii szybkości, wydajności i bezpieczeństwa systemów. Deregulacja z kolei spowodowała, że bariery w handlu czy notowaniu spółek znacząco się obniżyły. – Od tej pory giełdy przestały funkcjonować w hermetycznym otoczeniu. Teraz muszą konkurować z sobą zarówno o emitentów, jak i inwestorów. To z kolei przyczyniło się do zmiany modelu ich funkcjonowania na model firmy działającej na ogólnych zasadach konkurencji – mówił Grzegorz Kołodziejczyk.

Można więc powiedzieć, że pójście przez warszawską giełdę w kierunku przekształcenia w spółkę technologiczną (a nie jedynie część infrastruktury rynku kapitałowego) jest niezbędne do pozostania rynkiem konkurencyjnym na wspólnym rynku europejskim i światowym. Giełdy wciąż pracują nad poszerzaniem swojej oferty dostępnych instrumentów do handlu oraz rozwijają nowe grupy produktów. Podczas panelu podkreślono, jak wielkim sukcesem dla rynków okazało się wykształcenie instrumentów zwanych powszechnie jako ETF.

Jeśli chodzi o przyciąganie na giełdę nowych inwestorów i spółki, uczestnicy dyskusji dużo uwagi poświęcili funduszom ETF. Exchange Traded Fund to fundusz inwestycyjny notowany na giełdzie, którego zadaniem jest odzwierciedlanie zachowania się danego indeksu giełdowego. Ogromną zaletą ETF są niskie koszty zarządzania oraz możliwość kupienia ich w czasie sesji giełdowej przez wszystkich inwestorów. W ostatnich 20 latach stały się głównym celem inwestorów na rynkach światowych.

Rok 2022 był rekordowy pod względem obrotu ETF notowanymi na warszawskiej giełdzie. Ich łączna wartość była o 55 proc. wyższa niż w 2021 r. i wyniosła ponad 1 mld zł. Wciąż jednak polski rynek ETF jest kroplą w morzu w porównaniu z ofertą giełd zagranicznych. Wyzwaniem dla rozwoju tego rynku w Polsce jest konstrukcja prawna tych narzędzi. Zmiana konstrukcji polskich ETF pozwoliłaby na utworzenie instrumentów spójnych z notowanymi na innych giełdach europejskich funduszami UCITS. Ta kategoria funduszy pozwala wielu grupom inwestorów na większe zaangażowanie niż w przypadku funduszy zamkniętych.

– ETF to megatrend i jest tak duży, że nawet politycy go zauważyli. Widzimy, że inwestorzy krajowi są zainteresowani inwestowaniem i ETF mogą im w tym pomóc. Dlatego nieco zmieniliśmy prawo, by ułatwić firmom wprowadzanie ETF w Polsce. Rozumiemy, jak bardzo może to otworzyć rynek dla ludzi i nowego kapitału. Te zmiany będą przyjęte w ciągu najbliższych kilku tygodni. Późnym latem zmiany te powinny wejść w życie. Zmianą regulacji chcemy napędzić pewne trendy – powiedziała Katarzyna Szwarc, pełnomocniczka ministra finansów ds. strategii rozwoju rynku kapitałowego.

Artykuł sponsorowany | 58/0223/F

eprasa.pl 0651f7fe14

3 MIŁOŚCI

Kościół to pedofil



ROBERT TEKIELI

Trwa operacja na otwartym sercu Polski. Chcą zabić miłość, która połączyła najwybitniejszego Polaka w historii i jego naród.

Czy był bezgrzeszny? Czy nie mógł się mylić? Mógł i się mylił, ale jak dotąd nie przedstawiono żadnego dowodu, by Jan Paweł II lekceważył grzech pedofilii, jakikolwiek grzech.

Trwa Wielki Post, do ataków na wiarę w czasie świętym powinienem się już przyzwyczaić. Powtarza się to co roku przed Nocą Zmartwychwstania i przed Bożym Narodzeniem. Słowo stało się Ciałem, cierpiało i zmartwychwstało. Adwent i oczekiwanie na Zmartwychwstanie. Czas odwrócony. Jan Paweł II, „bestia z Wadowic".

Prof. Paweł Skibiński o książce mieszkającego w Polsce holenderskiego dziennikarza Ekke Overbeeka „Maxima Culpa": „Impulsem do odpalenia afery medialnej były zeznania jednego człowieka, alkoholika, dewianta seksualnego, donosiciela UB. W 1950 r. kard. Sapieha miał 83 lata i był ciężko schorowany, przykuty do łóżka i on miał rzekomo maltretować sadystycznie trzydziestoparoletniego księdza. Gdybym [na uczelni] zobaczył takie opracowanie jak Overbeeka, odesłałbym swojego studenta. To nie jest żadne rzemiosło badawcze, to konfabulacja, wolny strumień świadomości".

Prof. Tomasz Panfil: „U Overbeeka padło zdanie, którego żaden, nawet wadliwy warsztat ignoranta nie pozwoliłby sformułować". Zdanie to brzmi: „Nie ma dotąd żadnej potwierdzonej relacji, by Sapieha miał molestować np. Karola Wojtyłę". W jakim celu zostało napisane to zdanie? Tomasz Panfil: „To jest premedytacja i zła wola. Pisanie o czymś, czego nie było, służy wyłącznie propagandzie. Tu chodzi o zasianie wątpliwości i uderzenie w jakąś ideę, w tym wypadku w konsolidujący Polaków autorytet Jana Pawła II".

Prof. Skibiński o reportażu Marcina Gutowskiego: „Jestem zszokowany poziomem konstrukcji »Franciszkańska 3«, patrzę na te materiały i jestem przerażony niechlujnością tego przekazu, odbiorców traktuje się tu jak osoby niepełnosprawne umysłowo. Historycy, dziennikarze są od tego, by badać. A autorzy filmu nie zweryfikowali prawdziwości danych albo nie potrafią tego zrobić. Powiedziano, że zbadano, podczas gdy nie zbadano. Stan wiedzy jest bowiem taki, że do kard. Wojtyły docierały informacje i on na nie reagował. Ks. Loranc był suspendowany, potem podległ karze więzienia, toczyło się to normalnie. W jego przypadku kard. Wojtyła zareagował nadzwyczaj surowo, nie widzimy takich reakcji u innych hierarchów, z kolei ks. Surgent został odesłany do diecezji, której podlegał. Kard. Wojtyła zrobił to, co powinien".

Prof. Paweł Skibiński mówi jeszcze jedną ważną rzecz: „W tamtych latach krakowska kuria była zasypywana donosami, kurialiści nie byli w stanie tego zweryfikować, nie mieli aparatu i narzędzi, a to było ostre starcie z państwem. Część z tych donosów i spraw to prowokacje, potwierdzam to, a zarzuty seksualne są standardem ataku na Kościół katolicki".

Dwie z przedstawionych w filmie „Franciszkańska 3" historii – ks. Eugeniusza Surgenta i ks. Józefa Loranca – poznali, zbadali i opisali wcześniej Tomasz Krzyżak i Piotr Litka. Na podstawie akt kontrolnych śledztw znajdujących się dziś w IPN sformułowali wniosek, że nie da się obronić tezy, iż Karol Wojtyła doskonale wiedział o pedofilii podległych sobie duchownych i nic z tym nie robił.

Krzyżak i Litka: „Po dowiedzeniu się o przestępczych czynach (2 marca) ks. Józefa Loranca kard. Wojtyła nakazuje mu natychmiastowe opuszczenie Jeleśni, wyjazd do domu rodzinnego, gdzie ma czekać na kolejne decyzje. Z dniem 1 marca – Loranc zostaje zwolniony z pracy w charakterze wikariusza", 7 marca został podpisany akt suspensy. Do czasu uwięzienia księdza kard. Wojtyła skorzystał z przepisanych prawem środków zaradczych: suspensy, pozbawienia urzędu oraz nakazu przebywania w określonym miejscu. Potem pedofilem zajęło się państwo.

Krzyżak i Litka konkludują: „W oparciu o dokumenty, które poznaliśmy, pokazaliśmy, że Wojtyła podejmował zdecydowane kroki w odniesieniu do tego księdza. Okazuje się jednak, że te same dokumenty można czytać inaczej...". Jak? W taki sposób, by opluć. Nie, by szukać prawdy.

Radio TOK FM: „Nie wolno dopuścić do tego, by Kościół miał dostęp do młodych ludzi". „Katolicyzm powinien być traktowany jak najsilniejsze narkotyki. Trzeba przed nim bronić młodzież...". „Bestia z Wadowic"... Dokładnie tak szczuto na katolików w hitlerowskich Niemczech. Tak socjaliści narodowi szczuli na Żydów, Cyganów i homoseksualistów.

Nie ma ani jednego dowodu na to, że kard. Wojtyła tuszował przypadki pedofilii w swojej diecezji albo chronił sprawców. TVN pokazał skrzywdzonych ludzi, o których losie zapomniano na dziesiątki lat. Tylko co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Paulina Guzik, reżyserka filmu „Szklany dom", o odpowiedzi Jana

eprasa.pl 0651f7fe14

Pawła II na kryzys wykorzystywania seksualnego w Kościele: „Sprawy, o których rozmawiamy, miały miejsce około ośmiu lat przed tym, jak po raz pierwszy w historii amerykańscy pediatrzy pokazali, jakie skutki dla dziecka ma pedofilia. Wojtyła nie działał w 2023 r., gdy normalne jest spotykanie się ze skrzywdzonymi, by otoczyć ich opieką. Nie możemy oceniać go miarą dzisiejszej wrażliwości". „Jan Paweł II był pierwszym papieżem, który mierzył się z tym kryzysem. Uczył się podejścia do niego, po drodze popełniał błędy, ale na krzywdę ludzką reagował, walcząc o godność dzieci i dorosłych".

Nie mnie jest bronić Karola Wojtyły, on się obroni, bo prawda się obroni. Zło nazywamy złem, dobro dobrem. Grzech nazywamy grzechem, a nie wyzwoleniem i postępem. Apostołowie laicyzmu walczą z chrześcijaństwem. Celem ich ataków jest cały system moralnej nauki Kościoła.

Stoję murem za ofiarami, nie ma we mnie cienia pobłażliwości, widzę, jak zło się kotłuje. Widzę też szantaż niewinnym cierpieniem: – Przyjacielu, ufam, że masz dobre intencje. Zawodowi historycy mówią jasno: jesteś po złej stronie. Popatrz, na co wychodzi: narkotyki są OK, Kościół to pedofil.

WOJNA CYWILIZACJI

KULTURA

Warte

Pod koniec marca ukaże się najnowsza książka Tomasza Terlikowskiego „Skopcy, chłyści, genderyści. Krótka historia szaleństwa" z podtytułem „Od kastracji w imię czystości, do kastracji w imię klimatu i ludzkości". Radykalny antygenderyzm tego opracowania sprawił, że czekało ono cztery lata na publikację.

Autor punktuje współczesną mentalność, wydobywając jej rys gnostycki: z jednej strony hedonizm, z drugiej osądzanie innych oczekiwaniem bezgrzeszności, absolutnej czystości człowieka. Pisząc o dzisiejszych szaleństwach ideologii gender i histerii klimatycznej, Terlikowski odnosi się do przykładów sekt gnostyckich i manichejskich oraz rosyjskich ruchów bezpopowców: chłystów i skopców.

Odkryci przez rosyjską administrację w 1774 r. skopcy – rzezańcy, ros. скопцы, tzn. kastraci, zwani też „białymi gołębiami" – to ruch religijny powstały w łonie prawosławia, uważający ascezę i kastrację za warunek zbawienia. Skoro według nich grzechem pierworodnym ludzkości jest pożądanie i stosunek seksualny, to jedyną ucieczką przed nim było oczyszczenie (pieczęć, wybielenie, chrzest ognia), czyli kastracja. Mała pieczęć miała gwarantować w niebie rangę anioła, a wielka – archanioła. Po Rosji od końca XVIII w. zaczęli krążyć nowi „apostołowie" i „anielice", kierowane przez „Bogurodzice".

Podobnie do abstynencji seksualnej wezwał swoich wyznawców założyciel sekty chłystów żołnierz-dezerter Daniła Filipowicz, który w 1645 r. w okolicach Wiaźmy ogłosił się wcielonym Bogiem. U chłystów dzieci z małżeństw były dziećmi diabła, dzieci z orgii – chłystowskich ceremonii, zwanych „radienijami" (радения) – miały być z Ducha Świętego. Poglądy chłystowskie są zbliżone do herezji wczesnochrześcijańskich. Świat odwrócony.

Co łączy niepiśmiennych rosyjskich chłopów i elity współczesnych środowisk liberalnych i lewicowych? Błędna antropologia. Identyczna z manichejskim/gnostyckim spojrzeniem na naturę ludzką. Efektem dążenia do „bezgrzeszności", wynikającego z niezrozumienia ludzkiej natury, jest we wszystkich tych przypadkach wstydliwe przyzwolenie na rytualne orgie lub rozwiązanie siłowe – kastrację. Dzisiejsze szaleństwa zaprzeczania istnienia płci i związanej z nią tożsamości płciowej kulminują w procederze transokaleczania oraz ubezpładniania się w celu ratowania klimatu. Terlikowski wykazuje, w jaki sposób gnostyckie wierzenia czynią ludzi bezradnymi wobec tajemnicy grzechu. Nikt normalny nie ma najmniejszych wątpliwości. Nawet jedna ofiara to o jedną ofiarę za dużo. Jezus nie mówi: będziesz bez grzechu. Jezus mówi: zaufaj mi, a Ja cię przemienię, uświęcę, oczyszczę. Czy apostoł Piotr upadł? Tak. Ale żałował grzechu i zrobił potem wszystko, by na wadze ważącej jego życie przeważyło dobro. Św. Piotr umierał jako inny człowiek. Na koniec nie uciekł od swojego krzyża.





Fot. East News, Shutterstock

Chrześcijaństwo nie wypiera ani nie unieważnia grzechu. Nie ma w nim też miejsca na szantaż, również szantaż cierpieniem bezbronnych ofiar.

Czy przyjacielowi można wyznać jego winy? Czy wolno rozmawiać o źdźble w jego oku, samemu mając kilka belek, a za sobą trudną przeszłość? Absolutnie nie.

Chyba że chodzi o jego zbawienie.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 0651f7fe14



Ukraina noir

Andruchowycz, filut, który zawsze lubi wziąć na widelec patriotyczne zadęcia i wypimpiszenia, w „Radiu Noc” potrafi jednocześnie jednym ruchem dłoni zwiększyć skalę postaw i odczuć o dwie oktawy, zmieniając tonację buffo na serio, stając po stronie bitych i zabitych, po stronie przyjaźni, wierności, żałoby

Wojciech Stanisławski

He’s back! Owszem, tak można zapowiadać kolejny sequel z Terminatorem, mogą tak jednak zwoływać się również fani wracającego jak kometa co kilka lat jazzmana, aktora lub poety. Czy zareagują tak również na powrót Jurija Andruchowycza, który niepostrzeżenie zdobył status klasyka?

Powinni. Szpakowaty flibustier kokietuje czytelników jak dawniej swadą na pograniczu logorei, łobuzerskim wdziękiem w stylu Belmonda przełamanego Deepem i tylko fabuły konstruuje coraz bardziej złożone, wymagające niemal rozrysowania na wewnętrznej stronie okładki, by nie zgubić się między dwiema narracjami i skokami z XXI do XVI w. Ale te ostatnie są nieliczne, Andruchowycz naprawdę zdumiewająco dobrze radzi sobie z nowoczesnymi technologiami i szaleństwami, zresztą w swoim stylu: social media, fora komunikacyjne i nowinki kryptologiczne znakomicie przydają mu się jako budulec fabuły, a z postliberalnych władz municypalnych, które na napływ imigrantów reagują euforią i frazesami o inkluzywności drwi sobie nie gorzej niż przeciętny obywatel Europy Środkowej: tyle że z lepszym esprit. Czyżby to było przyczyną, że dawni wydawcy Andruchowycza, którzy wprowadzili go na polski rynek i dwukrotnie bodaj wznawiali „Rekreacje” i „Moscoviadę” pozostali obojętni na jego najnowsze dzieło? Trudno: na szczęście jest jeszcze Czytelnik, choć i tak żal pomyśleć, że na przekład (świetny!) Jerzego Czecha przyszło czekać ponad dwa lata.

Dobrze mieć na podorędziu wszystkie poprzednie tomy Andruchowycza, i te wydawane przez Czarne, i przez Warstwy, bo „Radio Noc” splata fascynacje i obsesje autora tak, jakby było destylatem całej jego twórczości. Radio. Rock. Włóczęga. Urzekające miasta Europy. Podupadające, secesyjne, senne miasta dawnej Galicji i Bukowiny. Szwajcaria. Przeskakiwanie, jakby ktoś kartkował atlas czy album fotograficzny, przez kolejne wieki czy dekady z niepokojącym talentem do uchwycenia ich nastroju i zachowań w kilku zaledwie zdaniach. Nieprzeciętne talenty uwodzicielskie. Wino, winnice, whisky (i cza-cza). Ba, nawet nosorożce! Kilim można by spleść z tych odniesień, gdyby nie to, że główny bohater Andruchowycza – zawsze taki sam, czy będzie to Gajski, czy Stach Perfecki, czy jak w najnowszej powieści, Josyp Rotski – zdecydowanie preferuje nie splot, lecz rozplatanie, czy to warkoczy, czy haftek gorsetu.

W tej powieści znalazło się miejsce na cały Andruchowyczowski zachwyt światem i melancholię, z którą na niego patrzy. Na urzekające rozrastanie się opisywanych przez niego bytów, czy są to narody, czy trunki, czy wnętrza w klubie nocnym („Dalej jeszcze jakieś pokoje »dla szachistów«, bilard, salon do pokera, a zarazem palarnia, ceremonie herbaciane, pokój odpoczynku



Jurij Andruchowycz, „Radio Noc”, tłum. Jerzy Czech, Czytelnik, Warszawa 2023

dla striptizerek, gabinet masażu, biuro analiz politycznych, studio komputerowe, redakcja, garderoba, magazyn ogólny, oddział maszyn”) – prawdziwa kipiel czy może erupcja wulkaniczna. A może to geniusz Galicji? „Zawsze było za dużo Lwowa, nikt nie umiał / zrozumieć wszystkich dzielnic, usłyszeć / szeptu każdego kamienia [...], a radość kryła się / wszędzie, w korytarzach i młynkach do / kawy, które obracały się

eprasa.pl 0651f7fe14

same...” – pisał o tych okolicach autor, który urodził się wcześniej, ale i u Jurija ludy i języki mnożą się niezmordowanie.

Znalazło się miejsce na kalambury, permutacje i drwinę, również ze współczesnych żargonów („Dasza Etkin-Utkin, bardziej znana jako daShootka, »melancholijna prowokatorka technologicznego i krajobrazowego kontekstu w transmutowanej posttożsamości«, jak określali ją znawcy”). Na schowany pod kilkoma warstwami przebrań i ról obrazek z dzieciństwa, tak osobisty i raniący, że musiała autorowi minąć sześćdziesiątka, nim go spisał.

Ale w „Radiu Noc” pojawia się jeszcze jeden wątek, który przychodzi zdradzić,



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Łeś Bełej, „Plan naprawy Ukrainy”, tłum. Aleksandra Brzuzy, Maciej Piotrowski, Ziemowit Szczerek, Wydawnictwo Ha!Art, Kraków 2023

choć jest kluczowy dla warstwy sensacyjnej. To alternatywna historia Ukrainy – czy raczej jednego wydarzenia z jej dziejów najnowszych i kilku następujących po niej lat. To historia Majdanu z zimy 2013/2014 – Majdanu, gdyby się nie udał.

Nie zapomnieliśmy o Majdanie, ale te wydarzenia sprzed zaledwie 10 (już 10?) lat przesłoniła jak prawie wszystko najnowsza rosyjska inwazja. Szturmy Berkutu i drewniane tarcze manifestantów tak nieskuteczne przeciw snajperom, mróz, smród, tłusty dym opon i biały żar pożarów, wymarzone przez fotoreporterów zdjęcia pęczniejących w strugach deszczu pianin, na których śmiałkowie przygrywali w mitenkach, dopóki zbyt wcześnie eksplodujące butelki z benzyną nie pourywały im palców – były i minęły, choć są aktem założycielskim dzisiejszej Ukrainy.

A w „Radiu Noc” wszystko to powraca przetworzone jako opowieść o klęsce, która była tak niebezpiecznie blisko. Opowieść o strugach topniejącego śniegu, czerwono-czarnego od krwi i sadzy. O czystce i zapomnieniu, o szwadronach śmierci ścigających emigrantów po całej Europie. O Majdanie, który rozpocząłby się nie w Kijowie, lecz w Mińsku (zresztą czy się nie rozpoczął i nie został złamany zaledwie przed dwoma laty?).

Andruchowycz opowiada o tym Mińsko-Kijowie ze zgrozą, uświadamia nie tylko niepewność i lęk manifestantów, narażonych nie tylko na ataki Berkutu, lecz także na podsłuch, porwania i skrytobójstwa, odtwarza cały fenomen podzielonego miasta, gdzie można przez chwilę być wśród swoich, ale po minięciu ostatniej barykady znów jest się bezradnym wobec służb: cwanych, mordziastych, okrutnych typów, odziedziczonych po Sowietach i reprodukowanych jak ze sztancy. I w tym też jest Andruchowycz: filut, który zawsze lubi wziąć na widelec patriotyczne zadęcia i wypimpiszenia, patosy i wyszywanki, doskonale czujący się w skórze doświadczonego-życiem-mężczyzny, skórze, którą porósł, perfekcyjnie rozgrywający cyniczny charme w stylu szpakowatych Deppa, Lindy, Stasiuka i Cohena razem wziętych. W „Radiu Noc” (choć przecież i w innych powieściach) potrafi jednocześnie jednym ruchem dłoni zwiększyć skalę postaw i odczuć o dwie oktawy, zmieniając tonację buffo na serio, stając po stronie bitych i zabitych, po stronie przyjaźni, wierności, żałoby.

Można oczywiście sięgnąć po tej powieści po „Plan naprawy Ukrainy” Łesia Bełeja. Nawet trzeba, jeśli jest się ciekawym młodej ukraińskiej prozy, nowego ukraińskiego idiomu, autora rekomendowanego i przełożonego przez Ziemowita Szczerka, który naprawdę dobrze zna tamte okolice.

Można – ale po to, by się przekonać, że jest to Ukraina (również bardzo niedawna, ale jeszcze sprzed najazdu, z końca drugiej dekady) sfotografowana w bardzo szczególnym planie: od stóp w crocsach po tłustą klatę w siatkowym podkoszulku. Ukraina bez głowy, Ukraina z obrazów Dudy-Gracza, Ukraina cyniczna, złodziejska, bełkocząca, bezradna wobec podsuwanych jej żargonów, od hurrapatriotycznego po postmodernistyczny, i bełkocząca w nich cwaniacko i bezradnie zarazem. Ukraina panświnistyczna, dresiarska i wyszywankowa, lubująca się w tombakowych tabletach i drobnych przewałach, zapijająca kaca piwem, a koks – xeresem.

Oczywiście istnieje i taka, z niej zresztą pochodzi co najmniej jeden z bohaterów „Radia Nocy” – Mef, i pierwszych 50 stron Bełeja czyta się z upodobaniem, bo brzmią, jakby Magdalena Okraska naczytała się Huntera S. Thompsona i postanowiła napisać o sierotach transformacji w stylu gore.

Ale po pierwszych 50 stronach dalszych 150 oferuje to samo: nasłuchy, drobne formy dialogowe, świetne, a jednocześnie nużące przez swoją monotonię. Zdjęcie Ukrainy od crocksów po złoty łańcuch, nasłuch Ukrainy w jednym, dolnym paśmie, gdzieś tak od 16 do 1000 Hz. To groteska, ale już nie w stylu buffo, lecz – gdyby przyszło nam do głowy uczcić zmarłego w ub.r. dziennikarza i polityka stworzeniem od jego nazwiska terminu literaturoznawczego – w stylu urbano: niesłabnąca fascynacja ludzką małością, głupotą i prostactwem przypisanym do jednego biednego, chorego, błotnistego kraju, prawdziwy destylat ojkofobii.

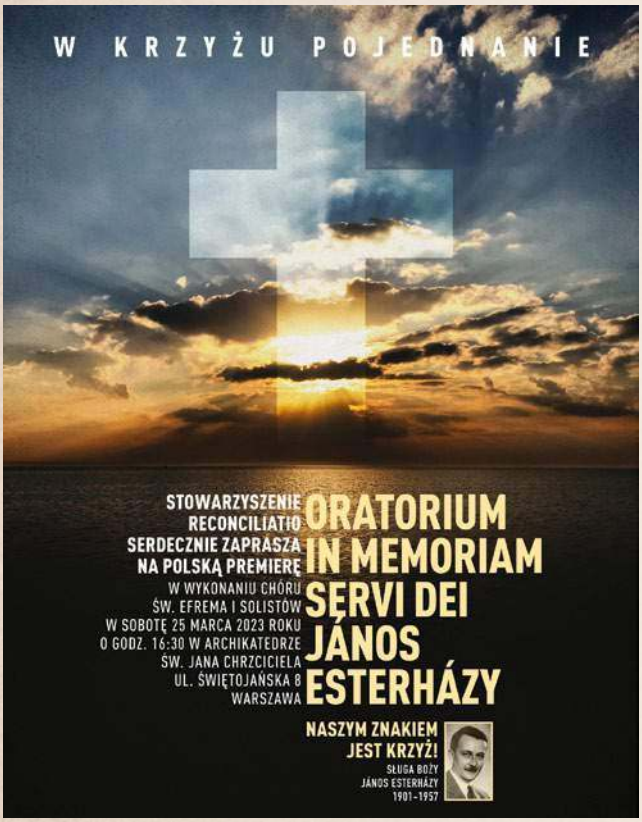
To Ukraina opisywana, chciałoby się rzec, przez 13-letniego trickstera z trądzikiem. Na pewno wzbogaca to jej obraz. Ale jeśli ktoś lubuje się w takim widzeniu świata, w takim pisaniu alternatywnych historii (Ukrainy), w takim nieszczerze wyszczerzonym rechocie, mając lat już nie 13, lecz trochę więcej – cóż, jest to naprawdę fatalne zauroczenie.

eprasa.pl 0651f7fe14

„Antysemita” świętym?

14 marca minęła 122. rocznica urodzin, a 8 marca 66. rocznica zamęczenia przez reżim czechosłowacki Jánosa Esterházyego. Czołowy polityk przedwojennej Czechosłowacji i były przywódca mniejszości węgierskiej na Słowacji do dziś dnia pozostaje postacią wzbudzającą kontrowersje

Choć trudno jest zakwestionować zarówno fakt, iż jednym z powodów jego uwięzienia i męczeństwa było prześladowanie ze względu na wyznawaną religię, jak i zaprzeczyć heroiczności cnót i przywiązania do chrześcijańskich wartości wpojonych mu przez matkę, Elżbietę Tarnowską, u części słowackich historyków pojawiło się zaskoczenie faktem decyzji arcybiskupa Krakowa o wszczęciu procesu beatyfikacyjnego wnuka Stanisława Tarnowskiego. Podnoszące się głosy wskazujące na brak zasadności dla tego kroku nie odnoszą się jednak do oceny duchowności hrabiego. Współcześni przeciwnicy bazują zazwyczaj na krytyce działań politycznych, relatywizując nawet te posunięcia, które przynoszą Esterházyemu niewątpliwą chlubę.



W WARUNKACH SŁOWACKIEGO AUTORYTARYZMU

Argumentacja podnoszona przez słowackich uczonych (w mniejszym stopniu czeskich) sprowadza się do krytyki działalności politycznej hrabiego w przededniu rozpadu Czechosłowacji oraz w warunkach autorytarnego państwa słowackiego. Wydaje się, iż najwięcej kontrowersji wywołuje spór wobec stosunku hrabiego do słowackiego Holokaustu.

W tym miejscu należy podkreślić specyfikę państwa rządzonego przez Jozefa Tiso. Z pewnością był to organizm symbiotycznie związany i uzależniony od dyspozycji Rzeszy. Słowacja po prostu musiała zapłacić cenę za uzyskanie nominalnej suwerenności, której nie osiągnęłaby wówczas bez wyraźnie określonej woli Hitlera. Wyrazem braku samodzielności w polityce zagranicznej było chociażby przystąpienie do agresji przeciwko Polsce we wrześniu 1939 r., a w polityce wewnętrznej w dostosowaniu słowackiego ustawodawstwa do niemieckich wzorców. Co charakterystyczne dla terytoriów podporządkowanych Rzeszy, zmiany w porządku prawnym poszczególnych państw satelickich miały również obejmować kwestię Endlösung der Judenfrage.

Kulminacja rozwiązania „kwestii żydowskiej” na Słowacji nastąpiła podczas 87. posiedzenia parlamentu Republiki Słowackiej, odbytego 15 maja 1942 r. Głosując nad ustawą o wysiedleniu, a faktycznie o deportacji ludności żydowskiej, słowaccy parlamentarzyści dali faktycznie przyzwolenie na ostateczną eksterminację kilkudziesięciu tysięcy współobywateli. Jedynym parlamentarzystą, który sprzeciwił się tej ustawie, był János Esterházy. Zajmując w tej sprawie jednoznaczne stanowisko, stwierdził: „Ja jako przedstawiciel zamieszkałych tu Węgrów, zgłaszam protest i proszę przyjąć do wiadomości, iż dlatego nie głosuję za poparciem projektu [ustawy], lecz przeciw niemu, gdyż jako Węgier i chrześcijanin oraz jako katolik uważam ten projekt za bezbożny i nieludzki”.

ZNIENAWIDZONY PRZEZ ÓWCZESNYCH, POTĘPIONY PRZEZ WSPÓŁCZESNYCH

Naoczny świadek debaty, Rezső Szalatnai, przybliżał po latach atmosferę panującą na sali obrad: „Widziałem i słyszałem,

eprasa.pl 0651f7fe14

kiedy w wielkiej sali w siedzibie władz komitatu, podniesionej do rangi sali obrad narodowego zgromadzenia, [Esterházy] odważnie, wyrażając swój sprzeciw, nie wziął udziału w głosowaniu za słowacką ustawą antyżydowską, czyli za szerokim otwarciem wrót nieludzkim praktykom. Widziałem, kiedy sprzeciwił się tam ministrom i słowackiemu hitlerowskiemu prokuratorowi, Karmasinowi, który go nienawidził i najchętniej zniszczyłby wraz z jego partią".

Wydawać by się mogło, iż tenże akt niewątpliwej odwagi nie mógł mieć istotnego znaczenia. Słowacy posiadali w parlamencie wystarczającą większość do przegłosowania każdej ustawy i sprzeciw pojedynczego posła mógł mieć jedynie wymiar symboliczny. I prawdopodobnie, gdyby hrabia poprzestał na niewzięciu udziału w głosowaniu, incydent ten pozostałby niezauważony. Jednak oficjalne zajęcie stanowiska i nagłośnienie tego faktu było wysoce niewygodne. Esterházy niweczył w ten sposób oficjalną narrację władz o bezwarunkowej akceptacji hitlerowskich wzorców przez wszystkie siły polityczne Słowacji, a także wizerunek jednomyślnego parlamentu. Zachowane źródła słowackie wskazują, że o ile wśród Niemców postawa hrabiego wywoływała jedynie irytację, o tyle dla Słowaków stanowiła ona prawdziwy problem.



Esterházy, uwypuklając sedno ustawy jako rozwiązanie „depczące prawa boskie i ludzkie", od razu wchodził w konflikt z politykami partii rządzącej, na poziomie ideowym deklarującej przywiązanie do katolickich wartości. Nie mogły zatem dziwić reakcje słowackich elit, balansujących między bagatelizowaniem samego faktu sprzeciwu a otwartymi atakami, wymierzonymi w osobę hrabiego. Należy podkreślić, iż w próbach dyskryminacji przedstawiciela słowackich Węgrów jego adwersarze pozostawali wysoce niekonsekwentni. Sternicy słowackiej propagandy do końca nie mogli się zdecydować, czy wystąpienie hrabiego kwalifikować jako czyn podyktowany egoizmem (Esterházy miał być jakoby zainteresowany wykorzystaniem Żydów jako taniej siły roboczej w swoim majątku), czy też jako wyraz „madziarskiej obłudy" i organicznej niezdolności węgierskiego arystokraty do uszanowania woli słowackiej większości.

Podobny problem wydają się mieć słowaccy historycy. W momencie oceny zaangażowania polityków słowackich w Holokaust z zadziwiającą łatwością unikają oceny postawy elity głosującej za majową ustawą, koncentrując się na bagatelizowaniu gestu Jánosa Esterházyego. Swój koronny argument, ukazujący postawę hrabiego jako „drobny gest, który przyszedł za późno", słowaccy uczeni podpierają się zazwyczaj werdyktem wydanym przez Instytut Yad Vashem. Podkreślają, iż instytucja ta odmówiła przyznania hrabiemu tytułu Sprawiedliwego wśród Narodów Świata, co miało zostać uargumentowane faktem, iż pomoc udzielana przez Esterházyego ludności żydowskiej nie wiązała się z narażaniem życia.

Szanując prawo izraelskiego instytutu do honorowania tych postaci, które uznaje on za właściwe, należy jednak podkreślić, iż nie jest to równoznaczne z nieomylnością wydających takową opinię. Z taką tezą można by się zgodzić, patrząc na usytuowanie Esterházyego w politycznym establishmencie przed 1944 r. Po dojściu do władzy w Budapeszcie węgierskich strzałokrzyżowców nie tylko hrabia, lecz także cała jego rodzina pozostawała tak samo zagrożona aresztowaniem przez gestapo i konsekwencjami z tytułu udzielania pomocy Żydom jak każdy obywatel Słowacji. Przy tej okazji można zadać też pytanie, czy więcej od Esterházyego ryzykował np. Oskar Schindler, który takowym wyróżnieniem został jednak uhonorowany.

JÁNOS ESTERHÁZY A SŁOWACKI KOMPLEKS

Czy postawa Słowaków w tej materii jest elementem szeroko rozumianego słowackiego kompleksu, o którym tak zajmująco pisał Rudolf Chmel? Polak obserwujący z zewnątrz narrację słowacką może jedynie postawić takie pytanie, nie roszcząc sobie prawa do udzielenia odpowiedzi. Niemniej z polskiej perspektywy nie sposób nie wziąć w obronę Jánosa Esterházyego – mowa przecież o wnuku Stanisława Tarnowskiego, jednego z najwybitniejszych polskich konserwatystów. Nie sposób nie dostrzec, iż podejmując materię stosunku hrabiego do Holokaustu, nawet młodzi, współcześni badacze powielają narrację powstałą na polityczne zapotrzebowanie w okresie komunistycznym.

Wydaje się jednak, że wytworzony przez historyków obraz nie wytrzymuje krytyki ze świadectwami dwóch słowackich kapłanów. Pierwszym był ogłoszony już błogosławionym biskup Vasil' Hopko, drugim z kolei słowacki kandydat na ołtarze, biskup spiski Ján Vojtaššák. Należy podkreślić, iż ten ostatni składał świadectwo w momencie, gdy został skazany w procesie pokazowym w Bratysławie na 24 lata pozbawienia wolności i pozostawał obiektem represji władz Czechosłowacji. Nazwanie przez niego Jánosa Esterházyego przyjacielem Słowaków w trakcie przesłuchania przez oficera komunistycznej służby z pewnością było aktem odwagi, mogącym skutkować wzmożoną represyjnością ze strony funkcjonariuszy zbrodniczego systemu. Biorąc pod uwagę te świadectwa wydaje się, że nad głosami współczesnych historyków słowackich, którzy twierdzą, iż nie wyobrażają sobie świętości Esterházyego, można przejść do porządku dziennego.

Arkadiusz Adamczyk

Autor jest historykiem, politologiem, profesorem w Instytucie Stosunków Międzynarodowych i Polityk Publicznych Wydziału Prawa i Nauk Społecznych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach

Fot. Domena Publiczna

eprasa.pl 0651f7fe14

Jak Polska może zostać liderem w leczeniu nowotworów piersi?

Jednym z priorytetów obecnego rządu w dziedzinie medycyny ma być leczenie raka piersi – tak wynika z deklaracji, którą premier Mateusz Morawiecki złożył w Gliwicach latem ub.r. Szef rządu stwierdził wprost, że chciałby, by Polska była wśród krajów najlepiej leczących raka piersi. Zaproszeni do redakcji tygodnika opinii „Sieci” eksperci z dziedziny onkologii, a także przedstawiciele pacjentów dyskutowali wspólnie z przedstawicielami administracji państwowej, jak zrealizować cel postawiony przez szefa rządu. Uczestnicy debaty „Jak Polska może zostać liderem w leczeniu nowotworów piersi?” poszukiwali odpowiedzi na pytania, w jakim miejscu jest Polska w leczeniu raka piersi pod kątem diagnostyki, organizacji leczenia, a także dostępności nowych opcji terapeutycznych

Według danych Krajowego Rejestru Nowotworów na raka piersi choruje prawie co czwarta onkologiczna pacjentka (23 proc.), jest to zatem najczęściej występujący nowotwór złośliwy wśród kobiet, a dodatkowo tendencja jest niestety wzrostowa. Nowotwór ten stanowi drugą przyczynę zgonów wśród kobiet w Polsce i jednocześnie główną przyczynę śmierci Polek w wieku od 20 do 44 lat. Rak piersi pozostaje wciąż wysoko na liście priorytetów zdrowotnych, zarówno jeśli chodzi o dążenie do osiągnięcia jak najwyższego poziomu kompleksowości opieki nad pacjentami, jak i optymalizacji ścieżki diagnostyczno-terapeutycznej. Tymczasem wyzwań związanych z uzyskiwaniem satysfakcjonujących wyników terapeutycznych w leczeniu raka piersi jest bardzo dużo. Uczestnicy debaty rozpoczęli od omówienia kwestii dotyczących organizacji placówek medycznych, a konkretnie od przedstawienia koncepcji tzw. Breast Cancer Unit (BCU), czyli centrów leczenia raka piersi.

– Jesteśmy w Polsce przyzwyczajeni jeszcze chyba od XIX w. do organizacji ochrony zdrowia wokół narzędzi, a więc np. wokół klinik chirurgicznych, gdzie pracują ludzie o wysokich kwalifikacjach, leczący tam wszystkie nowotwory. Tymczasem pomysł na sieć BCU zakłada, że ci sami specjaliści mają funkcjonować jako grupa osób, która zajmuje się przede wszystkim jednym głównym zagadnieniem. Celem takiej organizacji jest lepsze opracowywanie sposobów terapii, jej kompleksowość obejmująca konsultacje z różnych dziedzin medycznych i w efekcie personalizacja terapii, która zwłaszcza w przypadku onkologii jest kluczowa dla pacjenta. Personalizacja oznacza w tym przypadku dobór różnych metod terapii, a także skrócenie czasu diagnostyki i stały monitoring nad procesem leczenia – rozpoczął przedstawianie zagadnienia prof. Tadeusz Pieńkowski, który jest znanym orędownikiem stworzenia sieci Breast Cancer Unit, czyli certyfikowanych ośrodków medycznych, zlokalizowanych w Polsce na tyle gęsto, by każda pacjentka, a nie tylko ta z dużego ośrodka wojewódzkiego, miała łatwy do niego dostęp. – Żeby zabezpieczyć te potrzeby, powinniśmy mieć w Polsce ok. 40 takich jednostek – wskazał prof. Pieńkowski.

Kolejnym problemem, który mocno wybrzmiał podczas naszej debaty, były bariery biurokratyczne, z którymi na co dzień zmagają się w swojej pracy lekarze. I warto pamiętać, że w przypadku tej grupy zawodowej to nie kwestia niechęci do procedur płynąca z poszukiwania komfortu, lecz po prostu strata czasu, którego lekarze – a zwłaszcza lekarze onkolodzy – potrzebują na dodatkowe i stałe dokształcanie się, gdyż medycyna nie stoi w miejscu, a każdy

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0651f7fe14

rok przynosi nowe zasoby wiedzy, które można zastosować w terapii.

Nawet najlepsi i najwrażliwsi lekarze, a tacy stanowią większość w naszych przychodniach i szpitalach, mogą utracić poczucie sensu swojej pracy wobec narastającej biurokracji, gąszczu nakazów i zarządzeń urzędowych, wydłużających się kolejek, limitów świadczeń i ograniczeń finansowych zmniejszających dostęp do niezbędnych procedur medycznych. O tym jest mowa w podręczniku „Onkologia kliniczna" autorstwa dr. Janusza Medera z 2006 r. Niestety, w odniesieniu do tzw. biurokracji mimo wprowadzenia systemów informatycznych sytuacja nie uległa poprawie. Dotyczy to zwłaszcza realizacji świadczeń medycznych w ramach programów lekowych i systemu ich monitorowania. Lekarz, zamiast udoskonalać swój warsztat, traci czas na wypełnianie kolejnych formularzy w kilku systemach informatycznych i boryka się z interpretacją często niejasnych zapisów programów lekowych. Onkologia jest dynamicznie rozwijającą się dziedziną medycyny, dotyczy to zwłaszcza leczenia chorych na raka piersi. W Polsce konieczne jest wypracowanie nowej, szybszej ścieżki dostępu do nowych, skutecznych leków oczywiście z uwzględnieniem możliwości refundacyjnych ze środków publicznych. Leki dostępne w ramach programów lekowych powinny być włączone do katalogu chemioterapii z podaniem ograniczeń refundacyjnych. To znacznie przyśpieszyłoby dostęp do leczenia i ułatwiło jego realizację – mówiła prof. Renata Duchnowska.

Uczestnicy debaty

Maciej Miłkowski, wiceminister zdrowia
prof. Renata Duchnowska, kierownik Kliniki Onkologii Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie
Barbara Dziuk, poseł, przewodniczący podkomisji stałej ds. onkologii
Magdalena Kardynał, prezes Fundacji OmeaLife
dr Joanna Kufel-Grabowska, Klinika Onkologii i Radioterapii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego
prof. Tadeusz Pieńkowski, prezes Polskiego Towarzystwa Badań nad Rakiem Piersi, kierownik Kliniki Diagnostyki i Leczenia Chorób Piersi PIM MSWiA, kierownik Kliniki Onkologii i Chorób Piersi CMKP
Krystyna Wechmann, prezes Federacji Stowarzyszeń Amazonki
Prowadzący: redaktor **Zbigniew Wojtasiński**



eprasa.pl 0651f7fe14

Kolejnym wyzwaniem, które mocno zaakcentowano podczas debaty, było położenie nacisku na profilaktykę i jej promocja w społeczeństwie. Zwrócono uwagę, że w Polsce zaledwie kilkanaście procent społeczeństwa zdaje sobie sprawę, że badania z dziedziny profilaktyki onkologicznej są bezpłatne. Problem ten bardzo leży na sercu posłance Barbarze Dziuk. – Zorganizowałam nawet jesienią w Sejmie takie wydarzenie, podczas którego pracownice Kancelarii Sejmu, a także parlamentarzystki mogły przeprowadzić na miejscu badania USG piersi. Chciałam wysondować, jakie jest nastawienie do promocji profilaktyki nowotworowej osób, które na co dzień tworzą prawo w naszym kraju. Muszę przyznać, że zainteresowanie przerosło moje oczekiwania, a do dziś jestem pytana na sejmowych korytarzach, czy jeszcze powtórzę taką akcję. Bardzo bym chciała, by podobne nastawienie do badań profilaktycznych zapanowało wśród wszystkich Polek i Polaków – powiedziała Barbara Dziuk.

Zagadnienie profilaktyki nieuchronnie poprowadziło uczestników debaty do tematyki związanej z diagnostyką i strategią terapii. Osoby, u których stwierdzono podejrzenie raka piersi, powinny mieć zapewnioną możliwość szybkiego wykonania niezbędnych badań w celu wykluczenia lub potwierdzenia występowania nowotworu piersi. – Diagnostyka jest bardzo ważna, jest to element niezbędny do podjęcia decyzji o sposobie leczenia. Tak jak mówił prof. Pieńkowski, najlepsza diagnostyka jest oczywiście w Breast Cancer Unitach, gdzie w trakcie konsyliów spotykają się specjaliści wielu dziedzin – jest tam onkolog kliniczny, chirurg, radioterapeuta, radiolog, patomorfolog i pielęgniarki. Tak kompleksowa diagnostyka, obejmująca i badania obrazowe, i genetyczne, pozwala nam zakwalifikować pacjentki do odpowiedniego leczenia. Dodatkowo ta najlepsza diagnostyka na samym początku pozwala powiedzieć pacjentce, jak będzie wyglądało jej leczenie w przypadku wczesnego raka piersi przez najbliższych kilka lat, a w przypadku choroby zaawansowanej też pozwala nam dobrać odpowiednie leczenie. Tak jak mówiła prof. Duchnowska – bardzo wiele się dzieje, mamy wiele nowych leków, wiele nowych możliwości terapeutycznych, ale to też wymusza na nas bardzo wiele posunięć. Przede wszystkim zwiększa konieczność wykonywania badań genetycznych, które w chwili obecnej są w Polsce bardzo mało dostępne, a okres oczekiwania na wynik badania jest za długi – powiedziała dr Joanna Kufel-Grabowska. – Dodatkowo rozwój medycyny czy wzrost liczby dostępnych leków nie przekłada się niestety na wzrost liczby specjalistów w Polsce, a tym samym na lepszą dostępność do badań genetycznych. My się oczywiście bardzo cieszymy, że leki związane z tzw. terapiami celowanymi, a więc opartymi na doborze wynikającym z badań genetycznych, są dostępne i pozwalają naszym pacjentkom na lepsze życie, ale wciąż będę podkreślała, że czas oczekiwania na badanie genetyczne, który często wynosi aż pół roku, jest stanowczo zbyt długi i żadna pacjentka nie powinna tak długo czekać na takie badania.

> Rak piersi jest jedną z najbardziej skutecznie leczonych chorób nowotworowych w Polsce, wiele poprawiło się w ostatnich trzech latach, idziemy w dobrym kierunku

W leczeniu raka piersi bardzo ważny jest wachlarz opcji terapeutycznych. Rak ten jest jedną z najbardziej skutecznie leczonych chorób nowotworowych w Polsce, wiele poprawiło się w ostatnich trzech latach, idziemy w dobrym kierunku. Co zmieniło się w 2022 r.? Jakie terapie wprowadzono na listy refundacyjne? Przykładem pozytywnych zmian w leczeniu raka piersi jest lista refundacyjna z listopada 2022 r., która przyniosła dobre zmiany dla pacjentek i udowodniła, że niecały rok od rejestracji leku jesteśmy w stanie go zrefundować, o czym przypomniał wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski. – W 2022 r. było to pięć nowych wskazań – w marcu udało nam się rozszerzyć je dla trastuzumabu emtanzyny w leczeniu uzupełniającym wczesnego HER2-dodatniego raka piersi, a w listopadzie były to cztery nowe wskazania w leczeniu alpelisibem i talazoparibem w zaawansowanym hormonowrażliwym HER2-ujemnym raku piersi oraz sacytuzumabem gowitekanem oraz talazoparibem we wskazaniu leczenia zaawansowanego potrójnie ujemnego raka piersi – wyjaśnił wiceminister.

W świetle informacji, którymi ostatnio dzieliło się Ministerstwo Zdrowia, we wczesnym raku piersi są prowadzone aż trzy postępowania refundacyjne, każde dla trochę innej populacji chorych. – Mówimy tu o trzech nowych terapiach w leczeniu okołooperacyjnym potrójnie ujemnego raka piersi pembrolizumabem, leczeniu uzupełniającym hormonozależnego HER2-ujemnego raka piersi abemacyklibem oraz leczeniu uzupełniającym olaparibem z dziedzicznymi mutacjami BRCA1 i BRCA2 – podkreślił wiceminister zdrowia.

Czy zatem perspektywa klinicystów pokrywa się z planami refundacyjnymi Ministerstwa Zdrowia? Czy Polska może realnie stać się liderem w obszarze raka piersi? – To będzie trudne do osiągnięcia ze względu na dużą liczbę rejestrowanych nowych wskazań w przypadku raka piersi, zmieniające się co roku wytyczne kliniczne, opóźnienia w składaniu wniosków refundacyjnych przez podmioty odpowiedzialne oraz kilkukrotnie większe wydatki na leczenie pacjenta nowoczesnymi lekami w perspektywie obecnie refundowanych terapii, co może tworzyć barierę nie do przekroczenia – podkreślił Maciej Miłkowski.

Uczestniczące w debacie przedstawicielki pacjentek przekonywały, że wiedza o nowych terapiach lekowych czy nowych metodach leczenia dociera nie tylko na bieżąco do lekarzy, lecz także do chorych i osób działających w stowarzyszeniach wspierających pacjentów. – Czasami bardzo długo, zbyt długo czekamy na zatwierdzenie nowych le-

eprasa.pl 0651f7fe14

ków, o których dzięki wynikom z państw zachodnich już wcześniej wiemy, że można je stosować z powodzeniem. Długo czekaliśmy na refundację leków w przypadku raka potrójnie ujemnego czy okołooperacyjnego. Teraz mamy na rynku przełomowy lek o nazwie trastuzumab derukstekan i też liczymy na to, że terapie przy jego użyciu staną się jak najszybciej dostępne dla polskich pacjentek. Musimy po prostu więcej robić dla przyspieszenia procesu wdrożenia najnowszych i najbardziej obiecujących metod leczenie w Polsce, bo akurat na polu promocji profilaktyki już chyba niewiele więcej można uczynić. Od lat odbywają się w Polsce kampanie społeczne namawiające do regularnych badań profilaktycznych, ale wiemy, że odzew na nie jest daleki o poziomów, jakich byśmy wszyscy tutaj oczekiwali – mówiła Krystyna Wechmann.

Magdalena Kardynał zwróciła uwagę na siłę organizacji pacjenckich, które dziś nie ograniczają swojej roli – jak wielu osobom mogłoby się wydawać – do krzewienia solidarności wśród osób zmagających się z ciężkimi czy przewlekłymi chorobami, ale głównie edukują swoich członków, którzy z kolei roznoszą tę wiedzę dalej. – Wyedukowany pacjent jest wielką wartością dla systemu ochrony zdrowia, jednak oczywiście wszyscy woleliby-śmy, by to lekarz był inicjatorem i przewodnikiem np. w dziedzinie diagnostyki molekularnej, a nie musiały się o takie zlecenia upominać pacjentki. Oczywiście zdajemy sobie sprawę z niewydolności czy też niedoskonałości systemu, w którym oczekiwanie na wykonania takiego badania trwa nawet pół roku, co jest stanowczo nie do przyjęcia. Dlatego też wyedukowany, dobrze przygotowany merytorycznie pacjent musi mieć również możliwość skorzystania z ofert komercyjnych, choć jest to rozwiązanie, które nie powinno absolutnie skłaniać do porzucenia prób poprawy systemu refundacyjnego – mówiła Magdelana Kardynał.

Zasadne jest z kolei pytanie, czy system refundacyjny jest w stanie nadążyć za dynamiką rozwoju terapii w raku piersi, zwłaszcza że w ostatnim roku na polu leczenia tej jednostki chorobowej działo się naprawdę bardzo wiele. – W raku piersi mamy całkiem sporo leków, w terapii dzieje się bardzo dużo. Polscy lekarze czekają i bardzo chcieliby jak najszybciej mieć możliwość stosowania takich leków jak dostępne obecnie na świecie specyfiki stosowane w terapii wczesnego raka piersi, mam tu na myśli pembrolizumab w leczeniu okołooperacyjnym wczesnego trójujemnego raka piersi. Jest to lek, który zmniejsza ryzyko nawrotu i także zwiększa odsetki całkowitych odpowiedzi patologicznych. Abemacyklib to lek, który jest stosowany w leczeniu uzupełniającym chorych na hormonozależnego HER2-ujemnego raka piersi o dużym ryzyku nawrotu, który – mamy nadzieję – w najbliższym czasie pokaże znaczne wydłużenie życia u stosujących go pacjentek, ale na razie jeszcze takich danych nie mamy. No i jeżeli chodzi o chorobę zaawansowaną, to myślę, że każdy onkolog oczekuje na wspomniany trastuzumab derukstekan w leczeniu chorych na HER2-dodatniego raka piersi. Badania, które zostały przedstawione niedawno na konferencji w San Antonio, pokazują, że jest to lek skuteczny, wydłuża przeżycie i na pewno jest to nowy standard postępowania w lecznictwie, o czym mówił także pan minister Miłkowski. Dużo też mówimy o potrzebie diagnostyki genetycznej, więc nie sposób nie wspomnieć o olaparibie w leczeniu uzupełniającym. Jest to leczenie rzeczywiście jak uszyte na miarę dla naszych pacjentek z udowodnioną mutacją w genach BRCA1 i BRCA2. Myślę, że to taka wstępna lista leków, jakich życzylibyśmy sobie w codziennej praktyce w Polsce – powiedziała dr Joanna Kufel-Grabowska.

> Potrzeba szybkich i odważnych decyzji w obszarze dostępności do farmakoterapii i badań diagnostycznych, przede wszystkim genetycznych

Prof. Pieńkowski w tym miejscu nawiązał do corocznej konferencji w San Antonio w USA, która jest najważniejszym wydarzeniem dla klinistów z całego świata. – Pojawiły się wyniki badań klinicznych, na które czekaliśmy, a mianowicie, że pojawiły się leki skuteczne w leczeniu tych typów raka, na które dotychczas nie było terapii celowanych – dodał prof. Tadeusz Pieńkowski. – Mam nadzieję, że wprowadzenie leków takich jak trastuzumab derukstekan zmieniłoby rokowanie na korzystne wielu pacjentek z zaawansowanym stadium raka. Jednak by tak się stało, konieczne są zmiany w dostępie do badań diagnostycznych, by szybko zdefiniować grupę potrzebujących, a poza tym oczywiście konieczne są zmiany w programach lekowych.

Eksperci przyznali jednak, że rak piersi jest na tyle indywidualną chorobą, że nie da się sporządzić takiego harmonogramu wprowadzania refundacji, który byłby sprawiedliwy i zabezpieczyłby potrzeby wszystkich pacjentek. O zaakacentowanie potrzeb w tej kwestii pokusiła się za to Magdalena Kardynał, który przestawiła dane o zbiórkach prowadzonych przez pacjentki, by móc zakupić trudno dostępne dziś, także z przyczyn materialnych, leki. – Nowe zbiórki są najczęściej otwierane na pembrolizumab, trastuzumab derukstekan, abemacyklib i olaparib. Oczywiście wszystkie te zapotrzebowania są realizowane po wskazaniu przez lekarza, a zbiórki otwierają głównie kobiety młode, umiejące posługiwać się nowoczesnymi narzędziami komunikacji – mówiła Magdalena Kardynał.

Wydaje się zatem, że aby Polska rzeczywiście mogła być liderem czy chociaż jednym z liderów leczenia raka piersi, potrzeba przede wszystkich szybkich i odważnych decyzji w obszarze dostępności do farmakoterapii i badań diagnostycznych, przede wszystkim genetycznych, a także uelastycznienia systemu, który zdjąłby z barków lekarzy nadmiar procedur biurokratycznych. Trzymajmy kciuki, by takie debaty choć w małym stopniu przybliżały nas do osiągnięcia tych celów.

eprasa.pl 0651f7fe14

Polscy piłkarze rozpoczynają grę o mistrzostwa Europy w 2024 r.

Awans to podstawa, czekamy na piękną grę

Aż trzy miesiące i 20 dni musieli czekać kibice reprezentacji Polski w piłce nożnej na kolejny mecz swoich ulubieńców. Po pierwszym w XXI w. dla Biało-Czerwonych mundialowym meczu fazy pucharowej w Katarze z Francją 4 grudnia, kolejny raz o stawkę zagramy 24 marca w Pradze z Czechami. Będzie to inauguracja eliminacji do finałów mistrzostw Europy w 2024 r. Eliminacji, które powinny być dla nas najłatwiejsze w historii



Fot. PZPN/Łączy nas piłka

POLSKA ORLEN
SPONSOR GENERALNY REPREZENTACJI

Pod wieloma względami to dla polskiej reprezentacji piłkarskiej historyczny moment. Przede wszystkim na ostatnim mundialu udało się wreszcie przełamać niemoc awansu z grupy do fazy play-off. Choć narzekano nieco na styl, to w efekcie okazało się, że Biało-Czerwoni jedyne porażki zanotowali w meczach ze ścisłymi finalistami mundialu, a więc Argentyną i Francją. Kibice byli jednak złaknieni bardziej ofensywnej gry i chyba to było głównym powodem powierzenia sterów reprezentacji nowemu selekcjonerowi.

Polskiego szkoleniowca Czesława Michniewicza kilka tygodni po mundialu zastąpił Portugalczyk Fernando Santos. Ten wybór Polskiego Związku Piłki Nożnej znów okazał się historyczny, bowiem jeszcze nigdy reprezentacja Polski nie miała tak utytułowanego selekcjonera. Fernando Santos ma w swoim dorobku zdobycie z reprezentacją Portugalii mistrzostwa Europy w 2016 r. oraz wygranie Ligi Narodów w 2019 r. Według Międzynarodowej Federacji Historyków i Statystyków Futbolu w tych latach Santos był najlepszym trenerem świata. Co osiągnie z Polską? Trudno sobie wyobrazić, że taki fachowiec nie wykorzysta potencjału, który niewątpliwie mają polscy piłkarze ofensywni. Trudno także przypuszczać, że celem Santosa będzie awans do Euro 2024 bez oglądania się na styl gry. Innymi słowy, mamy prawo mieć nadzieję, że zaczyna się nowa era w grze reprezentacji Polski, era ładnego, ofensywnego i efektywnego futbolu. Dodatkowo nasze apetyty może rozbudzać kolejny historyczny i bezprecedensowy fakt – to Polska jest faworytem swojej grupy eliminacyjnej do Euro 2024.

cyfrowa.pl/05617fe14

SANTOS WYRZUCIŁ NAS Z EURO

Awans na mistrzostwa Europy przez dekady stanowił dla reprezentacji Polski cel nie do zdobycia. Na Euro nie udało się awansować naszym najlepszym selekcjonerom w historii w najlepszych czasach polskiego futbolu. Ani Kazimierz Górski, ani Jacek Gmoch czy Antoni Piechniczek nie potrafili wprowadzić Polaków do finałów kontynentalnych. Jako pierwszy z Biało-Czerwonymi dokonał tego dopiero pierwszy trener zagraniczny – Holender Leo Beenhakker. To pod jego wodzą Polska awansowała na turniej w 2008 r., rozgrywany na boiskach Austrii i Szwajcarii. Nie zrobiliśmy tam jednak furory i nie wyszliśmy nawet z grupy. Na kolejne Euro nie musieliśmy się kwalifikować, gdyż jako współorganizator turnieju w 2012 r. mieliśmy razem z Ukrainą zapewnione w nim miejsce. Ale nasz występ na własnych boiskach pod wodzą Franciszka Smudy zakończył się klęską. Najlepsze Euro zagraliśmy w 2016 r. – pod wodzą Adama Nawałki. Turniej, w którym główny laur zdobyła prowadzona przez Fernando Santosa reprezentacji Portugalii, zakończył się dla Biało-Czerwonych w ćwierćfinale, w którym przegraliśmy konkurs jedenastek z... Portugalią. Był to najlepszy turniej w wykonaniu polskiej reprezentacji narodowej w XXI w., gdyż rozegrane w 2021 r. – z uwagi na pandemię – Euro 2020 niemal jak zawsze zakończyliśmy na fazie grupowej.

Przed nami zatem nowy rozdział w historii reprezentacji Polski z doświadczonym, utytułowanym selekcjonerem, z zawodnikami, którzy chcą grać ofensywnie i którym niczego nie brakuje, by stawiać czoło najlepszym, i z najłatwiejszą ścieżką awansu na mistrzostwa Europy. Jeśli dołożymy do tego najpewniejsze i najbardziej stabilne wsparcie sponsorskie, które gwarantuje naszej kadrze już od mundialu w Katarze PKN Orlen, to mamy mnóstwo powodów do optymizmu. Jednak czy wszystkie powyższe czynniki złożą się na sukcesy Biało-Czerwonych na boiskach, zobaczymy już w najbliższych miesiącach.

Euro 2024 odbędzie się w Niemczech i to reprezentacja tego kraju cieszy się przywilejem gospodarskim – nie musi rywalizować w eliminacjach. O pozostałe 23 miejsca zagrają 53 reprezentacje narodowe, podzielone na 10 grup eliminacyjnych. Z każdej grupy awansują bezpośrednio aż dwa najlepsze zespoły, a pozostałe trzy miejsca premiowane awansem będą stanowiły cel rywalizacji w barażach, do którego trafią zespoły na podstawie wyników osiąganych w Lidze Narodów.

Miejsca w rankingu FIFA reprezentacji z grupy E w eliminacjach Euro 2024

- Polska 22
- Czechy 38
- Albania 66
- Wyspy Owcze 123
- Mołdawia 174



Terminarz meczów Polski w eliminacjach Euro 2024

- **24 marca:** mecz Czechy – Polska
- **27 marca:** mecz Polska – Albania
- **20 czerwca:** mecz Mołdawia – Polska
- **7 września:** mecz Polska – Wyspy Owcze
- **10 września:** mecz Albania – Polska
- **12 października:** mecz Wyspy Owcze – Polska
- **15 października:** mecz Polska – Mołdawia
- **17 listopada:** mecz Polska – Czechy

CZEKAMY NA EFEKTOWNY STYL

W grupie E rywalami Polski będą: Czechy, Albania, Wyspy Owcze i Mołdawia. Zachowując umiar, szanując każdego z rywali i nie odbierając nikomu szans, można jednak stwierdzić, że to Polska jest zdecydowanym faworytem tej grupy, a już na pewno sensacją byłoby zajęcie przez nasz zespół miejsca niedającego bezpośredniego awansu na turniej. Fernando Santos zaczyna więc swoją przygodę z reprezentacją Polski w naprawdę komfortowej sytuacji. Portugalski szkoleniowiec ma przed sobą stosunkowo łatwe eliminacje, podczas których powinien mieć możliwość wypracowania nowego, atrakcyjnego stylu gry reprezentacji z wykorzystaniem potencjału naszych najlepszych ofensywnych graczy.

Kibice mogą więc z niecierpliwością wyczekiwać pierwszego gwizdka, który już w najbliższy piątek o godz. 20.45 na stadionie Eden w Pradze rozpocznie mecz Czechy–Polska. Już trzy dni później, 27 marca, Biało-Czerwoni zaprezentują się przed polskimi fanami w meczu z Albanią na dopuszczonym już do użytku po diagnostyce uszkodzenia elementu konstrukcyjnego dachu Stadionie Narodowym w Warszawie. Kibice mogą się cieszyć, ale nasi piłkarze powinni... uważać. Santos dowiódł bowiem podczas ostatnich mistrzostw świata w Katarze, że należy do tych trenerów, którzy dobro zespołu stawiają ponad indywidualne zasługi. Portugalski selekcjoner zaszokował świat, gdy nie znalazł miejsca w wyjściowej jedenastce dla swojego arcygwiazdora Cristiano Ronaldo w meczu 1/8 finału przeciwko Szwajcarii. Jak skończyła się ta odważna decyzja dla Santosa? Portugalia wygrała 6:1! Okazało się, że inni zawodnicy, którzy byli dotąd w cieniu Ronaldo, rozwinęli skrzydła. To cenna lekcja futbolu, o której powinni pamiętać polscy piłkarze. Dla naszego nowego selekcjonera zawsze na pierwszym miejscu jest bowiem dobro drużyny, nawet jeśli będzie to w jego opinii wymagało podjęcia bardzo zaskakujących na pierwszy rzut oka decyzji. Czego zatem możemy się spodziewać? Pierwsze medialne doniesienia mówią o tym, że miejsce w bramce naszego bohatera z Kataru Wojciecha Szczęsnego może zająć zbierający świetne recenzje za występy w niemieckim FC Augsburg Rafał Gikiewicz. Czy rzeczywiście tak się stanie? Jak zagra Robert Lewandowski, który ostatnio nieco rzadziej zdobywa bramki dla Barcelony i musi mierzyć się z krytyką hiszpańskich mediów? Na te i wiele innych pytań odpowiedzi poznamy już w piątkowy wieczór. Wielką grę o Euro 2024 czas zacząć.

PARTNER DODATKU

ORLEN

Artykuł sponsorowany | 43/0223/F

ekiosk.pl 0651f7fe14

INA-JANINE JOHNSEN **AUTORKA KSIĄŻKI „BUŁA I PRZYJACIELE”**

Pachnące i chrupiące





W Skandynawii jest nazywana „królową pieczenia bez wyrabiania”. Ponad dekadę temu ta norweska szefowa kuchni zaczęła dzielić się swoimi przepisami w internecie. Z posta na post stawała się coraz bardziej rozpoznawalną blogerką, a z czasem autorką książek, po które chętnie sięgali czytelnicy w całej Skandynawii.

Do polskich smakoszy i kulinarnych poszukiwaczy trafiła najpierw jej książka „Ziemniak. Wyznanie miłości”. Teraz dotarła do nich kolejna propozycja – „Buła i przyjaciele”, czyli pachnące i chrupiące m.in. chlebową skórką zaproszenie do przygody z domowym pieczywem.

Wypieki na drożdżach bez wyrabiania? – To możliwe – zapewnia autorka, nazywając taką technikę „cudownie użyteczną i prostą!”. Johnsen udowadnia, że wystarczy pięć minut („no dobrze, może 10 na słodkie ciasto drożdżowe”), by upiec, co tylko się chce. W dowolnym momencie.

Tytułowa buła pojawia się w różnych wersjach: na słodko – jak bułeczka cynamonowa, brioszka z owocami albo babka czekoladowa – lub na słono, jak rogaliki z wytrawnymi dodatkami czy focaccia. Wybierać możemy też wśród chlebów: orkiszowego, owsianego, jęczmiennego, proteinowego, bezglutenowego, alpejskiego...

W osobnym rozdziale, w duchu zero waste, autorka pokazuje, co można przygotować z czerstwego pieczywa. „Sposoby są proste, a efekty spektakularnie smaczne” – zapewnia.

Wśród ponad 100 przepisów, które podaje w książce, 30 zostało skonsultowanych ze specjalistami i wyróżnionych oznaczeniem „faworyt dietetyka”. „Nie oznacza to, że inne przepisy są niezdrowe!” – podkreśla Johnsen. „Sekret polega na tym, by być świadomym tego, co i ile się je. Wszystkiego po trochu – to moje motto” – podsumowuje.

Jolanta Gajda-Zadworna



Brioszki z owocami

Zakochałam się w brioszkach, kiedy pracowałam w Szwajcarii. Kierowałam tam projektem prac wykończeniowych w hotelu w Bernie. Każdy dzień zaczynałam w kawiarni naprzeciwko placu budowy od filiżanki gorącego kakao i świeżej brioszki. To był wspaniały początek dnia! Może to niespecjalnie zdrowe, ale fundowałam sobie takie brioszkowe śniadania przez całe dwa miesiące, które zajęło nam ukończenie projektu.

Porcja 12–15 brioszek, temperatura piekarnika 220 st. C.

Składniki: 600 g mąki pszennej (typ 450, 500, 550), 50 g cukru, 2 łyżeczki suszonych drożdży, 150 g masła lub margaryny, 200 ml chudego mleka, 4 jajka, kwaśna śmietana, budyń lub serek waniliowy, owoce – najlepiej mrożone, cukier granulowany do dekoracji, 1 jajko do posmarowania.

Wykonanie: w dużej misce wymieszaj mąkę, cukier i drożdże. Rozpuść masło lub margarynę w rondelku. Dodaj mleko. Sprawdź palcem, czy mieszanka jest ciepła. Wbij jajka. Wlej płynną mieszankę do mąki i połącz tak, by uzyskać lepkie ciasto. Przykryj je i pozostaw w ciepłym miejscu do wyrośnięcia, aż podwoi swoją objętość (ok. 2 godz.). Następnie wstaw je do lodówki na 24 godz. (można je tak przechowywać do 4 dni). Przełóż zimne ciasto na stolnicę posypaną mąką. Uformuj w walec, pokrój na 12–15 równych kawałków i ulep z nich kulki. Bułeczki ułóż na blasze wyłożonej pergaminem. Przykryj je i pozwól im podrosnąć w ciepłym miejscu przez mniej więcej 1 godz., aż podwoją swoją objętość. W każdej bułeczce zrób na środku małe wgłębienie łyżką i napełnij je serkiem, budyniem waniliowym lub kwaśną śmietaną. Posyp owocami. Posmaruj brzegi jajkiem i jeśli chcesz – posyp cukrem granulowanym. Piecz przez 12–15 min, aż się upieką i zarumienią.

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 0651f7fe14



SŁODKO-SŁONY

Wiosenne grzyby

ANNA MONICKA

Fot. Shutterstock

Jeśli komuś mało białka grzybów, może na osobnej patelni podsmażyć z czosnkiem drobiowe polędwiczki, a potem zapiec je razem z grzybami w pachnącym sosie.

Agdyby tak założyć własną małą pieczarkarnię? Ten pomysł chodzi mi po głowie od kilku lat na przednówku, gdy zapasy leśnych grzybów dawno są już wyjedzone, a nowych w lesie jeszcze brak. To znaczy niezupełnie, bo rosną już smardze, które doświadczeni grzybiarze potrafią odróżnić od trujących piestrzenic, ale są pod ochroną i nigdy nie zdecydowałabym się ich szukać w lesie, więc omija mnie przyjemność jedzenia tego rarytasu. Czasem zdarza się, że wyrastają w ogródkach, bo owocniki potrafią przetrwać w korze, którą obsypuje się rabaty.

Zdecydowanie bezpieczniejsze są pieczarki. Czyste, niepryskane żadną szkodliwą chemią, rosną przez cały rok i są bardzo zdrowe. Mają mnóstwo białka, mikroelementów, witamin z grupy B i witaminy D, której nam wszystkim brakuje, gdy nie ma słońca. Plantację można założyć w domu: w garażu, na strychu, nawet w kuchni pod stołem, jeśli komuś nie przeszkadza dodatkowy mebel, czyli miniszklarenka, w której rosną białe kapelusze. Wystarczy zamówić gotowy zestaw, zraszać grzybnię i czekać... Niezbyt długo, bo około trzech tygodni. Można też zadziałać na większą skalę, ale wtedy trzeba się liczyć z tym, że wkoło będzie pachnieć obornikiem lub kurzakiem, więc lepiej znaleźć dla plantacji jakieś ciut oddalone od domu miejsce, np. w szopie, i pilnować temperatury, bo grzyby lubią nie tylko słońce, wilgoć, lecz także ciepło.

Takie śliczne małe kapelusze szkoda wsypywać do zupy. Najlepiej je usmażyć na patelni z czosnkiem, octem balsamicznym i sosem teriyaki. Są świetnym dodatkiem do mięsa, ryżu albo samodzielnym daniem. Obieramy je ze skórki, podsmażamy wraz z kilkoma ząbkami czosnku na oliwie, dodajemy balsamico i japoński sos, dobrze mieszamy, żeby całe były nim posmarowane, posypujemy solą i pieprzem, a potem przesypujemy do żaroodpornego naczynia i zapiekamy kilkanaście minut w piekarniku. Pieczarki tak naprawdę można jeść nawet na surowo, więc nie trzeba ich długo trzymać w piekarniku. Można jeszcze dodatkowo posypać je pod koniec ziarnami sezamu, a przed podaniem – świeżą natką pietruszki. Jeśli komuś mało białka grzybów, może na osobnej patelni podsmażyć z czosnkiem drobiowe polędwiczki, a potem zapiec je razem z grzybami w pachnącym sosie.



WILCZYM OKIEM

Gepard z Azji

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Gepard azjatycki to kot legenda. Jest jednym z czterech podgatunków geparda. Trzy z nich żyją w niewielkich populacjach w Afryce. Kiedyś zamieszkiwały ją całą, dziś żyją w niewielkich wyspach, a ich łączna populacja jest szacowana na kilka tysięcy osobników. Ile dokładnie, nie wiadomo, ponieważ zasięg geparda obejmuje kraje takie jak np. Etiopia, Erytrea, Sudan, Somalia czy Mali, w których trudno i o dokładniejsze dane, i o w miarę bezpieczne prowadzenie badań.

Czwarty, najbardziej tajemniczy podgatunek, to właśnie gepard azjatycki (*Acinonyx jubatus venaticus*). Kiedyś był spotykany na całym obszarze od Bliskiego Wschodu, przez Azję Centralną, gdzie zamieszkiwał aż do północnego Kazachstanu, i dalej włącznie po Indie do granicy z Bangladeszem (z tych czasów pochodzi scena, kiedy Tomek Wilmowski wyciąga w pałacu maharadży chusteczkę spod łapy zahipnotyzowanego przez siebie geparda – zapewne azjatyckiego). Obecnie geparda azjatyckiego spotyka się tylko w Iranie.

Gepard azjatycki jest nieco mniejszy od afrykańskich podgatunków i dorasta do niespełna 40 kg masy ciała. Ma dłuższe, bujniejsze futro i dość wyraźną grzywę, uwidaczniającą się zwłaszcza zimą, kiedy włosie gęstnieje.

Gepardy azjatyckie mają ekstremalnie wielkie terytoria, sięgające 5 tys. km². Są one tak wielkie, ponieważ tereny zamieszkiwane przez gepardy w Iranie to obszary ubogie w roślinność, a więc i w potencjalną zdobycz. W związku z niedostatkiem antylop, których liczebność spadła na skutek kłusownictwa, gepardy zrezygnowały z tradycyjnego sposobu polowania, czyli pościgu szybkich trawożerców na otwartych równinach i przerzuciły się na nietypowe dla nich polowania na przeżuwacze żyjące na wyżej położonych terenach górskich, co znacznie obniżyło skuteczność łowiecką.

Na czym polega tajemniczość geparda azjatyckiego? Stał się zwierzęciem tak rzadkim, że niemal nierealnym. Chociaż dane sprzed kilku lat mówią o mniej niż 50 dorosłych osobnikach, niedawno Irańczycy stwierdzili, że w ich kraju żyje obecnie dziewięć dorosłych samców i trzy samice. Ile jest ich naprawdę? Być może, jeżeli gepardy azjatyckie wyginą, nikt się o tym nawet nie dowie.

eprasa.pl 0651f7fe14

Ubeckie metody wciąż żywe



Alina Czerniakowska

„Nie sposób zrozumieć dziejów Narodu Polskiego – tej wielkiej 1000-letniej wspólnoty, która tak głęboko stanowi o mnie, o każdym z nas – bez Chrystusa. Jeślibyśmy odrzucili ten klucz dla zrozumienia naszego narodu, narazilibyśmy się na zasadnicze nieporozumienie. Nie rozumielibyśmy samych siebie" (św. Jan Paweł II, Warszawa 1979). Prosty wniosek: współcześni barbarzyńcy, ignoranci odrzucili właśnie ten klucz – Jezusa Chrystusa. „Musicie być mocni, dzisiaj tej mocy bardziej wam potrzeba niż w jakiejkolwiek epoce dziejów, musicie być mocni mocą wiary, musicie być mocni mocą nadziei, która przynosi pełną radość życia! Musicie iść drogą prawdy!" – wołał papież Polak na zakończenie pierwszej wizyty w ojczyźnie w 1979 r. Dzisiaj te słowa stają przed nami z jeszcze większą siłą.

Najważniejsze zdanie z Ewangelii – „Poznajcie prawdę, a prawda was wyzwoli" – przypominał całemu światu, a szczególnie mocno w swojej ojczyźnie, przez ponad pół wieku niszczonej przez zbrodnicze kłamstwo rodzimej i obcej władzy. Dzisiaj często rzucamy hasło „Bóg, Honor, Ojczyzna", nie rozumiejąc, że „Honor to nieskazitelność w każdym wymiarze życia człowieka". Dodawał: „Tak uczy Jezus Chrystus".

Mam przed oczami wydarzenie, które chyba najbardziej symbolizuje obecnych wrogów Polski działających pod kierowniczym przywództwem Donalda Tuska. Papież Franciszek całuje w rękę niejakiego Marka Lisińskiego, który jako dziecko miał być ofiarą molestowania przez księdza. Obok stała Joanna Scheuring-Wielgus, jak się okazało, całą inscenizację wymyśliła i pod szyldem fundacji „Nie lękajcie się", nazwanej tak na ironię słowami Jana Pawła II z inauguracji całego pontyfikatu, perfidnie okłamała i upokorzyła obecnego papieża. Jak się potem okazało, ten osobnik, którego papież ucałował w rękę w geście przepraszającym, nigdy nie był ministrantem, nawet nie znał księdza, którego oskarżył, i jeszcze na dodatek jako poszkodowany zbierał pieniądze na wspomnianą fundację – obrzydliwa prostacka intryga, niszczenie ludzi Kościoła, narodu, wiary – naszych polskich fundamentów. Nikt już potem nic nie sprostował, telewizja TVN (często w slangu dziennikarskim nazywana TWN od TW – tajny współpracownik) przemilczała nawet wyrok sądu w tej sprawie.

„Drodzy młodzi przyjaciele, niech was nie zadowala nic, co jest poniżej najwyższych ideałów, nie zgadzajcie się na przelotne mody i propozycje współczesnego świata, które was umniejszają. Niech nie będzie w waszym życiu miejsca na kłamstwo, zdradę i fałszywe świadectwo. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek potrzeba, abyście byli »stróżami poranka«, którzy obwieszczają światło świtu i nową wiosnę Ewangelii. Świat, który otrzymujecie w dziedzictwie, jest światem, który rozpaczliwie poszukuje sensu życia. Potrzebuje uzdrowienia poprzez dotyk pięknem, prawdą, bogactwem Bożej Miłości. Potrzebuje was, abyście byli solą dla ziemi i światłością dla świata!" (Jan Paweł II, Częstochowa 1991, Światowe Dni Młodzieży).

Kochał ludzi i wielki świat, ale zawsze ojczyzna, Polska, była najważniejsza. Wielcy przywódcy świata wspominają, z jak wielką siłą promował Polskę, nasze narodowe dokonania historyczne, waleczność, umiłowanie wolności, Boga i honoru. Bronił Westerplatte i krzyża spod Giewontu, nadając tym miejscom symboliczny wymiar ukryty głęboko w ludzkiej duszy. Wołał zdenerwowany z ojcowską troską w Kielcach w 1991 r. „To jest moja matka, ta ziemia, to jest moja Ojczyzna! Nie może mnie to nie boleć! Was też powinno boleć! Nie możemy sobie pozwolić na nieład moralny, bo za to już gorzko w historii zapłaciliśmy! [...] Ducha Świętego nie gaście! Ducha Świętego nie zasmucajcie!". A w Warszawie kończył swój dekalog dla Polski: „Jestem z wami teraz na początku trudnej drogi do wolności, byłem zawsze, ja kocham mój naród!... Każdego z was chciałbym przytulić do serca".

Pochylał się nad każdym życiem, miał nadzieję w młodych, zachwycał się cudem stworzenia, przyrodą, docierał do najdalszych zakątków świata, ile tylko tchu w piersiach nauczał, jak pięknie żyć, pokazywał swoim przykładem. Był prawdziwie pełnym człowiekiem na podobieństwo Boga. Nie trzeba było szukać cudów, uzdrowień jako dowodów świętości. On był po prostu święty, najpiękniej i najbliżej ludzkich serc i umysłów. Właśnie dlatego na pl. św. Piotra w dniu pogrzebu zebrany lud wołał „*Santo subito*!".

Przyjaciel i wielki miłośnik młodych, twórca tych jedynych w swoim rodzaju spotkań – Światowych Dni Młodzieży. „Drodzy młodzi, chrześcijaństwo nie jest opinią, nie polega na próżnych słowach. Chrześcijaństwo to Chrystus! To Osoba, to Żyjący! Spotkać Jezusa, kochać Go, sprawić, by był kochany – oto chrześcijańskie powołanie!... Tylko Jezus zna wasze serca, wasze najgłębsze pragnienia. Nie lękajcie się waszej młodości i waszych głębokich pragnień szczęścia, prawdy, piękna i trwałej miłości. Tylko On, który umiłował was aż do śmierci, jest zdolny wypełnić wasze pragnienia. Nikt poza Chrystusem nie może dać wam prawdziwego szczęścia". Powtarzał na każdych Światowych Dniach Młodzieży: „Jezus rozświetli wasze życie, pokaże drogę, przygarnie do serca i poprowadzi. Jemu zaufajcie bezgranicznie, Jego wielkiej, prawdziwej miłości, która objawiła się najmocniej na krzyżu. Gdy upadamy – podnosi, gdy błądzimy – prowadzi. Jezus – wszystko we wszystkim. Jego Kana Galilejska, Jego Kalwaria i Jego Zmartwychwstanie!".

Co wiedzą na ten temat obecni zdrajcy, gotowi dla zysku zniszczyć każdą naszą narodową świętość. Karol Wojtyła, „wielki papież, jakiego nie było" – tak głoszą tytuły napisanych o nim książek na całym świecie – boleśnie doświadczył zbrodni obu totalitaryzmów, ale nigdy nie uległ, zachował silną wiarę i wolność opartą na naszej 1000-letniej kulturze chrześcijańskiej. Teraz też razem z nim pokonamy jako naród wszelkie wrogie, barbarzyńskie siły i zwyciężymy!

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 0651f7fe14

Kraj nieudaczników



Piotr Cywiński

Niemcy nigdy nie wybaczą nam Auschwitz. Nie, nie pomyliłem się: nie my, Polacy, lecz Niemcy nam nie wybaczą Auschwitz. My, Polacy, bylibyśmy skłonni wybaczyć im napaść w 1939 r., wymordowanie jednej piątej naszego narodu, zrujnowanie i splądrowanie kraju, to... Niemcy nam tego nie wybaczą. Bo my, zamiast w duchu pojednania zrównać z ziemią pamiątki po szerzeniu kultury przez ich wyższą rasę w ramach programu Drang nach Osten (parcia na wschód), stworzyliśmy muzea niemieckiego przemysłu zagłady, które odwiedzają różnojęzyczni prominenci z całego świata – było, minęło, po co to wciąż wywlekać...?!

Oni sami nie wywlekają, w końcu przeprosili i to nie raz, ileż można przepraszać... Schluss! Z reparacjami też. Wszak urządzili nam kraj – rzucić kamieniem, to można trafić w szybę sklepu jakiejś niemieckiej sieci, towary „made in Germany" nam sprzedają, ba, władze pomagają nam wybrać, a tu masz, prawie 80 lat po wojnie pomnika 6 mln polskich ofiar im, znaczy nam, Polakom, się zachciewa. Mają go w Berlinie tuż obok Bramy Brandenburskiej Żydzi, mają Rosjanie, Sinti i Romowie, nawet homoseksualiści mają, i to aż 12 na terenie całej Bundesrepubliki, a ci, znaczy my, Polacy, chcą osobnego. Ani to pojednaniu nie służy, a poza tym – co gorsza – byłaby to „niebezpieczna nacjonalizacja pamięci", zwrócił uwagę szef rady naukowej Fundacji Pomnika Pomordowanych Żydów Europy Wolfgang Benz.

Dlatego trzy lata temu odwołano głosowanie Bundestagu nad upamiętnieniem polskich ofiar, bo i po co głosować, skoro z góry było wiadomo, że większość posłów nie poprze budowy kolejnego pomnika wstydu. No, fakt, Polska jest przypadkiem szczególnym, Polski miało nie być, co przypomniał Thomas Schmid na łamach „Die Welt", że przez wieki była przedmiotem pruskiej pogardy jako kraj nieudaczników, ludzi nieporządnych i niezdolnych do zdyscyplinowanej pracy, że stereotypowa drwina o polskiej gospodarce..., ale przecież jest! Trzeba nam szerszego podejścia, wskazuje Claudia Roth, minister ds. kultury i mediów w gabinecie kanclerza Olafa Scholza, rozprawiająca dziś o koncepcji Domu Niemiecko-Polskiego w Berlinie, który miałby zwracać uwagę na nasze 1000-letnie sąsiedztwo, gdzie miałoby się zmieścić wszystko pod jednym dachem. Pani Roth już zwróciła się do pana Benza, przewodniczącego Fundacji Pomnika Pomordowanych... Żydów Europy o „wypracowanie pogłębionej propozycji realizacji" tego obiektu.

Niemcy nigdy nie wybaczą nam Auschwitz...

W filmowej rodzinie „Johnny'ego"

Z Marią Pakulnis rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jubileuszowa, 25. gala Polskich Nagród Filmowych była dla pani szczególnym doświadczeniem?

Maria Pakulnis: Pierwszy raz odebrałam statuetkę Orła. Za drugoplanową rolę w filmie „Johnny" w reż. Daniela Jaroszka.

Piękny film, wzruszająca rola. Na ekranie jest pani nie do poznania.

I bardzo się z tego cieszę. Genialną pracę wykonała tutaj Lila Gałązka, która została nagrodzona Orłem za charakteryzację (a za tytułową rolę statuetkę odebrał Dawid Ogrodnik).

Jestem ogromnie wdzięczna wszystkim, którzy zobaczyli mnie w tej postaci i pozwolili znaleźć się w filmowej rodzinie „Johnny'ego". Przez cały czas zdjęć, a także w czasie gali Orłów czułam obecność naszego Johnny'ego, ks. Kaczkowskiego. On na to wszystko patrzył i na pewno bardzo się cieszył.

Czy takie filmy, jak „Johnny" mogą zmienić ludzi?

Myślę, że scenariusz znakomicie oddał najważniejsze przesłanie ks. Kaczkowskiego – z prawdziwą miłością i szacunkiem do ludzi czynić i nieść dobro.

Pięknie to pani, odbierając nagrodę, podkreślała, ale wspominała też pani galę sprzed 25 lat.

Pierwszą w historii Orłów. Prowadziłam ją z Piotrusiem Machalicą. Było dużo improwizacji i wiele stresujących chwil, bo nie mieliśmy specjalnie doświadczenia w prowadzeniu takich imprez, ale dzisiaj bardzo miło to wspominam. Tym bardziej że z Piotrusiem Machalicą często razem graliśmy, bardzo się lubiliśmy i ceniliśmy nawzajem. W tym szczególnym dniu mocno mi go brakowało. Do niego też tego Orła wysyłam.



eprasa.pl 0651f7fe14

PRZEZ ŚWIETLIK

Jożin z bażin



Wiktor *Świetlik*

Niby człowiek z wiekiem gnuśnieje, zatraca dziecięcą ciekawość świata, sądzi, że wszystko widział i wie. Z pomocą nadchodzi rzeczywistość. W zeszłym tygodniu np. dowiedziałem się od pracowników komórki szaleństwa i propagandy z Czerskiej, że posłanka Magdalena Filiks bała się wracać do domu po pracy. A to dlatego, żeby jej PiS-owski snajper nie odstrzelił. Chodzi oczywiście o panią dotkniętą autentyczną tragedią, śmiercią dziecka, którą tak bezwzględnie jej środowisko próbuje zdyskontować.

Skąd ten snajper? To proste. Pani kłóciła się z rzecznikiem Lasów Państwowych. „Anonimowe źródła" – te same, co zawsze – donoszą, że w Solidarnej Polsce zapadła decyzja, żeby ją uciszyć. Reszta jest logiczna. Lasy to – wiadomo – broń, każdy, kto zna Czerwonego Kapturka, wie, że gajowy chodzi z dubeltówką. Do tego Ziobro chodzi z giwerą za paskiem. Tę absurdalną historię, godną kina klasy C w NRD, poskładaną z wymyślonych i prawdziwych faktów, konsekwentnie w ubiegłym tygodniu promowały TVN-y i „Wyborcze". Jakaś – całkiem pokaźna – część naszych rodaków w to wierzy.

Ale pojawiają się też subtelniejsze opowieści. Czasem wracają stare. Jakimś tam wpisem wywołałem na Twitterze mikrodebatę na temat relacji familii Bartoszewskich z PiS. I oczywiście wielu dyżurnych beneficjentów dawnego układu władzy, z nieocenionym Krzysztofem Luftem włącznie, przypomniało, że Władysław Bartoszewski senior, ten najbardziej znany, był wręcz znienawidzony przez PiS. Spróbowałem sobie przypomnieć, jak to wyglądało.

Władysław Bartoszewski jest niewątpliwie zasłużoną postacią. Za obóz koncentracyjny i stalinowskie więzienia należą mu się ordery i pamięć. Jednak nie zapamiętałem go jako specjalisty od biznesu i lotnictwa. Nie przeszkadzało to ani jemu, ani PiS w 2005 r. obsadzić go w roli szefa rady nadzorczej LOT. Były tam wtedy jakieś awantury i przepychanki, Bartoszewskiego zdjęto i stał się radykalnie anty-PiS-owski, z czasem po prostu bez opamiętania tryskał jadem. Może zresztą i by bez tej awantury nim tryskał, bo był zbliżony do środowiska Unii Wolności, które braci Kaczyńskich nie znosiło, ale fakt, że jak trzeba było od nich przyjąć dobrze opłacaną funkcję, to Rejtanem się nie kładł.

Jeśli prześledzić odpowiedzi PiS-owców, to z reguły wyglądały jak mój wywód powyżej: „Doceniamy go za to, co robił, ale...". Z czasem, kiedy już z ust Bartoszewskiego padały określenia typu „bydło", polemiki stały się ostrzejsze, ale co najwyżej dorównywały poziomem adwersarza.

Wniosek? PiS-owcy okrutnie zwalczali Bartoszewskiego. Podobnie jak PiS-owski Jożin z bażin poluje ze sztucerem myśliwskim na posłankę PO. Kłamstwo powtarzane tysiąc razy staje się prawdą, ale przede wszystkim dla tego, który je wypowiada. I nierzadko jest to nie tyle dziennikarz czy pracownik mediów, ile zwykły kretyn.

Czcij ojca swego i matkę swoją



Lech *Makowiecki*

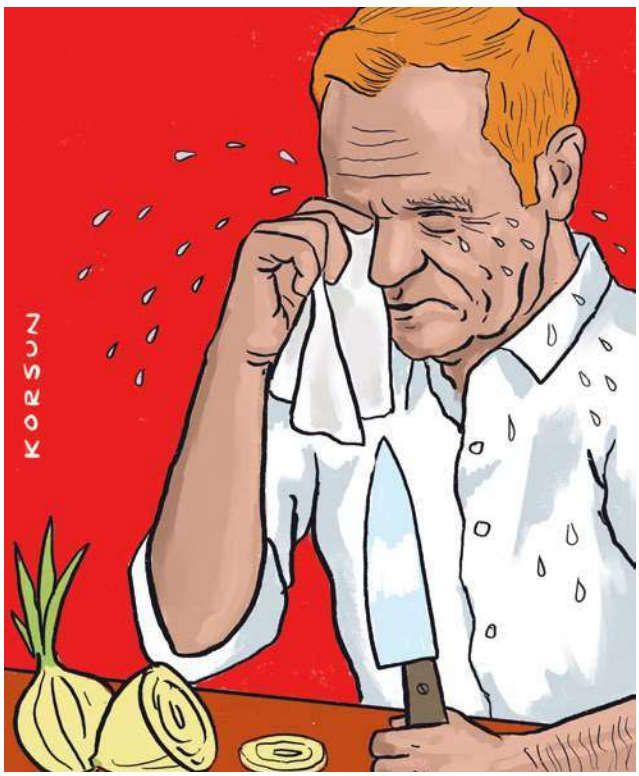
Nie kończyłem żadnych kursów psychoterapii, nie czytałem specjalistycznych publikacji ani książek o leczeniu ludzkich dusz, ale odkąd sięgam pamięcią, ludzie z tzw. problemami – szukając duchowego wsparcia – podświadomie do mnie lgnęli. Pochlebiam sobie, że być może kilku desperatów (desperatek) powstrzymałem przed próbą samobójczą.

Ostatnio pewien młody człowiek zwierzał mi się ze swoich problemów z rodzicami. Nic szczególnego – typowy konflikt pokoleń, w którym obie strony okopały się we wzajemnych pretensjach. Rodzice mieli żal o niespełnienie oczekiwań zawodowych i osobistych wiązanych z latoroślą. Podstarzałe zaś dziecko – szczute przez psychologów szukających źródła wszystkich naszych niepowodzeń w traumie z dzieciństwa – potępiało w czambuł proces wychowawczy. We wzajemnych oskarżeniach namnożyło się tyle pretensji i żółci, że obie strony utknęły w klinczu bez wyjścia. Moje próby znalezienia chociaż jednej zalety mamy i taty (akurat ich znałem, studiowaliśmy razem) spełzły na niczym. I wtedy pojawiła się wisienka na torcie, meritum sprawy – prawdziwy powód depresji młodego mężczyzny. Tak, tak – słusznie się domyślacie: niechciana ciąża! Brak perspektyw zawodowych, mieszkania, wreszcie oczekiwanej w tym wieku dojrzałości – wiodły w kierunku drastycznego „usunięcia" problemu. I wtedy (eureka!) w jednej chwili rozwiałem wszelkie wątpliwości! Po prostu poradziłem mu: „Pogadaj z rodzicami. Oni już to przerabiali, tuż przed dyplomem. To dzięki ich decyzji teraz z sobą rozmawiamy. Wiesz, że urodziłeś się pół roku po ślubie?". Grom z jasnego nieba nie spowodowałby większego zdziwienia...

PS Znowu się udało! Lubię happy endy. W jednej ze swoich dekalogowych homilii (1991 r.) papież Jan Paweł II powiedział: „Słowa »Czcij ojca i matkę« z równą siłą odnoszą się do rodziców: pamiętaj, abyś prawdziwie zasługiwał na tę cześć...". W dobie zmasowanych ataków na rodzinę nie dziwi mnie szkalowanie Ojca Świętego.

eprasa.pl 0651f7fe14

Michał Korsun prezentuje:
Krokodyle łzy Tuska, czyli wyborcza cebula Donalda



Wycinki z przeszłości



W kwietniowym wydaniu magazynu „Dziecko i Matka" z 1933 r. (ilustracja obok też z tego pisma) znajdujemy aktualny do dziś apel, by pozwolić dzieciom cieszyć się wiosną, dać możliwość w miarę swobodnej zabawy, nie przegrzewać. Czytamy: „Już słońce przypieka, niecierpliwie i nagle. A po ulicy chodzą te same nieforemne, grubo otrykocone niedźwiadki o wypuchłych brzuchach. Czerwone, spocone twarze. Umęczone posapywanie. Trykot łaskocze i odparza.

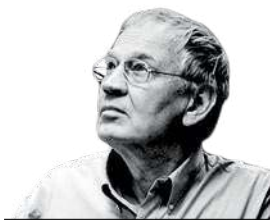
Klęską też jest ławka na ulicznym skwerku. Matki i niańki nie kochają ogrodów. Niedźwiadek chce pobiegać lub powędrować dalej niezgrabnym kołysem nóg. Ale opieka zrywa się co chwila i ciągnie za rękaw z powrotem do ławki. Nie wolno! Wolno siedzieć na ławce grzecznie. A tuż obok park, gdzie można biegać po alejkach, zobaczyć wiewiórkę, pozbierać patyczki. Nie, poprawiają mu beret, podsuwają bułkę, pytają, czy się nie zgrzał, nie rozpiął, nie zgubił rękawiczki. Czują się w prawie w każdej chwili przeszkodzić w zabawie".

Dziś ta kontrola przybiera inne formy, często maniakalnego nakładania kasków wszędzie i na każdym placu zabaw, ale istota jest ta sama.

Dajmy dzieciom trochę wolności!

(mk)

Zaproszony jeszcze raz...



Leszek Długosz

Darujcie, drodzy Czytelnicy, kombinuję, staram się, jak tu się uładzić w związku z wiosną. I nic bardziej słusznego (sprawiedliwego) nie przychodzi mi do głowy jak wciąż to samo. Zaproszony więc i do tej wiosny, powtórzę te same zachwyty, nadzieje, wyrazy wdzięczności i zmilczę te same inne myśli i odczucia.

„Dalekie wiosny"

Innych już nie będzie
Jeśli się zdarzą będą jeszcze dalsze
– Odległość funkcją jest przestrzeni i zegara
Umówionej miary
– Wszakże tam pamięć
Serca wspominanie
Gdzie mu się zdaje – centrum
Szczęście w najbliższym było zasięgu?
Późniejsze wiosny i jesienie
– Biegną zbiegają po kolei
Dni tylko są księgowaniem

I tak wbiegają biegną po murawie
Szczęśliwie do gry nowo powołani
Aby po chwili swego apogeum
Na ławce rezerwowych usiąść
– W strefie nieuchronnego zapomnienia
Wiosny zliczając wciąż późniejsze
I jesienie
Przychodzimy odchodzimy
Refren ów podejmując
– Z sercem czy uciszonym?
Wolnym od oczekiwań?
Bóg i oni jedni wiedzą...
Szczęśliwcy
Jeśli na widok blasków niedalekiego kwietnia
Z zachwytem rozjaśniają swe spojrzenia
I gdy złotem października uwiedzieni
Z uśmiechem zgody
Patrzą ku jesieni...

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**82** zł	**149** zł	**265** zł
wSIECI HISTORII	–	**34** zł (3 wydania)	**59** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**169** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**295** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 0651f7fe14



OD A DO ZYBERTOWICZ

O papieżu – na jednej stronie

Czy w świecie nowoczesnych technologii – to naturalny ekosystem dorastania nastolatków – św. Jan Paweł II może zaistnieć tylko jako mem?

Pielgrzymka z Brodnicy wyruszyła autokarem o świcie. Droga mi się dłużyła, a jeszcze trzeba było iść całymi kilometrami przez Gdańsk. Pamiętam szpalery ZOMO-wców „pilnujących porządku". I pamiętam, że niektórzy z naszej pielgrzymki krzyczeli w ich stronę: „Chodźcie z nami!". Ja też wrzeszczałam – a co, pobiją mnie? Jako nastolatka czułam, że biorę udział w czymś absolutnie niezwykłym. W czerwcu 1987 r. na spotkaniu z Janem Pawłem II na gdańskiej Zaspie byłam razem z tatą i ciocią.

Nasz papież sprawiał, że ponury PRL-owski świat stawał się jasny i pełny nadziei. Na dodatek na Zaspie ołtarz był niezwykły – okręt w budowie. Arcydzieło Mariana Kołodzieja to jednak temat na osobną opowieść.

Setki tysięcy Polaków jechały przez kraj na spotkania ze swoim rodakiem. Z najdalszych zakątków Polski, nie zważając na trudy. Mówiło się, że ładował polskie akumulatory – polskie serca.

Niedawno, gdy syn maturzysta przyszedł do mnie i zapytał, dlaczego uważam, że Jan Paweł II był wielki, odparłam, że to tak oczywiste, jak to, że doba dzieli się na dzień i noc. Ale *dzisiaj* taka odpowiedź jest żadna. W reakcji na nią dostałam zadanie: „Napisz, dlaczego tak uważasz – na jednej kartce i żeby to TRAFIŁO DO MŁODZIEŻY!".

Pytam: „Czyli jak?". Syn mówi: „Bez ogólnych frazesów, że przyczynił się do obalenia komunizmu. Racjonalne i konkretne argumenty w punktach – np. był bardzo dobrym, charyzmatycznym mówcą. To byłoby OK, ale to za mało". Moje zakłopotanie mnie przygnębiło. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to pytanie, co o papieżu Polaku w ogóle wiedzą młodzi ludzie. Tyle, ile może nauczyli się w szkole? Na lekcjach religii? Może coś czytali. Przecież tyle książek o papieżu napisano.

Odpowiadam sobie: bzdura. Dla młodych większość skojarzeń dotyczących JP2 pochodzi z internetowych memów. Obejrzałam je razem z synem: tylko niekiedy zabawnych, w przytłaczającej większości obrzydliwych i po prostu podłych. Do tego morza memów dodajmy sensacyjnie skrojoną narrację telewizyjnych reportaży „Bielmo". Jaki portret otrzymamy?

Przez większość mojego życia papież po prostu był. Był niczym gwarancja, że polskość przetrwa. To dzięki niemu nadzieja, że komunizm w końcu padnie, niezachwianie trwała w sercach Polaków. Tyle że dla młodych to frazesy. Czasy komunizmu – to przecież jakaś abstrakcja. Próbuję szukać metafor, które byłyby punktem zaczepienia w komunikacji z młodymi. Uświadamiam sobie, że nie sposób dotrzeć z ważnym przekazem, bo w cyberświecie międzypokoleniowy przekaz kulturowy – informacji i wartości – został zerwany.

Czy w świecie nowoczesnych technologii – to naturalny ekosystem dorastania nastolatków – św. Jan Paweł II może zaistnieć tylko jako mem? Ponoć wszystko da się sprowadzić do memów. Ale za ich pomocą nie da się wytłumaczyć, na czym polegało codzienne życie za komuny. Jaką rolę odgrywał wtedy Kościół katolicki, poszczególne świątynie i parafie?

Przepaść komunikacyjna między starymi i młodymi jednak nie przeszkadza, jeśli chodzi o nagłaśnianie skandali seksualnych w Kościele, w tym pedofilii, która jest złem bezdyskusyjnym. Czy można się dziwić części młodzieży, dla której Jan Paweł II jest tak samo abstrakcyjnym zjawiskiem jak okres komunizmu w Polsce, że jednego z najwybitniejszych Polaków w dziejach postrzega jako obrońcę pedofilii?

Jednocześnie część nastolatków przesyła sobie pornograficzne zdjęcia i filmiki. Cóż za paradoks – tubylcy cyberświata, w którym z natury rzeczy granice są płynne (także te między dobrem a złem), w przypadku papieża nie mają problemu z postawieniem grubej rozstrzygającej kreski. Tubylcy świata różnorodności, niebinarności, zgiełku informacyjnego w przypadku Jana Pawła II nie widzą złożoności świata, w którym papież funkcjonował. Ba, nie widzą złożoności samej tej postaci: kapłana, pasterza, głowy państwa kościelnego, polityka.

Jeśli się nie wysilimy i nie przełożymy naszych przeżyć z okresu spotkań z JP2 na punkty wypisane na jednej kartce, to marny nasz los w oceanie dezinformacji.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 48/0223/F

eprasa.pl 0651f7fe14

E-PRENUMERATA SIECI Z AUDIOBOOKAMI

Czytaj 50% taniej, słuchaj GRATIS



2 AUDIOBOOKI GRATIS DO E-PRENUMERATY NA 12 MIESIĘCY:

„MIĘDZYMORZE”
MARCIN WOLSKI

Alternatywna historia panowania królowej Jadwigi, której w rządzeniu pomaga błazen posiadający tajemną wiedzę z naszych czasów.

CZAS SŁUCHANIA: 15 GODZIN
FIKCJA HISTORYCZNA Z ELEMENTAMI FANTASY

„WALECZNE KOBIETY ROKU 1920”
IWONA KIENZLER

Opowieść o bohaterkach Cudu nad Wisłą i obrony kraju przed bolszewicką zarazą, również tych walczących w Ochotniczej Lidze Kobiet.

CZAS SŁUCHANIA: 7 GODZIN
NIEZNANE HISTORIE WIELKICH KOBIET

Fot. Shutterstock

Zamów już dziś na www.siecprzyjaciol.pl

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 0651f7fe14


Zdrap party
MODA NA ZDRAPKI JEST ZAWSZE
Zdrapki
Rozkręć Zdrap Party i wygraj nawet 1 000 000 zł.
1 000 000zł W CASHU
Ponad 97 000 wygranych po 100 zł i więcej!
2 główne wygrane po 1 000 000zł!
Ponad 49 500 000 na wygrane
WYGRYWAJĄCE LICZBY
TWOJE LICZBY
25 szans na wygraną!
WYGRAJ 500 000 zł
GORĄCZKA ZŁOTA
PONAD 35 900 000 zł NA WYGRANE
Różowe Diamentowe
WYGRAJ 500 000
RAJSKA KASA
WYGRAJ 180 000 zł
PONAD 25 800 000 zł NA WYGRANE!
ZDRAP TYLKO DO WYPŁATY
GRAJ W PUNKTACH
LOTTO
18+